

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT • NR 17-18 (1805-1806) • 25 kwietnia 2024-8 maja 2025



Podwójny!
numer

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



FRANCISZEK
ZNOWU ZASKOCZYŁ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

YouTube Tygodnik NIE

Podwójny numer na święta czerwone, biało-czerwone, a także pod browara.

A w nim:

3: Między papizmem i pokojem – wspominały papieża, który był przeciw zabijaniu i dlatego został ruską onucą.

4–5: Powróćmy do grona zwycięzców – doceniemy naszą zachodnią granicę. A także pożegnajmy mity – np. o tym, że Związek Radziecki złośliwie nie wsparł powstania warszawskiego.

Pokrecone polskie losy – o Polakach, którzy po 1945 r. wracali do ludowej ojczyzny. I o tym, czy historia może się powtórzyć.

6: Sfrustrowana praca – dlaczego lepiej być hydraulikiem niż absolwentem uniwersytetu.

Buja ciao – jak to się stało, że kapitalistyczna młodzież tańczy do pieśni komunistycznych partyzantów?

7: Ani Stalin, ani Soros – nasza własna opowieść o porażce kapitalizmu.

8–9: Pracujący, niewidzialni – dlaczego ludzie pracy są w dupie?

Baron kurlandzko-lewicowy – książka o prawdziwym socjaliście.

Dziś prawdziwych pochodów już nie ma – kiedyś 1 Maja się chodziło, a potem piło. Dziś już tylko pije.

10: Zabory i tabory, przybory i wybory – nasz własny kampanijny alfabet.

Kampania, czyli końskie zaloty – jak nie masz na kogo głosować, nie głosuj!

11: Prezydentka, której Polska się nie spodziewa – Joanna Senyszyn jako dorosły w pokoju zabaw polskiej polityki.

12–13: PO-PiS prezydenta – dlaczego Andrzej Duda zawetował ustawę o nienawiści wobec LGBT i czemu ktośkolwiek myślał, że może być inaczej?

Kaganiec dla wilka – a może to tak naprawdę nie ma znaczenia?

Polityka wspólnych błędów – dlaczego ta ustawa trafiła do prezydenta właśnie teraz?

14: Kononowiczowi dumka na grób – nie ulegajmy protekcyjnej pokusie wyniosłego potępienia; pomyślmy, kto na tym naprawdę zarabia.

Orwell i macice – do czego służą kobiety: pod władzą Kima, Trumpa i polskiej prawnicy.

15: Małolaty wznoszą toast – młodzież pija, pije i będzie pić, tylko teraz już nikogo nie musi prosić o kupienie flaszki. **Ze śmiercią im do twarzy** – wszyscy prezydenci wieszają orderzy na nieboszczykach, którzy nie mogą się bronić.

16–17: Budy zdrowia – jak tak dalej pójdzie, lekarzomaty będą naszą jedyną nadzieją.

Nie rozmnażajcie się – polowanie na dr Gizeł Jagielską. **Poronione pieniądze** – koszty rozrodu i jego braku.

18: Purpuratom wiecznie mało – produkcja trumien w domu starców, czyli przedsiębiorczość kurii.

19: Ósmy krzyżyk Rydyzka – świętujemy urodziny ojca dyrektora.

20–21: Uzdrowiciel pożytku publicznego – dlaczego nie ma duchowego uzdrawiania na NFZ? **Urządzenie specjalnej troski** – za co i ile biorą samorządowcy?

22: Świat to za mało – chcesz zwiedzić świat? Zostań prokuratorem!

23: Podatek od próżniactwa – pomóżmy bogatym podzielić się majątkiem. Dla ich dobra!

24: Szarmancki pantoflarz – czy Witkacy był narcyzem? A patriotą? Rozmowa z Przemysławem Pawlakiem, autorem biografii Stanisława Ignacego Witkiewicza.

25: Dorosłe dzieci Superniani – zabawa dziećmi ku uciesze gawiedzi ciągle zbiera żniwo.

26: Jak przeżyć chiński bankiet – kiedy wolno pierdzić?

27: Rasizm cholewy wobec podeszwy – dla wszystkich wielbicieli Sycylii: dlaczego w Rzymie mieszka zło?

28: Europa między Waszyngtonem a Kijowem – dlaczego Polska nie liczy się na Ukrainie?

29: Zaproszenie na koktajl u Mołotowa – zdjęcie z albumu rodzinnego: Merkel, Putin i jeszcze jeden szpieg...

30: Homo domesticus modernus – przestańcie tyle biegać, ewolucja każe nam siedzieć!

31: Baby rządzą – dlaczego kobiety rządzą sobie tak dobrze w polskim sporcie zawodowym? Bo ogarniają ten burdel.

A poza tym jak zwykle: **Blog wszystkich świętych**, **Prasa śniadaniowa**, **Życie w dobrobycie**, **Mózdzek tygodnia**, **Z czarnej dupy się wyrwało**, **Wieści z kruchty**, **Wieści gminne**, **Trumpolandia**, **Wiara czyni czu-ba**, **Słówka półgłówka**, **Dialogi dam**, **komiks Dąbrowskiego** (aż dwa razy).

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Kwiecień 2013 r.



Świętego Benoita

Zachorowałem, więc żona, nie mogąc patrzeć na moje cierpienia, wyjechała za granicę urządzić mieszkanie przyjacielce. Na wiadomość, że wyzdrowiałem, natychmiast wróciła.

Postawę taką doceni każdy, który ma banalną żonę: cikliwą, opiekuńczą, nieszczera.

Leżałem ponad tydzień, więc mój kontakt z rzeczywistością ograniczał się do telewizji i lektur. Czyli był całkowity.

Świętego Aniceta

Do udanych posunąć generała Wojciecha Jaruzelskiego obok stanu wojennego postawić trzeba własnoręczne spółdzenie najbardziej udanej córki prezydenckiej, która własnoręcznie spółdziła książkę „Towarzyszka panienska”. Opowieści Moniki są lakoniczne, ciekawe, bezpretensjonalne i pełne wdzięku. Nasycone córecznym podziwem i miłością, co modne nie jest. Na okładce mylące zdjęcie pięknej Autorki – jakiś potwór.

Świętego Parfeta

Bezrobotni, bezdomni, beznodzy i bezradni! Kobiety płci tamszonej! Wy na umowach śmieciowych oraz pederacji, ateści i Ukrainki poniewierane. Szczury niedopuszczone do wysięgu! Niezachodzące kobiety, którym odbiera się szkło od warg sromowych. Wszyscy biedni i poniżani. Mam dla was radosną nowinę. Lewica w czerwcu urządzi kongres i wyklęty powstań ludu ziemi. Po kongresie wszystko się zmieni, będzie lepiej niż dobrze. Kongresy są sprawcami dziejów. Dzięki kongresom pokoju nie było wojny, a kongres przeciw ociepleniu spowodował ochłodzenie. Cała sztuka i znoj to doprowadzić do kongresu, który odmieni los ludności. Nie jest to łatwe do osiągnięcia bo:

W procesie jednoczenia lewicy Siwiec odszedł z SLD, Kalisza Miller wyrzucił, a Oleksego przekupił. Dziecinnygo ekspremiera wziął sobie za obietnicę, czyli za darmo. Miller odmawia zespolenia się z Palikotem, a nawet siedzenia z nim na jednym stadionie. Kwaśniewski nie przyjdzie bez Palikota, ale grozi tym Millerowi ustami Palikota. Marek Siwiec nie rozumie, dlaczego Wałęsę zapisano do lewicy. Wałęsie wszystko jedno, kto i gdzie go zaprosi, aby był zaproszony. Duda nie przyjdzie, skoro będzie Jaruzelski.

Jeśli Miller z pomocą Kongresu Kobiet będzie siłą wyrzucał ze stadionu Palikota, powstanie tam większa zadyma, niż robią kibice patrioci. Kwaśniewski powie, że żądając wpuszczenia Palikota, miał na myśli pozostawienie go w szatni. Miller chce oderwać Ruch Palikota od Palikota. (Chrześcijaństwo tak, Chrystus nie). Biedroń nie usiądzie z Wałęsą. Miller chce tak jednoczyć lewicę, żeby ją przyłączyć do SLD z nim na czele. Na piłkarski stadion zwiezie sobie widownię i będzie kopał Palikota. Palikot grozi, że urządzi Piknik Wolności. Piknik ma większe wzięcie niż kongres, a wolność niż lewica.

Podchody, zmyłki i kopniaki kryją różnice celów. Miller chce wybić się na wicepremiera, silnego koalicjanta Tuska. Palikot pragnie centrolewicy, która wygra wybory z prawicą. Na razie hipotetyczna centrolewica umacnia realną prawoprawicę i centroprawicę mającą w programie centralne ogrzewanie.

Świętej Emmy

Ostrzygli nasze psy, znak to, że zaczęła się moja 80. wiosna. Jestem za stary, żeby żyć, i grubo za młody, żeby umierać.

Świętego Parfajta

Mając za pretekst proces wytoczony mi przez Tuska o żart primaaprilisowy, pochwalić się mogę wielkim dorobkiem primaaprilisowym. Najgłupszy i najstrasniejszy w skutkach zrobiłem w latach 50. w „Po Prostu”. Elegancka Warszawa ubierała się wówczas na targu z używaną odzieżą amerykańską zwanym „Ciuchy”. Podałem, że znaleziono tam pchły zarażone dżumą, które błyskawicznie się rozmnażają i skaczą po całym towarze. Panie paliły swoją garderobę, „Ciuchy” opustoszały, związane z nimi gangi obiecywały mi śmierć.

1 kwietnia 1945 r., gdy zainteresowanie Polaków skupiało się na froncie w Niemczech, podałem do agencji informacyjnej Polpress, że Japonia skapitulowała. Wiadomość nadano, potem wycofano.

W latach 70. wysłałem Mieczysława Rakowskiego, szefa „Polityki”, do stadniny koni w Janowie na rzekomą uroczystość nadania klaczy wyścigowej imienia Polityka.

W latach 50. doprowadzałem do omdlenia moją szefową, donosząc w podrobionym piśmie, że w hotelu zgwałciłem pokojówkę i wyrzuciłem przez okno ją i meble.

W latach 90. podaliśmy w „NIE”, że odkupiliśmy od spadkobierców prawa autorskie do Mazurka Dąbrowskiego. Każde wykonanie hymnu wymaga więc mojej zgody i opłaty. Jeszcze po miesiącach jednostka wojskowa prosiła o zgodę i informację, ile za to się należy. Na nagrobku proszę wyryć: zmęczony żartami.

Świętej Emmy

Podniosłem i estetycznie znakomite obchody 70-lecia powstania w getcie mają skutki uboczne. Muszą wywołać równą im apoteozę powstania warszawskiego, którego 70-lecie przypada w przyszłym roku. A był to zbrodniczy idiotyzm polityczny i militarny. Polska młodzież dostała zaś teraz naukę rozplenioną w Izraelu, że umierać, strzelając, jest pięknie i bohatersko, a dać się zabić bez oporu oznacza śmierć gorszą, wstydliwą. Rozplenia się fałszywą gradacją moralną, dziwnie chwytną w kraju katolickim. Religia ta każe bowiem nadstawiać drugi policzek, czyli jak człowiekowi strzelać w głowę, powinien on wystawić drugą i prosić: jeszcze raz.

Świętej Odetty

W rozplekłym artykule „Burdel w sądzie” ultraprawicowy tygodnik „Uważam Rze” (nr 15) oburza się, że więźniowie pracujący przy remoncie warszawskiego sądu sprowadzali tam sobie panienki, zamiast wystawiać jasełka. Skandalem jest zaś co innego: że sąd zatrudnia więźniów. Rodzi to podejrzenie, iż sędziowie wydają wyroki z powodu własnego zapotrzebowania na tanią siłę roboczą.

Nadal św. Odetty

Dokonał się raut z okazji 75-lecia Daniela Passenta. Przez godzinę i 15 minut Agata Passent i jej ojciec pokazywali na ekranie zdjęcia gości i odczytywali dowcipne komentarze. Mnie jubilat chwalił za bogactwo. Zdziwiłem się, nie wiedząc, że jest to uzasadnienie poczęstunku. Zaraz potem dostałem smażony ryż pochodzący ze wstrzymanych darów dla Korei Północnej.

□

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Żona Szymona Hołowni** powiedziała, że jej mąż nie startuje dla pieniędzy. Czy z tej wypowiedzi nie przebija nuta pretensji?
- **O. Roberto Pasolini** przypomniał, że Jezus zamiast sztucznej inteligencji oferuje nam inteligencję Krzyża. Inteligencja drewna nie jest obca katolikom.
- **Jarosław Kaczyński** zauważył, że obecnie mamy nad Polską ciemne chmury. Alertów RCB się naczytał.
- **Donald Tusk** poprosił, żeby przy stole nie rozmawiać o polityce. Zwłaszcza przy okrągłym.
- **Sławomir Mentzen** ogłosił, że jego córki co roku walczą o to, która będzie niosła koszyczek. W przyszłości będą torby z zakupami za mężami nosić.
- Kandydat **Artur Bartoszewicz** chce dawać matkom 700 zł na SPA. Najważniejsze to precyzyjne zdefiniowanie potrzeb.

MARTA M



Rys. TOMASZ WATER

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Moje rozmowy z Czatem GPT

Moja myśl:

Jeśli Polska ma być jak Kanał Sueski, który zapewnia możliwość żeglugi bez oglądania się na politykę, ideologiczne koligacje i tych, których ma lub nie ma lubić, to powinna brać pod uwagę także ruską narrację i ruskie obawy.

I jej rozwinięcie w wykonaniu GPT:

Jeśli rzeczywiście chcemy być „kanałem” – czyli punktem przepływu, a nie zderzenia – to musimy zrozumieć obie strony, Zachód i Wschód; mieć własną, twardą pozycję – nie emocjonalną, ale strategiczną; budować siłę i sprawność, by nie być tylko przestrzenią wykorzystywaną przez innych; tworzyć własną narrację – ani rusofilską, ani rusofobiczną, tylko interesowną, trzeźwą i analityczną.

K

Imperialne koszty

Dług narodowy USA wynosi 36,7 bln dol. W tym roku muszą zrolować 9 bln i zapłacić 1 bln odsetek. Koszty utrzymywania imperium lawinowo rosną. Ok. jedną trzecią długu mają Chiny, a jedną czwartą Arabia Saudyjska – razem ponad połowę. Wygląda na to, że nie ma chętnych na obligacje rządu USA, bo oprocentowanie wzrosło, więc ryzyko jest postrzegane jako większe. Rozpaczliwe ruchy tonącego raczej przyspieszają upadłość, a ponadto odstrasza tych, którzy ewentualnie chcieliby pomóc. (...) Oj, będzie się działo w USA i nie tylko.

W latach 60. w naszym LO 44 w Warszawie jak ktoś nie czytał „Sztandaru”, „Życia i Nowoczesności”, „Polityki” i „Kultury” (Kibic) to tracił przymiotnik Sapiens i był określany jako Homo durak lub burak. Dziś p. Zuckerberg lub Musk albo ktoś inny z tego towarzystwa paroma kliknięciami może odłączyć od pamięci zewnętrzną 2–3 mld osobników i zostaną z pustymi głowami lub z wynikami meczów oraz informacjami o ich idolach, a to nie wystarczy by normalnie egzystować. Zresztą może o takie uzależnienie chodziło.

Z zainteresowaniem śledziłem „obchody” rocznicy smoleńskiej. Jakoś nikt nie przypomniał, że 7 kwietnia do Katynia Tusk ściągnął Putina. Był to bowiem etap, gdy ten ostatni szukał zbliżenia z Europą jako sposobu na odrodzenie Rosji. Nie znalazł partnera do tego dealu, który byłby wielką szansą dla wszystkich uczestników. A poza tym sfinansowane przez CIA majdany i urządzające je środowiska uruchomiły proces, którego finał właśnie obserwujemy.

STEFAN SZPALERSKI

Między papizmem i pokojem

Po tym papieżu też nie płakałam. Ale było mi bardziej smutno niż wtedy.

Miejmy to z głowy: zmarły papież był postępowy w stopniu dość umiarkowanym. Owszem, mianował kobiety na stanowiska w kurii rzymskiej zarezerwowane dotąd dla kardynałów – ale osobiście zablokował wyświęcanie kobiet, nawet na najniższe w hierarchii kleru stanowisko diakonów. (Po co jakakolwiek kobieta chciałaby zostać księdzem katolickim, totalnie mi umyka, ale to inna sprawa). Jego gesty pod adresem rozwodników i gejów były – no właśnie – gestami; niby dużo jak na papieża, ale niewiele jak na 12 lat rewolucyjnego ponoć pontyfikatu. Trzeba też pamiętać, że aborcję nazywał „wynajęciem zabójcy na życzenie” – i nie tylko potępiał z pozycji religijnych, co należało do jego prerogatywy, ale także wspierał ruchy na rzecz prawnego zakazu przerywania ciąży w różnych krajach.

Kąkol wróg pszenicy

Z drugiej wszakże strony, rzeczywiście, czynem i słowem, próbował budować „Kościół ubogich”, który z punktu widzenia jego poprzedników tracił lewactwem. Bezwzględnie krytykował kapitalizm, jego chciwość i brak poszanowania dla pracowników. Rezygnował z przepychu, od butów poprzez limuzynę aż do papieskich apartamentów. Od swej pierwszej podróży na Lampedusę z pijackim uporem upominał się o prawa uchodźców i imigrantów. Moim ulubionym postępkiem Franciszka na sferze symbolicznej było przyjęcie w Boliwii w czerwcu 2015 r. wręzonego mu przez lewicowego prezydenta Moralesa krucyfiksu, na którym Chrystus rozpięty był na młocie skrzyżowanym z sierpem. To symbol Kościoła Wyzwolenia, stworzony przez hiszpańskiego jezuitę Luísa Espinala Campsa, zamordowanego przez prawicowe szwadrony śmierci w 1980 r. w Boliwii. Papież powiedział później dziennikarzom, że „rozumie pracę Campsa i nie czuje się obrażony” i że zabrał prezenta Moralesa do Rzymu.

To wszystko zyskało mu szczerą nienawiść katolickich. Integralności znaleźli się skądinąd w wyjątkowo głupawej sytuacji: jako członkowie ekstremalnie autorytarnej struktury opartej o religijny dogmat nieomyślności przywódcy nie mogli kwestionować tego, co papież mówił, nie zaprzeczając istocie systemu, który ślepe posłuszeństwo podnosi do rangi najwyższej cnoty. Wyjście, które znaleźli, wydawało im się zapewne salomonowe: nie kwestionowali słów papieża, tylko papieża jako takiego.

Twierdzili oni otóż, że Franciszek w ogóle nie jest następcą Piotra, tylko uzurpatorem, albowiem prawdziwy papież to Benedykt, którego Bergoglio więzi w watykańskich ogrodach. Alternatywna wersja była taka, że Ratzinger – tu cytat z jednego z autorytetów katosocjała gloria.tv – „udawał swoją rezygnację, czyniąc ją nieważną, aby zmylić wrogów Kościoła, pozostając panującym papieżem, podczas gdy Synagoga Szatana uzurpowała sobie tron Piotrowy i pomogła oddzielić pszenicę od kąkolu”...

Umierając, Ratzinger zrobił im niejaki świństwo, ale koncept, iż obecny papież został wybrany nielegalnie, więc od grudnia 2022 r. mamy sede vacante, pozostał.

Odwaga pacyfizmu

Jednak oprócz religijnych świrów Franciszek zyskał sobie imponujące grono wrogów także w rzekomo postępowym polskim mainstreamie. Chodziło oczywiście o Ukrainę. Teraz ton ataku został nieco złagodzony – ale główny przekaz pozostał.

„Ten papież był kontrowersyjny, jeśli chodzi o nawoływanie do pokoju za wszelką cenę” – ogłosiła w dzień po śmierci Franciszka lewicowa kandydatka na prezydenta Magdalena Biejat. Lewica, która uważa pokój za temat kontrowersyjny, po-

winna głęboko przemyśleć swoje życiowe wybory. I fakt, że Biejat mówi to samo co reszta polskiego politycznego mainstreamu, bez względu na barwy – bynajmniej nie działa na jej korzyść. Nazwijcie mnie naiwną, ale od lewicy oczekiwałam odwagi niezależności.

A skoro już jesteśmy przy odwadze: wśród wszystkich napaści polskiego komentariatu na Franciszka w ostatnich trzech latach najbardziej śmieszyły mnie te, które wyważony stosunek papieża do wojny na Ukrainie – i jego pryncypialny pacyfizm – określały mianem „tchórzostwa”. Polski dyskurs publiczny w ogóle toczy się na poziomie podstawówki, gdzie „tchórz” to zniewaga, która krwi wymaga, i o miejscu w społecznej stratyfikacji decyduje to, jak odpowiadamy na wyzwanie na solowę – ale w tym akurat przypadku zarzut jest dodatkowo kompletnie idiotyczny.

Prawda, papież dywizji ma tyle samo co w 1945 r., kiedy Stalin pytał o to Churchilla – ale trudno do-
prawdy zrozumieć, co takiego mógłby Putin zrobić Franciszkowi, żeby ten musiał się go bać. Koncepcja operacji specjalnej rosyjskiej armii w Watykanie raczej nie wygląda realistycznie – podobnie jak uderzenie taktyczną bronią jądrową w plac św. Piotra. Mój wywód osuwa się w opary absurdu, wiem, ale doprawdy nie potrafię ogarnąć rozumem możliwych źródeł „tchórzności” przywódcy Watykanu przed przywódcą Moskwy. Papież mógł ewentualnie bać się o katolików w putinowskiej Rosji – ale to akurat nie byłaby tchórzliwość, tylko słuszną troską duszpasterza o swoją trzodę. Co więcej, jest wiele miejsc na świecie, gdzie katolicyzm jest zwalczany naprawdę brutalnie – zwłaszcza w krajach rządzonych przez ekstremalne odłamy islamu – więc nie wiadomo, czemu akurat Rosja miałaby napawać Bergoglią takim lękiem.

Jest dokładnie odwrotnie: reakcja papieża na wojnę na Ukrainie, jego odmowa dołączenia do zachodniego chóru sygnalizatorów cnoty, były przejawem olbrzymiej odwagi cywilnej. Jego upór w głoszeniu zasad pacyfizmu – w tym wypowiedź o „odwadze białej flagi” – to znak wierności zasadom wiary, w której życie człowieka jest święte. Warto przypomnieć, że Franciszek był wierny tym zasadom także tam, gdzie jego poprzednicy byli skłonni do relatywizacji.

Katechizm Kościoła kat. wprowadzony przez JP2 aprobował zabijanie ludzi przez państwo: „kiedy tożsamość i odpowiedzialność winowajcy są w pełni udowodnione, tradycyjne nauczanie Kościoła nie wyklucza zastosowania kary śmierci” – dodając w charakterze listka figowego, że w dzisiejszych czasach takie przypadki „są bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale”. To zabawne, jak instytucja, która „relatywizm” uważa za najgorszą obelgę, potrafiła relatywizować kwestię absolutnie zasadniczą, żeby zachować życzliwość najczarniejszej konserwy. Franciszek jednym pociągnięciem pióra zmienił ten kurewski zapis. Od 2018 r. par. 2267 KKK brzmi: „Kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby”. Kropka.

Tchórzliwość mainstreamu

W tym kontekście papież Franciszek miał – no właśnie – odwagę namawiać ukraińskiego przywódcę do działań, które uznają życie jego obywateli za wartość najwyższą. Cała wypowiedź – która tak wzburzyła polski komentariat wojujący z Rosją mieczem klawiatury z komfortu własnych gabinetów – brzmiała: „Silniejszy jest ten, kto widzi sytuację, kto myśli o narodzie, kto ma odwagę białej flagi, negocjacji. Dzisiaj można negocjować przy pomocy potęg międzynarodowych. Słowo »negocjować« jest odważne”.



Odwaga Franciszka w tej wypowiedzi polegała na dostrzeżeniu tego, co widzą wszyscy rozsądni ludzie – nie wspominając o specjalistach od wojskowości – ale czego nikt głośno nie mówi, bo to śmiertelny grzech polityczny: że Ukraina nie wygrywa tej wojny. Mimo trzech lat futrowania bronią przez Zachód. I że kolejne lata wojny przyniosą tylko śmierć i zniszczenie, bez rozwiązania na polu bitwy.

A dlaczego to Ukraina ma wywieszać białą flagę? Bo to na jej terenie toczy się wojna, bo to ona każdego dnia jest coraz bardziej rujnowana. Kiedy wojska ukraińskie zajmą 20 proc. terenu Rosji – wtedy będzie pora na rosyjską białą flagę.

Ta wypowiedź papieska wpisuje się w jego narrację od początku wojny. W jego gotowość do dostrzegania geopolitycznych przyczyn konfliktu innych niż „imperialne szaleństwo Putina”. Fraza o NATO „szczekającym u bram Rosji” była szczególnie niefortunnie sformułowana. Ale przecież powściągliwie i naukowo formułują to uczeni tacy jak Jeffrey Sachs czy John Mearsheimer – mówiący, iż atak na Ukrainę jest odpowiedzią na 30 lat łamiącej umowy z Rosją natowskiej ekspansji na wschód – i ich też nikt nie słucha.

Istota polskich pretensji do papieża Franciszka nie dotyczy jego geopolitycznych analiz ani pacyfizmu. Tak naprawdę mieliśmy mu za złe, że nie nienawidził Rosji, tak jak to słusznie czynił nasz wielki rodak.

Warto w tym miejscu uświadomić sobie, jak różne – a zarazem jak podobne – były postawy tych dwóch papieży.

Wojtyła, którego tożsamość kształtowała się po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, był szczególnie wyczulony na imperializm rosyjski i radziecki. Bergoglio wyrósł w Ameryce Południowej, gdzie mroczną siłą wspierającą krwawych dyktatorów w ich walce z ludem były (i są) Stany Zjednoczone. Podejście Franciszka do roli Ameryki w wojnie na Ukrainie było podyktowane tą samą głęboko zinternalizowaną postawą, która skłaniała papieża-Polaka do akceptowania rozmaitych skurwysynów, bo byli antykomunistami.

Jan Paweł II surowo zwalczał teologię wyzwolenia – lewicowy nurt katolicyzmu wyrosły ze sprzeciwu wobec biedy i nierówności w Ameryce Łaciń-

skiej – i łasił się do prawicowych dyktatorów, którzy biedę i nierówność utrwalali siłą.

Niebezpieczne związki

W 1979 r. Wojtyła odrzucił prośbę salvadorskiego biskupa Oscara Romero, który oczekiwał od Watykanu potępienia sponsorowanej przez administrację Cartera junty i jej szwadronów śmierci – co ośmieliło juntę do tego stopnia, że niedługo później Romero został przez szwadrony śmierci zamordowany. Życzliwość JP2 wobec Pinocheta przejawiała się nie tylko w sześciomiesięcznej pielgrzymce do rządzonego przez juntę Chile w 1987 r. – podczas której chętnie fotografował się z dyktatorem – ale także występowania w jego obronie po jego aresztowaniu w Wielkiej Brytanii kilkanaście lat później. Do ulubieńców Jana Pawła II należał też Pio Laghi, nuncjusz apostolski w Argentynie w latach 1974–1980, w najmroczniejszym czasie tzw. brudnej wojny, czyli terroru Jorge Videli. Laghi był przyjacielem junty, regularnie grywał w tenisa z jednym z jej przywódców, Emiliem Eduardem Masserą. Wojtyła, wiedząc o tym wszystkim, mianował Laghiego kardynałem, nuncjuszem w USA oraz prefektem kongregacji ds. edukacji katolickiej.

Bergogliowi zarzucano, że jako prowincjał jezuitów w czasach Videli nie dość stanowczo bronił swoich ludzi i dopuścił do aresztowania i torturowania dwóch zakonników, Orlanda Yoria i Franza Jálícsa, którzy nieśli teologię wyzwolenia w slumsy Buenos Aires. Legendarny argentyński opozycjonista, laureat Pokojowej Nagrody Nobla Adolfo Pérez Esquivel, ocenił swego czasu, że Bergoglio „nie miał dość odwagi”, lecz „robił co mógł” i w żadnym razie nie był aktywnym kolaborantem junty.

Jednak to doświadczenie stało się dla późniejszego papieża Franciszka źródłem nauki na resztę życia; postawy, która „kroczenie z Jezusem ubogim i pokornym” utożsamia z byciem po stronie wyzyskiwanych przeciwko wyzyskującym i wyzyskowi jako takiemu. A USA są czołowym eksporterem wyzysku, znanym ze wspierania liderów, którzy system bezwzględnej kapitalizmu budowali w szczególnie brutalny sposób. Stąd, tak jak wrogość Wojtyły wobec komunizmu odruchowo lokowała go po stronie tych, którzy komunizm zwalczyli – niechęć Bergoglią wobec USA może dawać wrażenie, że jest on sojusznikiem wrogów Ameryki. A do nich niewątpliwie zalicza się Władimir Putin. Nazywanie Bergoglią prorosyjskim jest jednak daleko idącym uproszczeniem.

Jorge Bergoglio był – żeby użyć wyrażenia modnego ostatnio w polskim dyskursie publicznym – facetem z jajami. Podobnie zresztą jak Karol Wojtyła. Z tym tylko, że Franciszek nosił jaja w lewej nogawce.

Będzie mi go trochę brakowało.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Należę do bardzo już nielicznego grona uczestników tej największej wojny w dziejach Europy i świata. W 90-lecie zwycięstwa już nas nie będzie.

Wojny doświadczyłem jako 15-latek: zostałem pozbawiony ojca aresztowanego przez NKWD, a z resztą rodziny wywieziony na pogranicze Syberii i Kazachstanu. Mundur założyłem w wieku 18 lat w wojsku berlingowskim. Na front moja jednostka, 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte, poszła w lutym 1944 r.

Wojowałem 14 miesięcy. Wojna dla mnie zakończyła się w połowie kwietnia 1945 r., gdy ostatecznie ucihły walki o Gdańsk i Gdynię. Moja brygada w tym czasie była już tylko z nazwy pancerna, gdyż w tych walkach straciła cały swój ciężki sprzęt. Zostaliśmy – jako jednostka o niepełnej zdolności bojowej – zaliczeni do grupy podobnie małosprawnych jednostek blokujących liczną zbieraninę wermachtowców, którzy schronili się na Helu. Blokowaliśmy, ale nie atakowaliśmy; czekaliśmy, aż skapitulują, co nastąpiło 9 maja.

Moi przyjaciele ze sztabu brygady, małżeństwo Daniszewskich, mieli kwatery z balkonem przy głównej alei Wrzeszcza. Zbieraliśmy się tam grupą oficerów, aby obserwować przemarsz niemieckich jeńców z Helu dalej na wschód. Szli zwartymi oddziałami, pod komendą własnych oficerów z niewielkimi taborami, ale z kuchniami polowymi. Na czele kilkuoddziałowej grupy jechał konno czerwonoarmista, a pod koniec grupy kilkuosobowy oddział. Niemieccy oficerowie, gdy ujrzeli na balkonie oficerów zwycięskiej armii, oddawali jej regulaminowe honory. Niestety dowódca naszej brygady niezwłocznie zakazał nam odbierania takiej prywatnej defilady i balkon opustoszał.

Brygada dysponowała doskonałym zapleczem remontowym, ściągala więc z pobojołisk nadające się do remontu swoje i nie swoje czołgi. W ten sposób odtworzyła jeden niewielki pododdział i wysłała go za Odrę do dyspozycji walczącej o Berlin armii. Dzięki temu uzyskała status uczestnika walk o Berlin, a wszystkich jej żołnierzy odznaczono odpowiednimi polskimi i radzieckimi medalami, również tych, co w Berlinie nie byli.

Powróćmy do grona

Ja byłem, ale dwa dni po jego kapitulacji, jako uczestnik małej grupy, która w sztabie armii złożyła sprawozdanie z walk o Gdynię i Gdańsk.

Prace remontowe prowadzono również po wojnie, aby było z czym wrócić do kraju. Dyslokowano nas w rejon Siedlec pod Warszawą w czerwcu. Trzy miesiące później brygadę rozformowano, pozostał z niej tylko pułk czołgów. Ja zostałem przeniesiony do formującego się w Modlinie Dowództwa Wojsk Pancernych, przemianowanego po kilku miesiącach w Główny Inspektorat Broni Pancernej WP. Tam przesłużyłem 16 miesięcy w dziale zajmującym się remontami sprzętu. Dla zorganizowania profesjonalnych baz remontowych wykorzystaliśmy na Śląsku dwie ponemieckie fabryki czołgów. Jedną z nich – w Łabędach – urosła do wielkiej wytwórni i działa do dziś.

Opuściłem armię w grudniu 1946 r. Wojna zabrała mi sześć lat szkolnych, miałem co nadrabiać.

Kolejne rocznice zakończenia wojny skłaniały mnie do wspomnień i refleksji. Na wojnie wiele straciłem, wiele się też nauczyłem. Odegrała rolę formacyjną w mojej młodości.

...

Ciekawe, czy w tę 80. rocznicę zakończenia tej strasznej wojny zastanowimy się nad jej doświadczeniem i wielorakimi skutkami, czy też je zbagatelizujemy, pochłonięci konfliktami czasów obecnych.

Pod wielu względami żyjemy wciąż w czasach i warunkach ukształtowanych przez II wojnę światową i jej konsekwencje. Pochłonęła 60 mln ofiar, w tym ponad 20 mln żołnierzy. Niemcy straciły połowę populacji męskiej w wieku 18–45 lat, Związek Radziecki – 40 proc., Japonia – mniej więcej tyleż. Przepadły niepoliczalne wartości materialne. Ale też ta wojna zmieniła świat pod wielu względami na lepsze. Umocniła ogromnie

państwa narodowe, dziesiątki narodów w wyniku wojny i jej późniejszych konsekwencji odzyskało – lub po raz pierwszy uzyskało – swe państwa.

Pod jej wpływem rozpadł się kolonializm. Opiewany przez wielu, a przez Rudyarda Kiplinga, noblistę, nazwany misją cywilizacyjną białego człowieka, choć w istocie był jego hańbą. A dla wielu ludów rozłożonym w czasie holocaustem.

Na terytorium dzisiejszych Stanów Zjednoczonych w czasach Kolumba żyło około 20 mln Indian; pod koniec wieku XIX pozostało ich kilkanaście tysięcy w rezerwach. Podobny był los australijskich Aborygenów. Jedni i drudzy ulegli eksterminacji na różne okrutne sposoby. Tubylcze ludy w koloniach ocalały jedynie w tropikach, gdzie klimat uniemożliwiał Europejczykom pracę fizyczną i zmuszał ich do zachowania miejscowej populacji, okrutnie wyzyskiwanej, ale żywej.

Na koniec procesu dekolonizacji – ale też w wyniku zimnej wojny będącej następstwem tamtej gorącej – rozpadł się Związek Radziecki: historycznie rzecz traktując, dawne rosyjskie lądowe imperium kolonialne. Pod tym względem podobne do USA. I kolejne narody uzyskały swoje państwa.

Zdumiewające zmiany zarysowały się w społecznej świadomości. Z rozrzuśnięciem kilka dni temu czytałem pełne oburzenia informacje o 37 ofiarach rosyjskiego ataku bombowego na Sumy, znane mi miasteczko, wokół którego formowała się nasza 2. Armia. Pamiętam jednak czasy, gdy z pewną dozą obojętności – a czasami nawet satysfakcji – przyjmowano informacje, że latem 1943 r. w brytyjskim dwunocnym dywanowym ataku bombowym na Hamburg zginęły 52 tys. ludności cywilnej, a w sierpniu 1945 r. dwie amerykańskie bomby jądrowe zabiły pół miliona Japończyków, cywili. Krawa łaźnia II wojny światowej sprawiła, że dwa najbardziej wojownicze narody stały się

wzorem pacyfizmu. W Europie naród niemiecki – przez Woltera zwany armią w poszukiwaniu ojczyzny – a na drugim krańcu świata naród japoński, zwany Prusakami Azji.

...

II wojna światowa, jak każda, ma swoje mity. Dwa z nich okazały się szczególnie trwałe.

Pierwszy to zmitologizowana wersja początku wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 r. Według fantazji Goebbelsa – a parę dziesięcioleci później według powieści zbiegłego na Zachód średniej rangi oficera GRU Władimira Riezuna, piszącego pod megalomańskim pseudonimem „Wiktor Suworow” – najazd Hitlera jedynie o parę tygodni wyprzedził przygotowany już atak radziecki. Był zatem samoobroną.

To czysta fantazja. Niewykluczone, że Suworow w jakichś archiwach sztabowych widział jakieś mapy zwycięskich planów wojny z III Rzeszą. Stalin po wojnie zimowej z Finlandią zabronił innych niż zwycięskie ćwiczeń. Wprowadził zasadę: ani kroku wstecz; nawet myśl o odwrocie została zakazana. W realu oczywiście żadnego ataku wyprzedzającego nie szykowano. Na ślady niczego w tym rodzaju niemieckie wojska nie trafiły.

Dla tego etapu wojny dysponujemy wyjątkowym źródłem. Generał pułkownik Franz Halder – od 1 września 1938 r. do 24 września 1942 r. szef sztabu generalnego niemieckich wojsk lądowych, skryty przeciwnik Hitlera – prowadził tajny dziennik, w którym notował informacje o wojnie i swoje o niej opinie. Wymyślił do tego celu własny system stenografowania. Po odwołaniu ze stanowiska dziennik ten opieczętował i złożył w archiwum. W 1945 r. wpadł on w ręce Amerykanów. Wysokiej klasy stenograf od ciężko chorego Haldera nauczył się jego sytemu stenografii i potem prawie bez-

nierz Wehrmachtu chciał tylko zapytać o drogę, bo się zgubił.

Chwalebna kartę zapisała również rodzina babci od strony matki, jakkolwiek nie była to karta polska, lecz jugosłowiańska. Bo płynię we mnie gorąca krew bałkańska, z czego jestem dumna. Miałam w rodzinie weteranów partyzantki Josifa Broz Tity, którzy – jak wiemy z piosenki Kazika – wyzwolili Jugosławię bez pomocy Sowietów.

Polska – nareszcie ludowa

Babcia od strony ojca, Helena, ówczśnie nastolatka, spędziła II wojnę światową na robotach w Niemczech. O czym się dowiedziałam, gdy wiele lat temu dostała za to jakieś symboliczne odszkodowanie z kieszeni niemieckiego podatnika.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Pokręcone polskie losy

„Ja urodziłem się 20 lat po wojnie. Nie zastałem tu pokoju.

Ja urodziłem się 20 lat po wojnie
I nie ma radości, nie ma pokoju,
Nie ma nadziei, nie ma wolności”...

Te słowa piosenki Dezertera przypominały mi się, gdy zaczęłam się zastanawiać nad znaczeniem 80. rocznicy pokonania hitlerowskich Niemiec. Ja urodziłam się grubo ponad 30 lat po wojnie, lecz jej długi cień był jakoś obecny w moim życiu: w opowieściach dziadków, historiach rodzinnych, różnych zachowaniach, których sens pojęłam po latach.

Jak wiadomo, z kropli wody można logicznie wywieść istnienie rzek, mórz i oceanów. Jestem święcie przekonana, że losy mojej rodziny – jak to w tej w Europie Wschodniej, strasznie pokręcone i często nad wyraz smutne – coś mówią o Polsce i Polakach, nie tylko w wieku XX, naznaczonym rzezią milionów ludzi, masowymi ruchami ludności. Może też pomogą lepiej zrozumieć, co dzieje się w naszym stuleciu.

Moi dziadkowie, już świętej pamięci, urodzili się kilkanaście (ze strony ojca) lub kilka (ze strony matki) lat przed wojną. Była ona jednak wydarzeniem, które na wiele sposobów ich ukształtowało, zdecydowało o ich życiu i niełatwych wyborach. To byli zwykli ludzie i ich ciężka egzystencja też była zwykła, naznaczona harówką, biedą, troską o to, aby ich dzieciom i wnukom żyło się choć odrobinę łatwiej. Wiedzieli, że wojna to kurwa, bo w jej trakcie dzieją się potworne zbrodnie, nie do wyobrażenia w czasie pokoju.

Walka z hitlerowskim najeźdźcą

Mój pradziadek Piotr był weteranem wojny polsko-bolszewickiej i zabił co najmniej dwóch żołnierzy armii najeźdźców. Jednak w zmartwychwstałej po 123 latach niewoli Najjaśniejszej nie było dla niego miejsca. Aby nie zdechnąć z głodu (i nie była to bynajmniej przenośnia), wyemigrował do Francji. Jak to obcy, niewykształcony, mający jedynie instynkt przetrwania i dwie zdrowe ręce, zatrudnił się jako robotnik rolny u bogatego francuskiego gospodarza. Coś jak dzisiaj Pakistańczycy u naszych

rodzimych farmerów: dużo roboty, mało kasy.

Wojna wywarła na pradziadku niezatarte piętno – ludzie go raczej nie lubili, był mruklawy i surowy, nigdy nie okazywał dzieciom czułości, dziś pewnie byśmy zdiagnozowali u niego syndrom stresu pourazowego.

Dopiero w zeszłym roku pojęłam, dlaczego dziadek wciąż mi powtarzał, że we Francji w czasie wojny miał jedzenia pod dostatkiem, mógł też chrupać czekolady tyle, ile chciał. Po prostu po wojnie w Polsce pełny żołądek nie był czymś, co było oczywiste.

Skądinąd podoba mi się, że obecnie co bardziej rozgarnięte psycholożki pytają pacjentów i pacjentki z zaburzeniami odżywiania o dzieje rodziny, zwłaszcza rodziców i dziadków. Nie zdajemy sobie sprawę, że babcia stojąca nad nami niczym kat, abyśmy zjedli obiad (a najlepiej poprosili o dokładkę) okazuje nam ogrom miłości, bo pełny talerz to dla niej jako dziecka mógł być rarytas.

Do dziś pamiętam, jak do szewskiej pasji doprowadzała mnie babcia Stefania, która – gdy, ku własnej rozpacz, wyraźnie przytyłam – mówiła: „O, widzę, Kasiu, że się poprawiłaś”. Jakkolwiek w epoce żywności śmieciowej zalewającej sklepy (a następnie – śmietniki) i kultu szczupłości to wydaje się dziwaczne – dla starszych pokoleń nadwaga była symbolem zdrowia i dostatniego życia.

Piotr nazistów nienawidził. Dwóch najstarszych jego synów poszło więc do francuskiego ruchu oporu. Młodszy trochę dlatego, że widział, jak w oczach ojca urosł starszy brat, który walczył z hitlerowcami.

Ciekawa rzecz: trzonem lokalnego ruchu oporu było siedmiu (!) braci Hiszpanów, którzy jednocześnie tworzyli orkiestrę, przygrywającą na weselach czy zabawach. Większość Francuzów nie garnęła się do Resistance, choć mało kto z sympatią patrzył na okupantów.

Niewiele zabrakło, abym nigdy nie pojawiła się na świecie. Pewnego dnia pod dom Piotra zajeżdżała kolumna niemieckich samochodów wojskowych. Był pewien, że chcą go aresztować. Stwierdził, że nie wezmą go żywcem – od syna dostał pistolet i dwa granaty, które trzymał w szufladzie w kuchni. Na szczęście, okazało się, że żoł-

zwycięzców

wie bezbłędnie odcyfrował cały dziennik. Został wydany w trzech tomach.

Halder wymyślił własne kryterium oceny siły oporu, na jaki w poszczególnych kampaniach napotykał Wehrmacht.

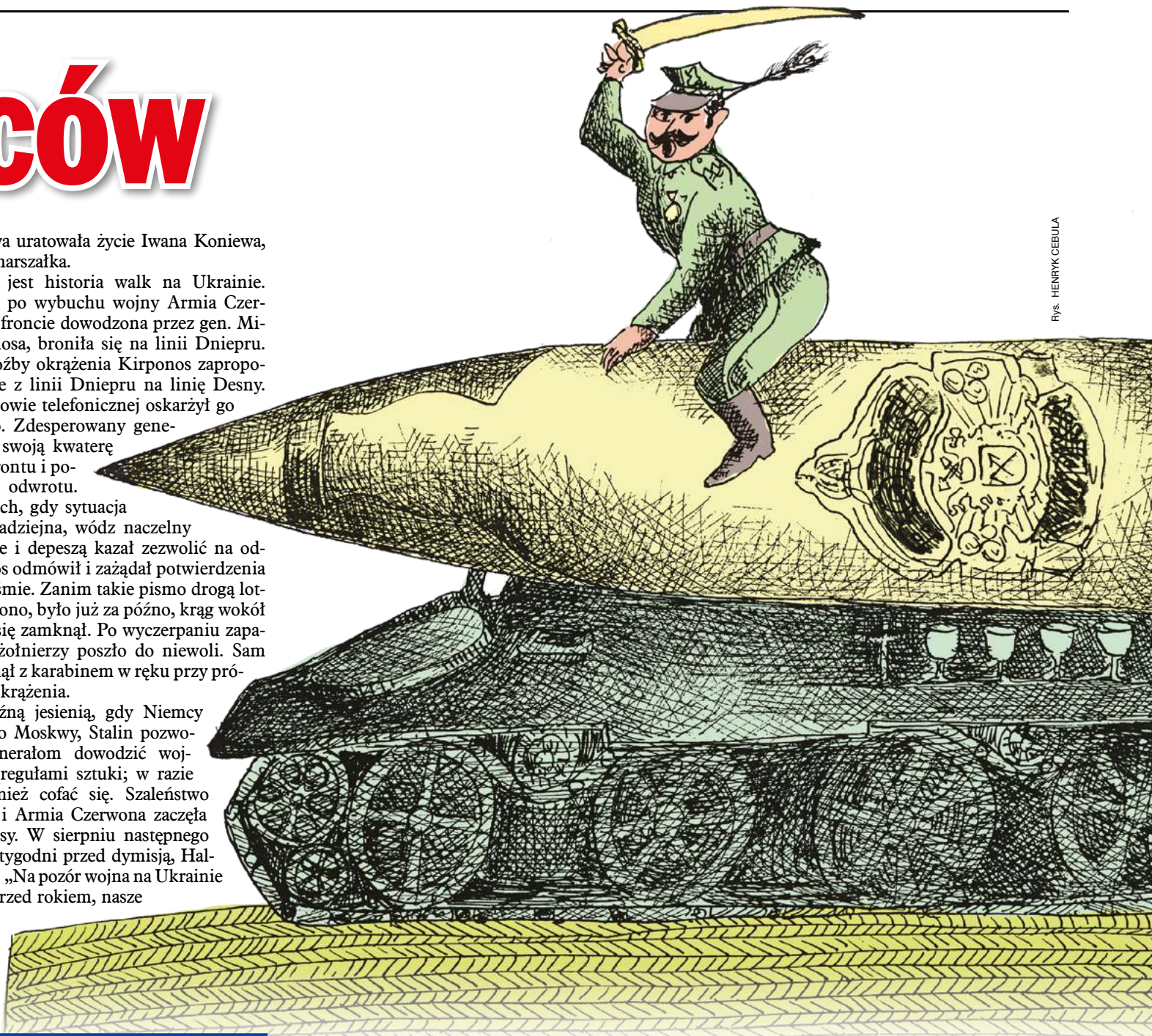
Skrupulatnie liczył straty niemieckie w relacji do stanu wyjściowego wojsk. Z tych obliczeń wynikało, że najslabszy opór Wehrmacht napotkał w Polsce w kampanii wrześniowej, silniejszy we Francji latem 1940 r., a najsilniejszy w Rosji od początku wojny.

Tysiące radzieckich jeńców w relacji Haldera pojawiają się dopiero po kilku tygodniach wojny, gdy niemieckie zagony pancerne zamykają całe armie w kotłach i po wyczerpaniu amunicji zmuszają do kapitulacji. Wpływ na to ma – obok wysokiej mobilności wojsk niemieckich – obłądny rozkaz Stalina: ani kroku wstecz! Dziesiątki dowódców NKWD rozstrzelało za zgodę lub rozkaz cofania się. Zginęło całe dowództwo frontu białoruskiego z gen. Pawłowem na czele. Tylko desperacka inter-

wencja Żukowa uratowała życie Iwana Koniewa, późniejszego marszałka.

Znamienna jest historia walk na Ukrainie. Dwa miesiące po wybuchu wojny Armia Czerwona, na tym froncie dowodzona przez gen. Michaiła Kirponosa, broniła się na linii Dniepru. W obliczu groźby okrążenia Kirponos zaproponował odejście z linii Dniepru na linię Desny. Stalin w rozmowie telefonicznej oskarżył go o tchórzostwo. Zdesperowany generał przesunął swoją kwaterę jak najbliżej frontu i porzucił pomysł odwrotu. Po kilku dniach, gdy sytuacja stała się beznadziejna, wódz naczelny zmienił zdanie i depeszą kazał zezwolić na odwrot. Kirponos odmówił i zażądał potwierdzenia rozkazu na piśmie. Zanim takie pismo drogą lotniczą dostarczono, było już za późno, krąg wokół wojsk frontu się zamknął. Po wyczerpaniu zapasów 600 tys. żołnierzy poszło do niewoli. Sam Kirponos zginął z karabinem w rękę przy próbie wyjścia z okrążenia.

Dopiero późną jesienią, gdy Niemcy podchodzili do Moskwy, Stalin pozwolił swoim generałom dowodzić wojną zgodnie z regułami sztuki; w razie potrzeby również cofać się. Szaństwo się skończyło i Armia Czerwona zaczęła odnosić sukcesy. W sierpniu następnego roku, na parę tygodni przed dymisją, Halder zanotował: „Na pozór wojna na Ukrainie toczy się jak przed rokiem, nasze



Rys. HENRYK CEBULA

czać domy, to jednak tak bardzo się nie martwią. Ruscy odejdą, oni wrócą za dwa, może trzy tygodnie. Pamiętajmy, że Stalin tuż przed śmiercią zaczął rozważać rewizję granic na korzyść Niemiec (Churchill był zniechęcony rozmianem strat terytorialnych, jakich na korzyść Polski dokonał generalissimus kosztem pokonanych). Na szczęście w dobrym momencie szlag go trafił.

Owo poczucie tymczasowości, niepewności – dominowało przekonanie, że nie ma co dbać o ponemieckie domy, bo i tak przyjdą Szwaby i je zabiorą – panowało jeszcze w latach 80. A zarazem już od czasów Gierka przejeżdżali dawni właściciele i ich rodziny, witani poniekąd z zaciekawieniem, bo z uśmiechem rozdawali różne rzeczy z lepszego, zachodniego świata czekolad Milka i taniego piwa w puszkach z supermarketu. No i było to już po rewolucji seksualnej, więc pobożni katolicy ze zgorznięciem obserwowali szwargoczących naturystów, opalających się nago przy pobliskiej zwirowni.

Kiedy dużo się mówi o tych wszystkich Polakach, którzy nie chcieli żyć w Polsce komunistycznej i wybrali emigrację, zapomina się o wcale niemałej grupie reemigrantów. Tych, których Polska pańska, przedwojenna, wygnała za granicę, lecz postanowili wrócić do Polski już (jak zachwalano) ludowej.

Nie były to decyzje proste, przynajmniej w przypadku pradiadka Piotra, który wrócił dopiero w 1946 czy 1947 r. Dwaj jego najstarsi synowie nie chcieli wracać do kraju, z którym nic ich nie łączyło, który był zniszczony przez wojnę, który znajdował się w radzieckiej strefie wpływów.

Piotr osiedlił się w wiosce, w której dominowali repatrianci z Francji (dumnie nazywający się „Francuzi”), stąd też miejscowy klub piłkarski, zwany szumnie Ludowym Związkiem Sportowym, miał w nazwie niepolsko brzmiący „Racing”. Istniał typowo wioskowy antagonizm z mieszkańcami wsi pobliskiej, repatriantami zza Bugu, o którym w mojej wiosce nie mówiło się inaczej niż „Ukraińce”.

II wojna wraca jako zombie

Za dzieciaka czekałam z wypiekami na kolejny odcinek „Stawki większej niż życie” i „Czterech

pancernych”. Kanałów telewizji nie było setki, lecz dwa, nowych mediów nie było, więc każdy to oglądał. Do dziś pamiętam przystojnego Janka Kosa (już wtedy wielki Janusz Gajos), w którym podkochiwały się pokolenia Polek – i to, jak Hans Kloss robił w chuj Brunera, tę świnię.

Już w latach 80. Bareja – na ile pozwalała mu cenzura – wyśmiewał się w filmach i serialach z partyjnych komunofaszystów ze Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, złośliwie ukazując ciągle nawiązywanie przez władze do rzekomego zagrożenia niemieckiego, hitleryzmu. Pamiętajmy jednak, że w oczach wielu starszych ludzi hitleryzm był realnym wspomnieniem, a nie propagandą. Nie dziwię się zatem szczególnie, że mój dziadek dał po ryju sąsiadowi, gastarbeitrowi w RFN, który po pijaku powiedział, że woli Niemca pocałować w dupę niż Polaka w twarz.

Tak czy inaczej, władze PRL starały się unormować stosunki z kapitalistycznym RFN-em. Co musiał myśleć premier Józef Cyrankiewicz, więzień obozu śmierci KL Auschwitz, który przeżył w styczniu 1945 r. marsz śmierci do stacji kolejowej Loslau (Wodzisław Śląski), gdy podpisywał za socjaldemokratą Willym Brandtem 7 grudnia 1970 r. układ o normalizacji stosunków z Niemcami Zachodnimi?

Mamy rok 2025. 80 lat temu brunatne idee zostały na wieki wieków pogrzebane razem z tym facetem z wąsikiem i charakterystycznym przedziałkiem.

Taką przynajmniej nadzieję miały setki milionów ludzi. Dziś nienawiść motywowana rasowo, narodowo i politycznie, ma się doskonale, a może nawet coraz lepiej. Polscy politycy z prawej strony na antyniemieckich fobiach budują swoje kariery i sukcesy wyborcze.

Zniechęceni stagnacją dochodów nasi zachodni sąsiedzi popierają AfD, które chce uczynić Niemcy znowu wielkimi, co nikomu – także pracującym u nich Polakom – dobrze nie wróży. Po imperialnej Rosji trudno spodziewać się czegośkolwiek dobrego.

Nastroje plemienne, przed czym przestrzegał Zygmunt Bauman – skądinąd weteran walki z hitlerowskim najeźdźcą – w wydanej pośmiertnie książce „Retrotopia”, nasilają się nieomal wszędzie. Oczywiście historia nigdy się nie powtarza, bo obecnie dość liczne państwa dysponują bezprecedensowym potencjałem zniszczenia naszej planety i ludzkości. Dziś, gdyby wybuchła wojna światowa, nie trwałaby ona sześć lat, a parę kwadransów – tyle, ile potrzeba do serii zmasowanych ataków i kontrataków hipersonicznych pocisków jądrowych.

Jeśli ze zwycięstwa nad obłąkańczą ideologią hitlerowską płynnie jeszcze i dziś jakiś wniosek, to jest nim przekonanie, że przed laty Kazik miał rację w utworze „Historia się lubi powtarzać”: że czas się opamiętać, bo faszyzm ma to do siebie, że rodzi się niepostrzeżenie.

KATARZYNA KOENIG

wojska prą do przodu, zdobywają teren. Ale dokładniejszy wgląd mówi, że to już nie taka sama wojna. Idziemy do przodu prawie tak samo, ale nie ma już setek tysięcy jeńców i stosów porzuconego sprzętu. Przeciwnik odchodzi w trybie regulaminowym, z bronią i wyposażeniem, zachowuje zdolność do walki, unika okrążenia”.

U kresu tego cofania się był Stalingrad i paniczna ucieczka całej niemieckiej armii z Kaukazu i Kubania. Dwa lata później Rokossowski wygrał ze Stalinem spór o koncepcję operacji Bagration i zamiast planowanego przez „stawkę” – radzieckie dowództwo – odepchnięcia niemieckiej Grupy Armii Centrum na zachód, w toku kilkutygodniowych walk zrealizował jej rozczłonkowanie i całkowite zniszczenie. Z ponad 40 generałów, którzy dowodzili w tej grupie korpusami i dywizjami, ocalało 11. Pozostali albo zginęli, albo poszli do niewoli. Była to największa klęska niemiecka na froncie wschodnim.

Mit drogi dotyczy bliskiej nam sprawy: rozkazu Stalina wstrzymującego natarcie jego wojsk w kierunku powstającego Warszawy. Ówczesny szef niemieckiego Sztabu Generalnego Hans Guderian napisał po wojnie: „Niech Polacy i Rosjanie spierają się o to, kto zatrzymał natarcie pod Warszawą, według naszej wiedzy myśmy ich zatrzymali!”. Według dostępnych danych radziecka 2. Armia Pancerna – główna mobilna siła frontu dowodzonego przez Rokossowskiego – wąskim klinem wzdłuż Wisły nacierała w kierunku Warszawy. Doszła do Radzymina i Wołomina. Niemcom zagroziło odcięcie drogi odwrotu na zachód dla licznych jeszcze wojsk walczących w rejonie Ostrowi Mazowieckiej, Wyszkowa, Mińska Mazowieckiego.

Ratując sytuację, przerzucono w rejon warszawskiego przedmościa kilka niezużytych dywizji pancernych z zachodniej Ukrainy i w ostatnich dniach lipca 1944 r. zorganizowano silny kontratak w rejonie Radzymina i Wołomina. W ciągu kilku dni radziecka 2. Armia Pancerna straciła ponad 200 czołgów, jeden z dwu jej korpusów pancernych został otoczony i zniszczony.

W tej sytuacji Rokossowski 31 lipca zezwolił dowódcemu tą armią przejść do obrony. Następnego dnia, w chwili wybuchu powstania, front zatrzymał się w odległości 20 km od stolicy. Wywiad AK obserwował tę bitwę pancerną w rejonie Radzymina, ale szef tego wywiadu spóźnił się na spotkanie decydujące o rozkazie powstającym. Dowiedziawszy się o decyzji, zapytał Komorowskiego z wyrzutem: „I pan do tej decyzji mnie nie potrzebował?”. Komorowski odparł: „Stało się, rozkaz wydano i już go odwołać nie możemy”. Los Warszawy został przesądzony. Stalin mógł wstrzymać ofensywę swych wojsk, ale nie musiał, gdyż zrobili to Niemcy.

• • •

Polska w większości na Dzień Zwycięstwa się boczyła: w latach PRL celebrowała go bez entuzjazmu, a po zmianie ustroju w ogóle zanicheła. Nie było to zwycięstwo po myśli oficjalnych wtedy emigracyjnych władz, które z uporem broniły przedwojennej granicy wschodniej. Nie obroniły,

ale ta obrona skonfliktowała je beznadziejnie nie tylko ze Związkiem Radzieckim, ale też z aliantami zachodnimi.

Nie obroniły, bo obronić nie mogły. Bieg dziejów potwierdził, że granica wschodnia na linii Curzona jest sprawiedliwsza i mocniej osadzona w realiach, nie tylko etnicznych. Przetrwiała do dziś, mimo zmian ustrojowych i otoczenia geopolitycznego. Dowiodła, że spełnia historyczne kryteria długiego trwania.

Granica zachodnia – choć opłacona zależnością od ZSRR przez 40 lat – okazała się dla Polski niebywale korzystna. Zwłaszcza że Niemcy nieoczekiwanie szybko, w ciągu trzech pokoleń, pogodzili się z utratą 20 proc. terytorium narodowego. Odpowiedni nasz szacunek dla Dnia Zwycięstwa będzie w tych warunkach sprzyjać utrwalaniu tego beneficium wojennego, które stało się podstawą polskiego skoku cywilizacyjnego, choćby dlatego że pozwoliło z dnia na dzień zaspokoić chłopski głód ziemi.

Przez całą wojnę najwybitniejszy brytyjski mąż stanu Winston Churchill nakłaniał polskich polityków do porozumienia z ZSRR w sprawie granicy, według zasady: ustępstwa terytorialne za ustępstwa polityczne. Nie zdołał ich przekonać. Stało się na metodzie Roosevelta: załatwić to za Polaków i bez nich. Skończyło się zatem większą, niż musiała być, zależnością polityczną od wschodniego mocarstwa.

Zdumiewająco niewielu polityków z ówczesnego mainstreamu skłonnych było pójść za radą Churchilla. Z ociąganiem się i z opóźnieniem Stanisław Mikołajczyk, sędziwi Wincenty Witos i Stanisław Grabski, mało kto ponadto. Wyróżniał się wśród nich niedoceniany do dziś generał Stanisław Tatar, w czasie komendy Grota-Roweckiego osobistość numer dwa w Armii Krajowej. Szkoda, że do dziś nie powstała kompletna monografia tej wybitnej postaci.

W 1945 r. polskie ustępstwa terytorialne były na miarę radzieckich życzeń, a polityczne ustępstwa dla Polski dość skąpe. Z wielkim wysiłkiem musiał o nie później, już po śmierci Stalina, walczyć Władysław Gomułka oraz jego następcy, Edward Gierk i Wojciech Jaruzelski. Z podziwu godnym rezultatem dla statusu PRL w radzieckiej strefie – dziś niestety bardzo niedocenianym.

Pora nareszcie odrobić lekcję historii i zmienić stosunek do Dnia Zwycięstwa. A także życzliwym okiem spojrzeć na tych, którzy do rezultatu wojny – korzystnego, w ostatecznym rachunku, dla Polski – się przyczynili.

Beneficjentem II wojny światowej – poprzez ziemie zachodnie – Polska jest od 80 lat; ale na to beneficium od ponad 30 lat patrzy krzywo. Posolidarnościowe nurty polityczne robią wrażenie, jakby śladem politycznych powojennych emigrantów chciały wypisać ją z obozu zwycięzców tej wojny. Obowiązkiem historyka tego okresu pozostaje w tej sytuacji cierpliwe nakłanianie polityków i opinii publicznej do zgodnego z racją stanu powrotu do tego grona i trwania w nim bez dąsów i zastrzeżeń.

ANDRZEJ WERBLAN

Sfrustrowana praca

Jeśli jakiś debil za nicnierobienie zarabia krocie, to po co się męczyć za parę tysięcy?

Mnóstwo rzeczy, które kupujemy, rozwała nam się w rękach. Fachowcy od gazu, montażu mebli czy innej elektryki okazują się gośćmi, którzy do wczoraj specjalizowali się w marketingu i zarządzaniu. Większość tekstów na portalach informacyjnych nie trzyma się kupy, a – zapewne dyplomowani – namolnicy dzwoniący na komórkę, aby nas namówić na kolejną super okazję, nie powinni skończyć podstawówki z powodu nieznania podstaw języka polskiego. Jeśli te spostrzeżenia podzielacie, to witamy w świecie polskiego kapitalizmu.

Dwie ręce i chęć

Znajomy, snując wspomnienia z czasów wojny, opowiadał, jak w Małopolsce pod koniec walk oddział niemiecki uciekał raz do przodu, raz do tyłu. Za każdym razem kilkunastu żołnierzy musiała postawić nową ubikację. Tak było w wiosce, w której znajomy mieszkał. Żołnierze wykopali dół, wybudowali prowizoryczną toaletę z desek, gdy nagle pojawiły się radzieckie czołgi i trzeba było uciekać. Gdy większość Niemców w panice pakowała się do samochodów, jeden z żołnierzy w ostatniej chwili wyskoczył z ciężarówki z młotkiem, podbiegł do latryny i przybił odstającą deskę. Nieważne, że latryna nigdy nie miała posłużyć żadnemu Niemcowi. Fachowość żołnierza nie pozwoliła mu na odstawienie fuszkerki.

Za czasów PRL prasa była pełna nabijania się z nieudolności i złodziejstwa kelnerów, w kabaretach śmiano się z hydrauliczów, a przez mądre tygodniki przetaczały się dyskusje o tym, że w socjalizmie znikło coś o nazwie etos pracy. Nim mieli się charakteryzować wyłącznie nie osobnicy, którzy karierę zawodową zaczęli jeszcze przed wojną – w kapitalizmie. Wytlumaczenie było proste, ludzie się nie przykładali, bo nie działały systemy motywacyjne, wskutek czego „czy się stoi, czy się leży, pięć tysięcy się należy”.

Przyszedł kapitalizm, a wraz z nim niewidzialna ręka rynku, która miała to zmienić. Wciskano kit, że pra-

cę należy szanować, bo jest dobrem rzadkim. Wciskano też, że kapitalizm polega na tym, żeby osiągać zysk. Co mogło być największym zyskiem pracownika, który za kilkanaście godzin pracy dziennie dostawał najniższą krajową, i to pod stołem? To, żeby się nie napracować. Pracownik zaczął się zatem obijać, jak tylko mógł. Nie bał się, że go wykopią, z tego prostego powodu, że zarabiając na pograniczu płacy minimalnej, robotę mógł znaleźć wszędzie. Do nieskomplikowanych prac polscy kapitaliści nie szukali kogoś, kto znał się na robocie, tylko tego, komu można zapłacić najmniej.

A większości pracodawców wcale nie chodziło o jakość sprzedawanych przez ich firmy produktów czy usług. Ich ludzie mieli zrobić to, co zostało zapisane w kontrakcie z zamawiającym. W kontrakcie, w którym – rzecz jasna – główną rolę odgrywała cena. Wykonawstwo kończyło się w momencie odebrania przez zamawiającego tego, co zamówił. Miało to działać i wyglądać tylko w tym

momencie. Bylejałość i totalne dziaństwo zapanowało zatem tak w sektorze publicznym, jak i prywatnym.

Nawet na wsi i w małych miejscowościach, gdzie znalezienie roboty graniczyło z cudem. Tam też pracownicy symulowali robotę, a to dlatego, że wsiowi kapitaliści, znając realia miejscowego rynku pracy, płacili zatrudnianym osobom znakomicie mniej, niż wymagała tego przyzwoitość, że o gwarantowanej prawem płacy minimalnej nie wspomnę.

Mniej niż mało

Historia ekonomii uczy, że niewolnictwo szlag trafił, bo okazało się niewydolne gospodarczo. Niewolnik nie był efektywnym pracownikiem. Nie pomagał system nadzoru, kontroli i karania. Niewolnikowi brakowało po prostu motywacji. Udawał, że pracuje, bo bycie niewolnikiem nie niosło dla niego perspektyw poprawy losu. Niewolnik był tak naprawdę w niewoli beznadziei.

Według GUS średnia krajowa pensja brutto to ok. 8600 zł. Daje to 6,2 tys. zł na rękę. Tyle że razem z pensjami menedżerów i prezesów. No i kwoty te są obliczane na podstawie wynagrodzeń pracowników zatrudnionych tylko w największych przedsiębiorstwach. Poza tą statystyką jest zatem znakomita większość pracowników. Tych zarabiających najmniej.

Dokładniejsze wyliczenia pokazuje mediana, czyli kwota, którą powyżej i poniżej zarabia tyle samo pracujących Polaków, i to bez względu na to, czy pracują w dużej czy małej firmie, na posadzie w firmie prywatnej, czy w budżetówce. Mediana zaś wynosi nieco ponad 5 tys. zł.

Na co wystarczyć może 5 tys. zł miesięcznie? Zwłaszcza że z wyliczeń ekspertów wynika, że kwota minimum socjalnego dla trzyosobowej rodziny to też 5 tys. zł. Według definicji zakres zaspokajanych przez tę kwotę potrzeb powinien „umożliwić reprodukcję sił życiowych, posiadanie i wychowanie potomstwa oraz utrzymanie więzi społecznych”. Wygląda na to, że

jeżeli w gospodarstwie domowym pracuje jedna

osoba, to nieważne, że zarabia medianę. I tak czeka taką familię życie na poziomie minimum socjalnego.

To zaś oznacza, że chociaż brakuje jej na wszystko, to dla państwa nie jest wykluczona społecznie.

Oznacza też coś jeszcze: brak nadziei na zmianę. Aha, mediany nie wyciąga połowa naszych pracujących.

Najniższa krajowa wynosi w Polsce 4666 zł brutto, czyli 3511 zł na rękę. 3,5 mln ludzi tyle zarabia.

Zaliczona matura na pięć

Oczywiście są tacy, którzy sądzą, że mają w kieszeni wygrany los na loterii życia. Najczęściej są to osoby ok. trzydziestki, które załapały się na pierwszą w życiu etatową pracę za pieniądze, o których wcześniej nie marzyły, czyli 6,5 tys. zł na rękę. Doradcy kredytowi upewniają ich w tym, że odtąd będą zarabiali już tylko więcej i więcej. No i w związku z tym wcisną im stosowny kredyt hipoteczny. Tymczasem w Polsce najwyższe zarobki osiąga się statystycznie w wieku lat 38. Potem jest już tylko mniej i mniej. A rata kredytu wciąż ta sama. Nowi pracodawcy nie kwapią się z oferowaniem komuś w podeszłym wieku wyższych uposażeń. Wiedzą, że wraz z wiekiem spada im stosowny chęć rzucenia wszystkiego w diabły i emigracji. Pracownik po czterdziestce bierze, co mu dają. I oczywiście udaje, że robi, co mu każą.

Ponoć polska ekonomia wyrwała się z pułapki niskich kosztów. Dziś wmawia się nam, że to praca szuka człowieka. Dlaczego więc wciąż mamy do czynienia z działoństwem, bylejałością i olewactwem? Z zawiedzionych nadziei. Okazuje się, że okłamano większość z nas. Wmówiono ludziom, że jak będą studowali, to wybiją się finansowo. I ludzie studiowali. A dziś okazuje się, że ich kolezdy po zawodówkach nie dość, że przebiegają w ofertach pracy, to wyciągają miesięcznie ok. 10 tys. zł na rękę. Tysiące ludzi dowiadują się, że mają za wysokie kwalifikacje. Zostaje im więc robota za niecałe pięć tysięcy w jakimś podmiejskim call center. Albo na firmowym stoisku giganta elektronicznego czy komórkowego za jeszcze mniejszy pieniądz. Ale zaraz i to się skończy, bo całe to towarzystwo zastąpi sztuczna inteligencja.

Hydraulicy czy elektrycy, mimo że dziś zarabiają dużo, też się nie przepracowują. Kapitalizm nauczył ich, że trzeba robić tak, żeby za kilka miesięcy coś się popsuło i klient znów musiał skorzystać z ich usługi. Szczególnie gdy pracują w rezydencji klienta, który jest idiotą, ale dzięki połączeniu zarabia kwoty, o których nawet nieźle zarabiający fachowcy mogą tylko pomarzyć.

TADEUSZ JASIŃSKI

Buja ciao

Głupio się bawić do pieśni, z którą inni szli do walki z faszyzmem

Zapewne pół mojego pokolenia nazwie mnie teraz niszczycielką dobrej zabawy, ale uważam, że jest coś dziwnie niesmacznego w skakaniu do remiksu lewicowej piosenki partyzanckiej podczas przypadkowych dyskotek.

Od czasów swoich narodzin we włoskiej antyfaszystowskiej partyzancie „Bella ciao” nieustannie zyskiwała nowe konteksty społeczno-polityczne, nie tylko we Włoszech. Śpiewana na lewicowych wiecach i strajkach, od 2009 r. zagrzewa do boju syryjskich Kurdów, w 2013 podnosiła na duchu Turków protestujących przeciwko rządowi Erdoğan. Dalsze przykłady jej wykorzystania w sytuacjach antyestablishmentowych czy narodowowyzwoleńczych można mnożyć.

Bezimienny autor jej słów zapewne byłby z tego niesłychanie dumny – mimo że, jak to bywa w przypadku

ludowych wytworów, w samym języku włoskim funkcjonuje w kilku wersjach tekstowych. Doczekała się wielu tłumaczeń na wiele języków (na Youtubie można jej nawet posłuchać w wykonaniu Toma Waitesa). Zasadniczo jednak jest to piosenka, w której ruszający w góry partyzant żegna się z ukochaną i mówi, że gotów jest zginąć za wolność ojczyzny. Tekst prosty i uniwersalny, melodia skoczna i chwytliwa, utwór z piękną, rozwijającą się nieustannie tradycją. Coś trzeba było spieprzyć.

W 2017 r. „Bella ciao” pojawiła się w hiszpańskim serialu „Dom z papieru” w kontekście bynajmniej dalekim od lewicowego: najpierw jako tło nostalgicznych wspomnień bohaterów z szycowania się do zbrojnego napadu, a potem – w szeroko znanej dzisiaj zremiksowanej wersji – jako tło do dynamicznych scen, np. ucieczek.



I oczywiście można to podpiąć pod jakiegokolwiek rodzaju rebelię czy antysystemowość – ale jest to antysystemowość pusta, wyrwana z kontekstu i pozbawiona jakiegokolwiek idei. Celem działań bohaterów jest ograbienie instytucji państwowej i przytulenie okazałej ilości gotówki.

Może przemawia przeze mnie sentymentalizm i nadmierne przywiązanie do lewicowych atrybutów, ale – c'mon – polegali w górach włoscy partyzanci muszą przewracać się w swoich prowizorycznych grobach w cieniu pięknego kwiatu, kiedy grupa podstępnych studentów skacze do przysięgi, która zagrzewała ich do walki przeciwko faszyzmowi. Na dodatek fakt monetowania utworu autorstwa anonimowego bojownika o wolność – najprawdopodobniej komunisty – powinien wprowadzać w dość mocny dysonans każdego świadomego pochodzenia i mocy „Bella ciao”. Autorzy hiszpańskiego serialu bez wątpienia ową świadomość posiadali. Musiała więc w tej decyzji przeważać beznadzieja albo wdpiękanie w najbardziej bezwzględny wydanie.

A że czasy sprzyjają powstawaniu viralów, tak też ofiarą viralowości – wskutek popularności serialu – padła nieszczęsna „Bella ciao”.

I tak pieśń partyzancka – ograbiona z jakiegokolwiek kontekstu, innego niż „buja i jest po włosku” – funkcjonuje jako dyskotekowy hit. Nie wiem, czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie na tym miejscu „Wojenka, wojenka” czy „Pierwszą brygadę”.

Śmiem podejrzewać, że gdyby do takiej aberracji doszło w przypadku któregoś z wyżej wymienionych utworów, to polscy prawnicy rozpętaliby drugą jesień średniowiecza (bo jak wiemy, ich uczucia patriotyczne urazić jest najprościej).

I nie ukrywam – czasami chciałabym, aby uczucia patriotyczne i przywiązanie do swojego dziedzictwa w przypadku lewej strony sceny politycznej były chociaż w połowie tak czułe. Może wówczas nasze pamiętki nie kończyłyby jako popkulturowe zabawki i tła do rolek na TikToku.

ANTONINA STEFFEN

Przewodnik po gospodarce dla opornych

Jeśli chodzi o 1 Maja – naprawdę go lubię. Chodziło się wtedy na pochody, które miały być hołdem dla tych, którzy własnymi rękami budowali świat. Jako dziecko przyjmowałem tę opowieść bezkrytycznie, podobnie jak wiele innych prawd, które podsuwała rzeczywistość. W tym duchu wyobrażałem sobie, że może Święto Pracy ustanowiono na cześć bohater-skich traktorzystów z Kołomyi, którzy osiągnęli milion procent normy?! Jeden z nich być może w twórczym szale przeorał nawet granicę fińską, której po prostu nie zauważył. Dlesia w traktorze zgasił dopiero w Helsinkach. W nagrodę otrzymał zapewne medal z chleba i przydział do jeszcze większych zadań produkcyjnych – myślałem jako dziecko. Któregoś dnia pojawiła się jednak wątpliwość: dlaczego Święto Pracy jest dniem niepracowania? To przecież tak, jakby Dzień Wody świętować na pustyni albo Dzień Czystości – w błocie po kolana.

Kapitalizm wymyślił 1 Maja, a robotnicy myśleli, że to prezent od Marksa.

Zanim dowiedziałem się, jak jest naprawdę, uważałem to za jakąś drobną aberrację przewodniej siły narodu – coś, do czego można przywyknąć. W końcu Kościół też mnie nauczył, że: matka może być dziewicą, ojciec może nie mieć dzieci, cnota jest w cierpieniu, grzech w przyjemności, a Bóg może być jeden, ale w trzech osobach. W końcu przyszło niestety rozczarowanie. To nie Moskwa, nie Warszawa ani nie Pekin. Święto Pracy narodziło się w samym sercu kapitalizmu – w Stanach Zjednoczonych. W brutalnej epoce przemysłowej, kiedy robotnik harował po 12–16 godzin dziennie przez sześć, siedem dni w tygodniu. Bez urlopów i zabezpieczeń. 1 maja 1886 r. – data, od której zaczęła się historia tego święta – był w gruncie rzeczy dniem strajków i nierobstwa. W ponad 300 amerykańskich miastach masowe protesty. Głównym żądaniem było: osiem godzin pracy, osiem godzin odpoczynku, osiem godzin snu. No w takich okolicznościach pierwszomajowe nierobstwo stało się dla mnie odrobinę bardziej logiczne. Nie pracujemy w Święto Pracy, bo tak naprawdę świętujemy strajki.

A sama nazwa „Święto Pracy” to po prostu skrót myślowy, trochę hiperbola, trochę ironia historii. W rzeczywistości Święto Pracy to dzień międzynarodowej solidarności ludzi pracy – ustanowiony w 1889 r. przez Międzynarodową Socjalistyczną Konferencję w Paryżu. Tego dowiedziałem się już jako nastolatek. Cóż, skróty myślowe potrafią być bardzo mylące. Proponowałbym je w ogóle zlikwidować.

16 godzin pracy, siedem dni w tygodniu. Skąd brać czas na konsumpcję?

No ale wróćmy do tych 16 godzin na dobę i siedmiu dni w tygodniu. Skoro ludzie pracowali aż tak intensywnie, to – zgodnie z elementarną logiką podaży i popytu – musiało istnieć ogromne zapotrzebowanie na ich pracę. Z tego wynikałyby dwa pozornie oczywiste wnioski. Po pierwsze, że w Stanach Zjednoczonych pod koniec XIX w. nie było bezrobocia. Skoro jeden robotnik pracował za dwóch, to znaczy, że „wszyscy mieli co robić”. Po drugie, że istniała jakaś ogromna grupa społeczna, która w ogóle nie musiała tak tyrać, a mimo to było ją stać na zakup wszystkiego, co ci pierwsi wyprodukowali. Brzmi logicznie, prawda? Tyle że – logicznie rzecz biorąc – właśnie tak nie było.

O logice nadprodukcji i kredytowym złudzeniu dobrobytu

Otóż ta mityczna samoregulująca się amerykańska gospodarka, kierowana magicznymi siłami wolnego rynku, produkowała za dużo i bez potrzeby. W niektórych branżach miało to jeszcze jakieś uzasadnienie – na przykład w górnictwie czy hutnictwie. Właściciel kopalni mógł akumulować na składach coraz więcej rudy żelaza czy węgla, przez co jego majątek rósł na papierze, nawet jeśli nie było realnego zapotrzebowania. Klasę robotniczą w tym czasie wyzyskiwano bez wahania – bo skoro można płacić mniej, a kazać pracować więcej, to po co uczciwie nagradzać? W momencie, gdy wymyślono kredyt, właściciel kopalni nie musiał już nawet martwić się o to, że nikt nie chce jego surowców. Zastawiał towar w banku, a bank – ciesząc się, że zamiast makulatury z napisem „dolar” ma wreszcie coś „konkretnego” – udzielał mu finansowania. Problem w tym, że wartość tych „konkretów” była czysto hipotetyczna. Bo ile naprawdę warte jest coś, czego nikt nie potrzebuje? Oczywiście amerykańska burżuazja o sytych żołądkach nie dostrzegała tego paradoksu. Przemysł produkował więcej, niż system był w stanie sprzedać – a nie był w stanie sprzedać, bo w ramach racjonalizacji kosztów ludziom płacono coraz mniej.

Ani Stalin, ani Soros

Wojna, bunt i eksplozja: anatomia rewolucji rosyjskiej

Powiedzmy to wreszcie jasno bez lęku przed liberalnym bełkotem: kapitalizm nie działał. A jeśli działał, to tylko dla nielicznych. Nie był żadnym systemem postępu, tylko zorganizowaną grabieżą pracy milionów przez garstkę właścicieli środków produkcji.

Wszystkie te idee, które później zożydzano jako utopijne: nacjonalizacja przemysłu, racjonalizacja produkcji, gospodarka planowa jako przeciwieństwo kapitalistycznego chaosu – nie wzięły się znikąd. To był realny, palący głód zmiany, odpowiedź na niesprawiedliwość i upodlenie. Ze rewolucja nie wybuchła tam, gdzie spodziewali się marksiści – nie w rozwiniętej Anglii, nie w bogatych Stanach? System pękł tam, gdzie był najbardziej zgniły, gdzie społeczne napięcia przykrywano przemocą i kadzidłem: w Rosji carów, państwie przesądu, chłosty i samowaryzmu. Katalizatorem była oczywiście pierwsza wojna światowa – rzeź niewyobrażalna, która ostatecznie obnażyła bankructwo moralne i polityczne starego porządku. Rosyjska burżuazja, oderwana od rzeczywistości, pełna pychy, otepiała od zysków i luksusu, zderzyła się z brutalną rzeczywistością mas, które nie miały już nic do stracenia – ani chleba, ani pracy, ani godności. To nie był bunt. To była eksplozja historii, która przez dekady zbierała ciśnienie.



Ilustr. PAMEL FERENC

Na gruzach caratu, monarchii samodzierżawia i wszechobecnej analfabetyzacji, powstało coś, co miało być spełnieniem marzeń ludzkości: państwo robotników i chłopów, w którym nie będzie bogatych i biednych, a fabryki należeć będą do tych, co w nich tyrają. Brzmiało dobrze. Zasady były jasne: wszystko planujemy z góry – co, ile, kiedy i komu, nie liczy się zysk, tylko potrzeba, ale nie potrzeba rynku, bo wystarczy biurko w komisji planowania.

Socjalizm naukowy i praktyka niechlujna

Marksistowskie ideały niestety nie wzięli pod uwagę niedoskonałości natury ludzkiej i słabości charakterów. Nie przewidzieli, że robotnik, który wreszcie dostanie władzę, może stać się nowym panem, że towarzysz z komitetu szybko zamieni ideologię na układ, że biurokrata partii będzie tak samo chciwy jak kapitalista, tylko w innym garniturze. Ze plan pięcioletni stanie się narzędziem do maskowania niekompetencji. Ze nawet w państwie bez prywatnej własności ludzie znajdą sposób, by kraść, kombinować i dominować. Nie na giełdzie, tylko w radzie zakładowej, w komitecie, w nomenklaturze.

W rezultacie Kraj Rad produkował więcej, niż potrzebował, rozdzielał mniej, niż obiecywał, marnował więcej, niż miał, i zawsze wiedział, kto winny: sabotażysta, wróg klasowy albo pogoda. Jeśli węgla brakowało – to przez burżuazję na emigracji. Jeśli zboża nie było – to przez kulaka, który schował je w ziemi. Jeśli plan nie wyszedł – to plan był genialny, tylko niewłaściwie wykonany przez element nie-uświadomiony. No i historia zatoczyła koło.

Chcemy jeść, mieszkać i wierzyć – manifest zdrowego rozsądku

Wróciliśmy prawie do punktu wyjścia. Tylko że dziś jesteśmy bogatsi o boleśnie zdobytą wiedzę: pełna kontrola rynku z centralą, która wie lepiej – wszystko gra w tabelkach, ale w sklepach nie ma mydła. Brak jakiegokolwiek kontroli, liberalny absolutyzm, kończy się chaosem, chciwością, koncentracją władzy w rękach tych, którzy mają najwięcej, i zawałem ludowych mas. Niby ludzie pracy najemnej „mają wybór”, ale tylko w teorii.

Sens jest jak zwykle w równowadze: między państwem a rynkiem, między wolnością a odpowiedzialnością, inicjatywą a ochroną. Między zyskiem a godnością. Złoty środek to nie kompromis tchórz, tylko mądrość praktyków. To świadomość, że świat nie znosi skrajności – ani władzy bez kontroli, ani wolności bez granic.

Chodzi o to, żeby ludzie mieli gdzie mieszkać, co jeść, za co żyć i w co wierzyć. A żeby to było możliwe – system musi oddychać rytmem społeczeństwa, nie tylko zysku i nie tylko planu. Świętujemy zatem dzień wszystkich ludzi dobrej roboty przy kaszance i piwie. Szampana i kawiora pozostawiając komu innemu.

ROBERT JARUGA



RYS. RYSZARD DĄBROWSKI

Pracujący, niewidzialni

To jest kraj dla przedsiębiorców

W kraju, gdzie pracodawca daje pracę, a ten, kto ją wykonuje, tylko „bierze”, pracownicy są niewidzialni. Dlatego Święto Pracy jest w mediach nieobecne. Ginie w morzu reportaży o tym, że w długi weekend ludzie grillują. Wciąż jednak nie ośmielono się odebrać ludziom pracy wolnego dnia 1 maja.

Chodzi głównie o to, by między ludźmi umęczonymi robotą nie powstała jakakolwiek więź. By w warstwie symbolicznej nie zaistniała jakaś solidarność.

A przecież wszystko, co istnieje wokół nas, cały świat materialny – to wynik czyjegoś mozołu. Bez pracy nic nie powstaje, kapitał jest impotentny i sam, bez ludzkiej pracy niczego nie rodzi.

Jednak gdy w jakiejś dziedzinie gospodarki jest sukces, produkcja rośnie, robi się wywiady z biznesmenami, nigdy z pracownikami.

W czasie pandemii uwagę opinii publicznej przykuły obawy o losy przedsiębiorców i to oni otrzymywali pieniądze z tarczy antycovidowej. My w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej wciąż pomagamy ofiarom tego kataklizmu, dla których żadnej tarczy nie było. I kiedy stracili zatrudnienie, często nie potrafili już się podnieść z zadłużenia, w które popadli z powodu braku dochodu z pracy. Związek Banków Polskich alarmował, że na kontach firm leży bezużytecznie 60 mld zł. Podarunek państwa dla biznesu.

Budowlancy w pandemii pracowali jak zwykle. Ich zdrowiem szafowano. A jednocześnie pensje pracowników

budownictwa są zbyt niskie, żeby mogli kupić mieszkania, choć je budują. Deweloperów, którzy zarabiają 30–40 proc. marży, z pewnością stać na wypłacanie wyższych wynagrodzeń. A ponad 100 lat temu Henry Ford dbał o to, by jego pracowników było stać na wytwarzane przez nich samochody.

Ludziom płaci się tylko tyle, żeby w ogóle chcieli do pracy przychodzić. Czyli najmniej jak to jest możliwe. To znajduje wyraz w malejącym udziale pracy w rosnącym dochodzie narodowym. Dlatego większość Polaków nie ma żadnych albo prawie żadnych oszczędności.

Płaca nie ma nic wspólnego z poziomem zysków, jakie przysparza pracodawcom. Ta otchłań między realną wartością pracy a płacą wychodzi na jaw w czasie strajku. Raptem okazuje się, że każdy dzień, kiedy nie pracujemy, powoduje gigantyczne straty.

KRÓLEWSKI GEST



Rys. JANUARY

Aby to wyrazić jeszcze bardziej obrazowo, wystarczy powiedzieć, że płaci nam się tylko za część czasu pracy, a większość pracy wykonujemy gratis.

Argumentem często używanym przeciwko wpuszczaniu do Polski imigrantów jest ich rzekome lenistwo. A przecież bardzo wielu cudzoziemców mieszkających w kraju nad Wisłą pracuje, i to bardzo ciężko. Za zwiększeniem liczby gasterbeiterów są ludzie biznesu, bo zwykle nie muszą im tyle płacić co Polakom. W pewnej fabryce chemicznej w Jeleniej Górze pracuje dużo imigrantów z Ameryki Południowej. Dostają na rękę 4000 zł, a Polacy za tę samą pracę żądają 7000 zł. I choć przyjezdni podlegają wiele większemu wyzyskowi niż miejscowi, to istnieje obawa, że zwiększona liczba pracowników gotowych pracować

za mniej podkopie pozycję negocyjacyjną Unia Europejska zaproponowała, żeby cudzoziemcy pracujący w naszym kraju mieli obowiązkowo umowy o pracę. To mogłoby znacznie ograniczyć nieuczciwą konkurencję ze strony pracujących „za czapkę śliwek” imigrantów.

Wtedy podniósł się wrzask, że Polacy bardzo często muszą pracować na śmieciówkach. Na szczęście Unia wymusiła już chyba zwiększenie uprawnień Państwowemu Inspektorowi Pracy, która będzie ustalała istnienie stosunku pracy tam, gdzie pracodawca niesłusznie utrzymuje, że jest to umowa cywilno-prawna.

Ostatnio pomagamy obywatelom Kolumbii, którzy przez miesiąc pracowali ciężko w ubojni drobiu koło Skiernewic i nie otrzymali wynagrodzenia.

Ci ludzie – oszukani, że u nas jest raj – pozadłużali się, żeby przylecieć do Polski, i zostali bez grosza na życie. Na szczęście policja wszczęła w tej sprawie dochodzenie. W Kwidzynie firma Plati nie wypłaciła odpraw 200-osobowej załodze i zwinęła się po cichu. Tym razem chodziło o Polaków. Gdyby niemiecka firma ogłosiła upadłość, pieniądze można by pozyskać z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. A ponieważ tego nie zrobiła, ludzie nie mają nawet świadectw pracy.

Tutaj jest akurat równość. Kantują i przyjeżdżnych, i naszych. Pracodawca okradający ludzi, którzy pracują, by mógł osiągnąć zysk, powinien siedzieć tak jak każdy inny złodziej. Dlaczego tak się nie dzieje? Bo ani w sejmie, ani w samorządzie nie ma reprezentacji pracowników. Nikt o nich nie dba, stali się niewidzialni. To jest kraj dla przedsiębiorców. Dlatego premier namawiał miliardерów i milionerów, by się bogacili. A dla ludzi pracy nie miał dobrego słowa.

Istnieje mit, że wystarczy ciężko pracować, żeby nie cierpieć biedy. Tak przynajmniej twierdzą poganicze niewolników. Polska nigdy nie była tak bogata, ale liczba chwilówek, paskarskich pożyczek, wciąż rośnie. A co najmniej połowa ludzi pracy w Polsce to pracujący biedni. Duża część pozostałych żyje na styk i nie jest w stanie nic odłożyć ze swoich pensji.

Przyszła więc pora, byśmy zrozumieli, że godna płaca to nie jałmużna, która nam wypłacają szefowie, tylko udział w zyskach, które swoją pracą wytwarzamy.

Niech się święci 1 Maja, święto ludzi pracy!

PIOTR IKONOWICZ

Baron kurlandzko-lewicowy

Roman Dmowski też propagował dietę wegańską

1 maja pójdzie kilka lewicowych pochodów w kilkunastu miastach w Polsce. Wszystkim lewicowcom maszerującym, i potem miesiącami odpoczywającym, dedykuję biografię wybitnego polskiego przedwojennego socjalisty. Praktyka i teoretyka.

Stanisław Kelles-Krauz co roku chodził na pochody. Ale nie ustawał pomiędzy nimi. Był socjalistą codziennie. Tworzył z mozołem socjalizm od dołu, lokalnie w Radomiu. Warto jego doświadczenia i dorobek dziś naśladować.

Napisana przez Przemysława Prekiela biografia nosi niezbyt porywający tytuł „Stanisław Kelles-Krauz. Biografia radomskiego socjalisty”. Niech was tytuł nie zrazi: to książka wskrzeszająca postać porywającą – i przy okazji historię PPS, ale widzianą z perspektywy Radomia. Przypominająca przedwojenny polski socjalizm i styl życia tamtych socjalistów.

Stanisław Kelles-Krauz nie jest dziś postacią znaną, nawet wśród ludzi lewicy. Bywa mylony ze swym starszym bratem Kazimierzem, znanym pionierem nowoczesnej socjologii, inspirującym teoretykiem marksizmu. Przedwcześnie zmarłym polskim lewicowym intelektualistą.

Stanisław miał szczęście żyć długo. W trzech politycznych epokach. Pochodził ze „szlachty kurlandzkiej” – naprawdę, nie jak literacki Nikodem Dyżma. Mężczyźni z rodu Kelles-Krauzów mieli prawo do tytułu barona. Zaangażowani w ruch socjalistyczny Kelles-Krauzowie nie używali go, ale ich arystokratyczne pochodzenie często budziło zainteresowanie. Stanisławowi pewnie przydawało się, kiedy dostawał się do wojennych niewoli.

Był też Stanisław podręcznikowym polskim inteligentem. Jego ojciec Michał był reprezentantem pokolenia „wysadzonych z siodła”: wziął udział w powstaniu styczniowym, za co carska władza skonfiskowała mu majątek ziemski. Aby wyżywić rodzinę, niedawny ziemianin został kontrolerem akcyzy w Szczepieszynie, Radomiu i Końskich. Na kresach rosyjskiego imperium. Stereotypowy rosyjski oficer z nudów zapijał się na takiej posadzie. Polski „wysadzony



ILUST. PAWEŁ FERENC

z siodła” musiał zaciskać pasa i oszczędzać na edukację dzieci. Jak typowy Chińczyk.

Żywoć Stanisława Kelles-Krauz też był początkowo typowy. Naukę zaczął w męskim gimnazjum w Radomiu. Tam wstąpił do tajnych uczniowskich kółek samokształceniowych. Wcześniej działał w nich jego brat Kazimierz. Takie kółka były w zaborze rosyjskim wylęgarnią niepodległościowców i lewicowców. Zakazany antysystemowy socjalizm ekscytował wtedy polską młodzież, jak jazz czy punk 100 lat później.

Za konspirowanie wyrzucono Stanisława z gimnazjum. Maturę zdał w Szawłach na Żmudzi, pewnie dzięki rodzinnym znajomościom. Ale odmówiono mu studiów na terenie imperium rosyjskiego. Wyjechał do brata Kazimierza, który robił karierę naukową w Wiedniu. Tam zapisał się na Wydział Lekarski. Tak to carska władza wpełnęła polsko-kurlandzkiego barona do socjalistycznego Wiednia.

Uczył się, brał udział w debatach politycznych PPS i pisał. Wtedy pisanie było chlebem codziennym działaczy społecznych, politycznych, zwłaszcza lewicowych. Nie było wtedy „spindok-

torów”, „pijarowców”, odgórnych „przekazów dnia”. Każdy aspirujący do polityki pisał to, co naprawdę myślał.

Początkowo pisał Stanisław przede wszystkim artykuły popularnonaukowe, propagujące higienę i zdrowe życie. Użyteczne – niepopularne dziś połażanki.

Idee higienicznego życia stosował w sanatorium w Koskowie, jak literacki doktor Judym. Właścicielem tego zakładu przyrodoleczniczego był działacz Narodowej Demokracji Apolinary Tarnowski. Bywali tam liczni biskupi katolicy i lider narodowców Roman Dmowski. Chwalili zgodnie obowiązującą tam wegańską dietę.

Jadłospis oparty na świeżych warzywnych surowkach miał stworzyć nowoczesnego silnego Polaka.

Dmowski zrobił sobie też pamiątkową fotkę z Marią Kelles-Krauzową, żoną Stanisława. I skomentował: „To mi się może przydać na przyszłość jako gwarancja przed gilotyną na wypadek rewolucji”.

Wybuchła pierwsza wojna światowa i lekarz Stanisław został wcielony do armii rosyjskiej. Trafił do niewoli, obozu jenieckiego na Węgrzech. Tam też był lekarzem, zwalczał epidemię tyfusu. Zwolniony wrócił do Radomia, gdzie współtworzył lokalną PPS. Już 2 listopada 1918 r. radomscy socjaliści przejęli władzę i utworzyli polską republikę radomską. Pierwszą niepodległą Polskę, choć jedynie lokalną.

Potem Stanisław był radnym Radomia, senatorem II RP. Walczył politycznie z narodowcami, a potem z kolegami socjalistami, którzy wraz z Piłsudskim stworzyli BBWR. Stanisław znał Józefa Piłsudskiego, Walerę Sławka, Ignacego Daszyńskiego i wielu innych liderów Polskiej Partii Socjalistycznej. Radom w II RP był mia-

stem rządzonym przez PPS i warto dziś poczytać, jak w praktyce wyglądała ówczesna lewicowa polityka miejska.

W czasie II wojny znów Stanisław był lekarzem. Znów niewola, obóz w Sachsenhausen od czerwca 1940 r. Znów przeżył jako obozowy lekarz. Po wyzwoleniu został ambasadorem Polski Ludowej w Danii. Znał przecież przedwojennego działacza PPS z Końskich, Edwarda Osóbkę-Morawskiego, który został premierem powojennego rządu.

W 1947 r. był ambasador Kelles-Krauz świadkiem negocjacji USA-Dania o zarządzaniu Grenlandią. A w 1953 r. ucieczki na duński Borholm polskiego pilota wraz z radzieckim myśliwcem MIG-15. Inne, podobne smaki odkryjecie w czasie lektury.

Zachęcam do niej radomskich patriotów, wszelkich aktywistów miejskich, nową i starą lewicę, a także entuzjastów Romana Dmowskiego, bo znajdą tam nieznane epizody z życia jego.

Czyli jest to książka do czytania dla wszystkich.

PIOTR GADZINOWSKI

Przemysław Prekiel, „Stanisław Kelles-Krauz. Biografia radomskiego socjalisty”, Muzeum Jacka Malczewskiego w Radomiu 2023.

Życie w DOBROBYCIE

● „Kończy się era naiwnej globalizacji. Czas na odbudowę narodowej gospodarki. Czas na repolonizację polskiej gospodarki, rynku, kapitału. Kapitał ma narodowość, gospodarka ma narodowość, menedżer spółki zarządzanej czy współzarządzanej przez państwo ma narodowość. Nasze interesy mają białoczerwone barwy” – powiedział Tusk.

● Avon to międzynarodowa firma, która sprzedaje produkty do pielęgnacji skóry, perfumy i kosmetyki. Firma została założona w 1886 r. przez Davida H. McConnella w Kalifornii. Avon działa w ponad 100 krajach i jest jednym z największych przedsiębiorstw zajmujących się sprzedażą bezpośrednią. Najgorsze jednak, że nie wiadomo, jakie kolory mają interesy firmy, bo nie dość, że zmienia logo co kilka lat, to na dodatek logotyp występuje w mnóstwie barw. Międzynarodowy koncern posłuchał jednak Tuska i aby przysporzyć polskich pracowników białoczerwonym firmom, zwałnia właśnie 20 proc. pracowników swojego zakładu w Garwolinie.

Na pochody pierwszomajowe zacząłem chodzić już za Gierka w świętym mieście Częstochowie. Urodziłem się tam w piekarni rodziców moich. Należeli oni do miejscowego Cechu Rzemiosł Różnych, a ściślej do Cechu Piekarzy i Cukierników. Dlatego w domu naszym przechowywany był wielki sztandar cechowy. Z czterema szarfami. I wizerunkiem św. Klemensa, patrona piekarzy. A także miasta Warszawy, czyli kurew i złodziei, jak mawiał wujek Heniek, wspominając krótki pobyt tam.

Szturmówka i Klemens

Sztandar ów był nie tylko wielki, ale i ciężki. Zawieszony na solidnym drzewcu zrobionym na krzyża podobieństwo. Aby go unieść i nieść potem podczas procesji Bożego Ciała, potrzebna była sześćosobowa drużyna.

Dwóch silnych mężczyzn i czwórka dzieci w wieku szkolnym. Mężczyźni w pierw zakładali specjalną skórzaną uprzęż służącą do osadzania w niej pionowego drzewca sztandaru. Sztandar dźwigał jeden, drugi zaś zmieniał go, kiedy tamten się zmęczył. Pozostała czwórka trzymała szarfy sztandaru, bo tak było ładniej. Trzymanie szarf nie było męczące, nawet dla dzieci z podstawówki. Tyle że piekielnie nudne. Dlatego dla zabicia jej opowiadaliśmy sobie podczas procesji kawały o cipkach i siusiakach.

W mojej świętej Częstochowie codziennie była jakaś procesja, pielgrzymka albo pochód. Bywało, że i ja uczestniczyłem w tych marszach, zwykle jednak maszerowałem obok nich. Od dziecka lubiłem obserwować procesje, pochody, pielgrzymki. W tych ostatnich nie uczestniczyłem, bo Matkę Boską miałem na miejscu. Po sąsiedztwie.

Pewnie dlatego szybko zyskałem sprawność „marszałka pieszego”.

Na pochody pierwszomajowe chodziłem bez przymusu. Zacząłem w liceum. Redagowałem tam gazetkę ścienną. Na pochód brałem aparat fotograficzny, notatnik z długopisem i plakietkę „Harcerska Służba Informacyjna”. Aparat pożyczkałem, długopis miałem, a plakietkę zrobiła mi uzdolniona koleżanka. Wszystko potrafiła sfalszować, zwłaszcza zwolnienia lekarskie.

Tak wyposażony krążyłem wokół pochodu. Z poważną miną fotografowałem jego czoło, najładniejsze dziewczyny, stragany z napojami i słodyczami, a nawet prezydium, przed którym pochód na koniec przechodził.

Wszędzie mnie wpuszczano, na straganach częstowano, a dziewczyny chciały się umawiać.

Właśnie wtedy zobaczyłem, że dziennikarstwo to łatwy chleb w przeciwieństwie do piekarstwa. Zwłaszcza że relacji z pochodu w szkolnej gazecie nie zamieszczałem. Co z ulgą przyjmowała dyrekcja.

Dzięki trzymaniu aparatu byłem też zwolniony z dzierżenia przydzia-

Dziś prawdziwych pochodów już nie ma

Marszałek w spoczynku

łowej szturmówki. Lżejszej niż sztandar z Klemensem, ale kłopotliwej w utrzymaniu. Zaraz po pochodzie chodziliśmy z kolegami na piwo do restauracji Europa. Na kremówki nie, bo jako syn cechu wiedziałem, czym oni je szprycują. Wciśnięte kolegom przez nauczycieli szturmówki zawadzały potem przy stoliku zastawionym zamawianymi piwami. Niejedna gubiła się. Potem bufetowa z Europy odnosiła je do naszej szkoły.

Utarło się w świętej Częstochowie, że procesje Bożego Ciała chodziły alejami Najświętszej Marii Panny, a pochody pierwszomajowe ulicami Aleksandra Zawadzkiego, Tadeusza Kościuszki i Wolności. Każdy był na swoim miejscu.

Robotnicy do Biura

W Warszawie zamieszkałem podczas studiów dziennikarskich i politologicznych. I zostałem tu na emigracji zarobkowej. Szybko zauważyłem, że opinia wujka Heńka była nieco krzywdząca dla tego bogatego też w inne atrakcje miasta. W czasie studiów, w drugiej połowie gierkowskiej dekady, dalej udawałem dziennikarza podczas warszawskich pochodów 1 Maja. Ale w stolicy ginąłem w tłumie tych prawdziwych i podobnych mi wyrobów dziennikaropodobnych.

Zapamiętałem tamte Maje jako komercyjne pikniki. Najpierw pochody, kiedy „Ochota maszerowała z Wolą, a Wola bez Ochoty”. Szło się szybko, bo nagrodą chodu był na mecie piknik z atrakcyjnymi stoiskami.

Na początku lat 80., za Jaruzelskiego, kolegowałem się z „prawdziwymi komunistami”. Nazwisk ich nie wymienię, bo jedni umarli, drudzy poszli „do nauki”, a trzeci zostali biznesmenami w III RP.

Wtedy chodziliśmy na pochody demonstrować. Wtapiał się w grono ZSMP. Oszczędzaliśmy gardła do chwili przemarszu obok trybuny z generałem Jaruzelskim oraz innymi przywódcami państwa i partii. Uważaliśmy ich za lewicowych oportunistów, ideowych mięczaków.

Dlatego kiedy znaleźliśmy się przy trybunie, to wrzeszczeliśmy: „Więcej robotników do Biura”. Żądaliśmy, aby

we władzach, w Biurze Politycznym KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, byli prawdziwi robotnicy. Bo wtedy partia odzyska wreszcie swą ideową tożsamość i sprawność polityczną.

Jak wiadomo, kierownictwo PZPR głuche było na nasze postulaty. Nic dziwnego, że kilka lat później partia się rozwiązała.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że wtedy chodziły na pierwszomajowe pochody inne grupy, też krzyczące ku trybunie swe postulaty. Aktywiści zdelegalizowanej Solidarności. Oni wołali: „Uwolnić Michnika i Frasnika!”. I ich kierownictwo PZPR posłuchało.

W III Rzeczpospolitej pierwszomajowe pochody znów stały się demonstracjami. Na początku lat 90. chodzili na nie jedynie lewicowo przekonani. Bo udział w pochodzie nie procentował korzyściami. Przeciwnie, można było nawet oberwać. Dlatego chodziłem z lewicowymi antyklerykałami z Ruchu „NIE”. Ich prawicowe bojówki się bały.

Zawsze kiedy pochód przechodził obok bramy Uniwersytetu Warszaw-

skiego na Krakowskim Przedmieściu, następował atak hulsów z Ligii Republikańskiej. Jej liderem był Mariusz Kamiński. Potem poseł prawicy, szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Przestępca skazany przez sąd i ułaskawiony przez prezydenta Dudę. Ukrywający się teraz przed wymiarem sprawiedliwości za immunitetem Parlamentu Europejskiego.

Ligusy Kamińskiego obrzucali nas jajkami, czasem kamieniami, oblewali żrącymi odzież kwasami. Po czym uciekali za uniwersytecką bramę. Wtedy policja na teren uniwersytetu nie wchodziła.

Lidze kibicowały wtedy największe demokratyczne media jak „Gazeta Wyborcza”, które wszelką inną przemoc w polityce pryncypialnie potępiały. Ale SLD „mniej było wolno”. Dlatego Liga mogła trochę „komuchów przetrzepać”. W imię sprawiedliwości dziejowej. Trzepanie skończyło się, kiedy wyrzucony ze strony Ligii kamień zranił demonstrującego z nami profesora Krzysztofa Dunina-Wąsowicza. Nestora polskiego socjalizmu, żołnierza AK, Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Wtedy miarka prawicowego bandytyzmu politycznego przebrała się. Choć Liga Republikańska do napadu się nie przystąpiła, to twarz straciła. Powszechnie potępiona, dalszych ataków zaprzestala.

Hej, kto Polak, na bufety!

W 2001 r. wybory parlamentarne wysoko wygrał i władzę wziął Sojusz Lewicy Demokratycznej. Byłem wtedy posłem drugiej kadencji. Marsz na pochodzie zaczynałem od wtłoczenia się na honorową trybunę, zabrania głosu czasem. W Warszawie żyło wtedy ponad 20 parlamentarzystów lewicy. Dziś niejeden lokalny pochód pierwszomajowy marzy o takiej frekwencji.

1 maja szliśmy wtedy my, lewicowcy, w schizofrenicznej demonstracji. Protestowaliśmy przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi organizowanemu przez rząd lewicy. Zauważyłem już wtedy, że z roku na rok trasa przemarszu pochodu zmniejsza się, rośnie za to areal stoisk piknikowych i darmowych bufetów.

Poutracie władzy przez SLD w 2005 r. trasa pierwszomajowego przemarszu kurczyła się jak nowe modele telefo-

nów komórkowych. Kurczył się też areal pikników. Obok 1 Maja pojawiło się święto Konstytucji 3 Maja, Dzień Flagi (2 maja), rocznica wstąpienia do Unii Europejskiej (1 maja). Każde święto zapraszało na swój piknik. Wspierający je biznes preferował pikniki firmowane przez aktualnie rządzące formacje.

W Warszawie pojawiły się też pochody i obchody pierwszomajowe organizowane przez inne niż SLD i OPZZ formacje polityczne. Wtedy 1 maja maszerowałem od pochodu do pochodu. Witając się z ich liderami, z roku na rok coraz mniej licznymi.

W ostatnich latach 1 maja więcej było zwiezionego do Warszawy policji dla ochrony demonstrantów niż przybyłych pochodowiczów.

Pytani o wrażenia policjanci wielokrotnie chwalili lewicowe demonstracje za spokojny, kulturalny, bezprzemocowy przebieg. Inny niż w czasie Marszu Niepodległości. „Dwie godziny roboty i potem cały dzień wolny na zwiedzanie stolicy” – doceniali komfort pracy podczas warszawskiego Święta Pracy.

Jeśli ten piknikowy trend utrzyma się, to w niedalekiej przyszłości celebrujący 1 Maja lewicowcy będą się spotykać przede wszystkim na internetowych forach i marszach organizowanych w sieci. Po co organizować marsz w realu, skoro i tak potem jest transmitowany i rozsiewany w internecie?

Teraz stamtąd przede wszystkim dowiaduję się o wielu pierwszomajowych inicjatywach.

Ewolucja święta 1 Maja od masowych demonstracji do powszechnego piknikowania przestała mnie dziwić od czasu, kiedy ujrzałem obchody 1 Maja w czerwonym Pekinie i w Pjongjangu.

Tam pochodów od dawna nie ma. Są za to przeróżne pikniki. Dodatkowo w Chinach cały niezalegalizowany tam, ale tolerowany przemysł uciech seksualnych podczas święta 1 Maja ma pozostawione dni wolne od pracy. Aby pozostali Chińczycy spędzili ten dzień na łonie rodziny.

PIOTR GADZINOWSKI



ILUSTR. PAWEŁ FERENC

● Atos Poland Global Services jest światowym gigantem branży IT z siedzibą we Francji. Jego barwy zaś nie są białe-czerwone, ale białe-niebieskie. I na pewno dlatego zamierza zwolnić 200 osób spośród około 7 tys. pracowników, których zatrudnia w Polsce. Choć oficjalnie firma tłumaczy zwolnienia trudnościami finansowymi, bo otóż w 2024 r. Atos zanotował przychody w wysokości 9,57 mld euro. Mniej o 5,4 proc. względem roku poprzedniego i mniej od prognozowanych 9,7 mld euro. W tak dramatycznej sytuacji Atosem zainteresował się francuski rząd, który mając interesy w barwach francuskich, chce przejąć częściowo firmę Atos, ale bez dwóch setek jej polskich pracowników. Polskim oddziałem firmy polski białe-czerwony rząd się nie zainteresował.

● Kapitał Carrefoura też ma narodowość oraz trójkolorowe barwy. W macierzystym kraju uchodzi za firmę dbającą o swoich pracowników i dialog społeczny. Ale w Polsce zwalnia pracowników z wieloletnim stażem bez dodatkowych zabezpieczeń socjalnych. To zaś nie podoba się Solidarności, dzięki czemu mógł w mediach zabłysnąć od lat niesłyszany Alfred Bujara, przewodniczący Krajowej Sekcji Handlu tego związku. Bujara opowiadał, że „dochodzi do absurdalnych sytuacji, gdzie np. Carrefour zwalnia doświadczonych pracowników w jednym sklepie, a jednocześnie prowadzi zewnętrzną rekrutację do innego sklepu w pobliżu”. Wobec tak nieuczynnych praktyk związkowiec Bujara wraz z innymi działaczami stanęli murem za tuskową białe-czerwoną koncepcją unarodowienia kapitału i skrobnięli list do

ambasadora Francji w Polsce z prośbą, żeby coś z tym fantem zrobił. Po nagłośnieniu sprawy głos zabrali korpulduki z polskiego Carrefoura. Pisząc, że na skutek podjętych przez nich „działań ograniczających skalę zwolnienia grupowego, liczbę pracowników, którzy zostali objęci tym procesem, udało się nam zmniejszyć o ponad 40 proc. – z poziomu 340 osób do poziomu poniżej 200 osób”. A dlaczego nie mogli ich przenieść do sklepów, gdzie szukają ludzi do roboty? Bo „celem prowadzonych przez firmę działań jest dostosowanie swoich jednostek do aktualnej sytuacji wymagającego rynku dystrybucji żywności i presji na koszty działalności operacyjnej, w tym m.in. poprzez przebudowę sklepów, zmniejszenie powierzchni niektórych sklepów, przegląd rentowności sklepów wraz z planami naprawczymi dla wybranych sklepów”. Jeśli ktoś z czytelników nie rozumiał nic z tego belkotu, to nie powinien mieć do siebie pretensji. Wszak to język „naiwnej globalizacji”.

● Henryk Słowik śmiało mógłby odziać się w barwy białe-czerwone, a ponieważ jest polskim biznesmenem, to powinien być sztandarem ogłaszanej przez Tuska repolonizacji gospodarki. Tymczasem Słowik, który od 1995 r. jest właścicielem krośnieńskiej firmy Ekolot, jedynego krajowego producenta seryjnych ultralekkich samolotów, musi zamknąć firmę. A to stąd, że został dobity clami. I to wcale nie tymi nałożonymi na cały świat przez Trumpa. Rządowa, czyli podlegająca premierowi, instytucja o nazwie Urząd Celno-Skarbowy nałożyła bowiem 125-procentowe cła antydumpingowe na importowane z Chin komponenty służące do budowy

samolotów. I nic to, że te materiały nie są wytwarzane w krajach Unii Europejskiej, więc nie stanowią konkurencji dla lokalnych producentów. A Słowik chciałby kupować materiały w Europie, ale nie ma takiej możliwości. Inny urzędnik państwowy też przyłożył rękę do plajty polskiej firmy. Certyfikacja nowego modelu ultralekkiego samolotu Topaz 600 o masie startowej 600 kg trwała kilkanaście miesięcy, co uniemożliwiło sprzedaż gotowych maszyn. Zły na państwo biznesmen napisał w związku z tym list do Tuska: „Przecież obiecał pan, że już nigdy żaden urzędnik nie doprowadzi do bankructwa polskiej firmy. Nie dotrzymał pan słowa”. Słowik oczywiście nawet po plajcie będzie miał z czego żyć. Ale jego zwolnieni pracownicy – nie bardzo.

● Ani oni, ani inni, którzy dostają wypowiedzenia, nie będą sami. Według informacji Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, w pierwszych dwóch miesiącach 2025 r. w Polsce zgłoszono zwolnienia grupowe obejmujące prawie 15 tys. pracowników. To prawie trzykrotny wzrost w porównaniu z tym samym okresem zeszłego roku.

● Ludzi szukających roboty pewnie nie ucieszy, że rosną szanse, że ich pracujący na etatach koledzy i koleżanki będą mieli lepiej. A będą, bo Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, szefowa resortu pracy, ogłosiła „zakończenie początkowego etapu analiz dotyczących skrócenia tygodnia pracy”. A wszystko dlatego, że Polska znajduje się w czołówce krajów UE, w których pracuje się najdłużej. Rzeczywisty tygodniowy czas pracy wyno-

si bowiem u nas 39,3 godziny, podczas gdy średnia unijna to 36,1 godziny. Tymczasem zgodnie z prawem czas pracy nie może przekraczać ośmiu godzin na dobę i przeciętnie 40 godzin w pięciodniowym tygodniu pracy. Niedługo zaś mają pracować krócej, a zarabiać tyle samo. Ludzie tracący dziś robotę lękać się jednak nie powinni. Polska traci bowiem pracowników szybciej, niż jest w stanie ich zastąpić. Wystarczy tylko jeszcze pożyć 25 lat. Bo do 2050 r. luka kadrowa może sięgnąć 5 mln osób. Tyłu ludzi – wedle biegłych w ekonomii – będzie nam brakowało wówczas do pracy.

● Choć może niekoniecznie. Bo sklep Społem w Kwidzynie sprzedawców nie potrzebuje. Teraz co prawda tylko w niedzielę, ale za jakiś czas pozwalnia i w resztę dni tygodnia. Do innowacji sklep został zmuszony zakazem niedzielnego handlu. Dlatego zamiast kasjerów są w nim kasy samoobsługowe i inteligentne wózki. Jedynymi pracownikami są ochroniarze, którym wolno tam być, bo po pierwsze pracują w innej niż sklep firmie, a po drugie nie sprzedają, tylko pilnują, zaś pilnowania w niedzielę nikt jeszcze w Polsce nie zabronił. Bezhandlowe niedziele wywalczył kiedyś związkowiec Bujara. Dzięki innowacyjnemu podejściu wymuszonemu przez ten zakaz może się wkrótce okazać, że dowodzona przezeń Krajowa Sekcja Handlu NSZZ Solidarność przestanie istnieć z powodu braku sprzedawców i kasjerów. Ale Bujara będzie już wtedy na zasłużonej wysokiej emeryturze.

TTJ



Zabory i tabory, przybory i wybory

Kampania prezydencka od A do Ż

Aeroporto di Vaticano – nieistniejące lotnisko, na którym kandydat Nawrocki chciałby wylądować w drodze do Waszyngtonu, gdzie są istniejące lotniska: im. Ronalda Reagana (DCA) oraz Dulles International (IAD).

Batyr – Tadeusz, postać fikcyjna, jak Vito Corleone albo Rocky Balboa. Ale raczej jak Vito Corleone.

Chorągiewka tęczowa – artefakt, przez który kandydat Trzaskowski pogorszył swoje notowania, a dzięki któremu sztab kandydatki Biejat poprawił jej pozycję w rankingu wyborczym.

Duda – Andrzej, prezydent Polski, z którym nie wolno się spotykać kandydatom Biejat i Zandbergowi, ale kandydatowi Hołowni oraz niekandydatom Tuszkowi i Kosiniakowi-Kamyszowi wolno.

Euro – wspólna europejska waluta, której europejscy kandydaci na prezydenta Polski nie chcą przyjąć (chlubny wyjątek – kandydatka Senyszyn). To znaczy chcą przyjąć do ręki, lecz nie przez państwo. Kandydat Jakubiak bredzi, że podobnie myśla Niemcy, którzy „mają zapas nadrukowanych marek” i tylko przebiegają nogami, żeby pozbyć się euro.

Fundamentalizm – bezdyskusyjny radykalizm ideowy zaklęty w trzech osobach: kandydatkach Braunie, Mentzenie i Nawrockim. Razem wygrali by te wybory z palcami w dupie.

Gwałt – inaczej zgwałcenie. Według kandydata Mentzena nieprzyjemność, która nie ma prawa wpływać na przymus rodzenia dzieci pochodzących z gwałtu.

Hulajnoga – elektryczny jak krzesło kampanijny pojazd kandydata Mentzena.

Internet – ekosystem, w którym kandydaci Mentzen i Stanowski prezentują się korzystniej niż w rzeczywistości: pierwszy na TikToku nie ma nanej twarzy, a drugi na Kanale Zero ma poczucie humoru.

Jaja – męskie gruczoły rozrodcze zauważone przez kandydata Stanowskiego podczas klasyfikacji płci.

Komorowski – Bronisław, prezydent i kandydat na prezydenta. Jako symbol skrajnie nieudanej kampanii wyborczej daje nadzieję sztabowcom kandydata Nawrockiego i stanowi przestrożę dla sztabowców kandydata Trzaskowskiego.

Lewica – postępowy kierunek polityczny reprezentowany w tych wyborach przez troje kandydatów: Biejat, Senyszyn i Zandberga. Razem mają mniejsze poparcie niż pół Mentzena. A przecież nic się nie zmieniło: „Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie skurwysynem”.

Militaryzm – system państwowy polegający na ciągłym zwiększaniu liczebności armii oraz wydatków na zbrojenia. Zwolennikami militarystyki są prawie wszyscy liczący się kandydaci z wyjątkiem kandydatki Senyszyn.

Nic – to uważa (a raczej nie uważa) kandydat Nawrocki o ucieczce Romanowskiego na Węgry. I nie tylko o tym.

Obsesje programowe – każdy kandydat ma jakąś obsesję, np. Hołownia chce zakazać komórek

w podstawówkach, Zandberg – wysoko opodatkować amerykańskie big techy, Nawrocki – nie przepuszczać imigrantów przez zachodnią granicę, a Braun... Braun w ogóle jest jedną wielką obsesją.

Piątka – polityczny program kandydata Metzena, z którym to programem kandydat Mentzen stanowczo się nie zgadza.

Rekiny – ryby drapieżne z rodziny chrzęstoszkieletowych. W przeszłości jedna o mało nie zjadła kandydata Trzaskowskiego lub mu czegoś nie odgryzła.

Stubb – Cai-Göran Alexander, prezydent Finlandii, którego nazwisko zna kandydat Hołownia. W przeciwieństwie do kandydata Nawrockiego, który jeśli zna jakieś nazwisko, to tylko Hołowni lub Masiaka (Patryka, ksywa Wielki Bu, nie mylić z kandydatem Maciakim).

Telewizja Polska – polski telewizyjny nadawca publiczny, który w debacie w Końskich odegrał niejasną rolę organizacyjną i finansową. Zakład, że jeśli wybory wygra kandydat Trzaskowski, to ta rola nigdy nie będzie wyjątkiem?

Ukraińcy – mieszkający w Polsce obywatele Ukrainy, którym trzeba odebrać socjał (kandydat Trzaskowski), opiekę zdrowotną (kandydat Nawrocki), darmowe lekarstwa i bezpłatny dostęp do wyższych uczelni (kandydat Mentzen), każdą pomoc wartą „choćby złotówkę” (kandydat Braun).

Wierzbicki – Emilia, rzeczniczka kandydata Nawrockiego, najbardziej memogenna i pretensjonalna postać tej kampanii: od nazwiska przez zachowanie wobec konkurencji aż po formę przedstawiania się („Jestem magistrem dziennikarstwa”).

Zatrzymanie obywatelskie – sposób na zwiększenie popularności przez kandydata Brauna: interwencja w szpitalu w Oleśnicy, polegająca na próbie pozbawienia wolności ginekolożki. A nie lepiej od razu: rozstrzelanie obywatelskie? Albo dekapitacja obywatelska?

Żydz – tak jak Ukraińcy, lecz bardziej. I tylko przez kandydatów Brauna i Mentzena.

R.S.

Kampania, czyli końskie zaloty

Elfy powstają przeciw spin doktorom

Wszyscy politycy, jakich znam (a trochę z nich znam), bez wahania i z przekonaniem przyznają, że wyborów nie wygrywa się programami wyborczymi. Kluczem do wygrania wyborów jest, jak twierdzą, odpowiednio dobrana pod emocje wyborców „narracja” (czyli legenda lub bajeczka) i „dobra kampania wyborcza”.

A ja zastanawiam się: co może być głępszego niż podejmowanie egzystencjalnie ważnych decyzji pod wpływem emocji? No co?! Jakiś konkurs na mega

głupotę zrobimy? – czekam na listy od Czytelników. No bo wyobraźmy sobie prezesa spółki, który decyzje biznesowe uzależnia od swojego nastroju. Zrobił fuzję przedsiębiorstw, bo właśnie się zakochał w prezesce lub prezie innej spółki? Pobił znienawidzonego koleś od konkurencji na oczach policji, bo wkurza go, że koleś miał dziadka komunistę? Sprzedał produkty swojej firmy za pół ceny produkcji z powodu nagłego wzruszenia wzrostem kosztów życia z powodu inflacji? Chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że to głupie.

To dlaczego jeszcze ważniejsze decyzje, większe niż skala jednej firmy, decyzje dotyczące państwa ludzie podejmują w wyborach pod wpływem emocji? I to emocji sterowanych kampanijnymi przedstawieniami wyreżyserowanymi przez polityków i stronnice polityczne media? Dlaczego tak wielu (chyba zdecydowana większość) wyborców pójdzie do urny oddać swój głos na kandydata do władz, mając mgliste – czy wręcz fałszywe – pojęcie o jego faktycznych przekonaniach, programie działania czy tym bardziej o jego systemie wartości?

Pytam „dlaczego” i jasne, że to pytanie retoryczne, bo tacy są ludzie – emocjonalni. OK, rozumiem! Nie wszyscy chcą poświęcać swój czas i uwagę wyborom politycznym – choć uważam, że powinni. Ale wtedy, człowieku,

nie daj się omamić kolejnej ściemnie, jaką na ciebie szykują, czyli szantażowi moralnemu, że z szacunku do siebie, do innych i do demokratycznego państwa i Bóg wie czego jeszcze, do wyborów iść musisz. Czyż nie lepiej racjonalnie zadbać o to, aby nie zrobić głupstwa?

Jakieś przykłady gry emocjami dla politycznych skutków? Proszę bardzo: każde wybory władz czy jakakolwiek inna forma ich ukonstytuowania, logicznie rzecz biorąc, dotyczą wyłącznie przyszłości. Bo tylko na teraźniejszość i przyszłość mogą mieć wpływ decyzje polityków. Tymczasem w Polsce prawicowa siła polityczna zorganizowała w Warszawie „Wielki Marsz 1000-lecia Państwa Polskiego i 500-lecia Hołdu Pruskiego”. Uczestniczyli w nim dziesiątki tysięcy ludzi oraz cała kamaryla polityków PiS z ich kandydatem na prezydenta na czele.

Oczywista prostacka manipulacja, będąca treścią tego faktu, polegała na grze historią w pobudzaniu nacjonalistycznych uczuć obywateli w celu wykorzystania tej emocji dla poparcia w nadchodzących wyborach. A ludziska nabierają się na takie grepsy i to jakimś cudem politycznie działa!

A „Koński” wyścig do debaty? Pędzący na złamanie karku do Końskich kandydaci w wyborach prezydenckich doskonale wiedzieli, co robią. Bo choć nie

ma żadnych racjonalnych powodów, aby z powodu ich tam obecności jednym coś wzrosło, a innym trochę spadło, to jednak tak się stało. Sondaże zareagowały. Tu też zadziały emocje wyborców, a nie argumenty kandydatów, ich plany działania i polityczne programy. Ludziska! Nie wstyd Wam tak dawać się wodzić za nosy i noski?!

Z tego emocjonalnego pata, w którym zmagają się z jednej strony emocjonalna natura ludzka, a z drugiej system, który chciałby być demokratyczny, może uratować mnie tylko bajka – bajka o mądrej, świadomej demokracji. Podobno „z naturą jeszcze nikt nie wygrał”, więc aby uratować demokrację...

Wyobraź sobie, mój drogi, że za siedmioma rzekami i siedzioma górami jest kraina, w której żyją szczęśliwe elfy. Kiedyś, przed wielu laty rządziły nimi złe gremliny. Te potwory oszustwem i podstępem starały się zdobyć i utrzymać władzę nad elfami. Panowały nad uczuciami elfów, wykorzystując wiedzę psychologiczną do manipulacji. Narzucały elfom przygotowywane profesjonalnie przez złych spin doktorów inscenizacje. W ten sposób wykorzystywały dobre serca, czyste intencje i dziecięcą naiwność elfów do umacniania swojej władzy w elfiej krainie. Ale pewnego dnia wylądował kosmiczny statek, z którego wysiadły setki atenińców i atenitek, niosących światło, będące ideą wiedzy i rozumu. Przyjęcie tej postawy przez elfów pozbawiło gremliny możliwości działania. Elfy zwyciężyły. Wprowadzono prawa zakazujące kłamstwa i oszustwa politycznego.

Od tej pory elfy mogły przeżywać emocje, pielęgnować swoje uczucia, kochać się bez zagrożenia swojego dobrostanu i swojej egzystencji oraz cieszyć się demokracją elfiej krainy. Emocji i uczuć używały zatem do tego, do czego one służą, ale do polityki, gospodarki i organizacji społeczeństwa używały już tylko rozumu.

ANNA GRODZKA



Prezydentka, której Polska się nie spodziewa

Kraj potrzebuje dorosłego w pokoju

Przekonywanie naszych czytelników, że prof. Joanna Senyszyn jest najlepszą kandydatką na prezydentkę RP, nie ma większego sensu – oni już to wiedzą. Prawdziwym wyzwaniem jest dotrzeć do tych, którzy nie mają zdania albo – co gorsza – w swojej ignorancji skłaniają się ku innym. Nie sztuką jest nakłonić księdza, by założył sutannę. Sztuką jest przekonać go, by ją zdjął – i już nigdy nie zdjął z wieszaka.

To porównanie może być przesadzone, ale odaje coś istotnego. Zalety kandydatury Senyszyn są oczywiste. Problem w tym, że zbyt rzadko się o nich mówi głośno, wyraźnie i odważnie.

Największym atutem prof. Joanny Senyszyn jest... jej wiek. Ma 76 lat – dokładnie tyle, ile miał Joe Biden, zanim jeszcze został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Tyle samo miał Charles de Gaulle, gdy z powodzeniem pełnił urząd prezydenta Francji. A Winston Churchill? Choć ponoć wyczerpany prowadzeniem najstraszliwszej wojny w historii, właśnie w tym wieku po raz drugi objął stanowisko premiera Wielkiej Brytanii. Wiek to nie ograniczenie. To doświadczenie, odporność i wolność od złudzeń. A to są cechy, których dziś Polska potrzebuje najbardziej.

Doświadczenie kontra nocnik

Ci, którzy głosowali na Andrzeja Dudę, przekonani, że jego młodość to przytłaczający atut, bardzo się rozczarowali. Młody – tak. Gotowy do roli głowy państwa? Zdecydowanie nie.

Joanna Senyszyn jest starsza od Rafała Trzaskowskiego o 23 lata, od Karola Nawrockiego o 34, a od Sławomira Mentzena aż o 38 lat. Gdy ci panowie uczyli się łapać równowagę na nocniku, profesor Senyszyn już zbierała realne doświadczenie życiowe – i polityczne.

Widziała stalinizm, PRL, transformację, neo-liberalizm, PiS, PO, Lewicę, Kościół, telewizję, TikToka. Wie, co to kompromis, ale też co to upokorzenie i zdrada ideałów. Nie wierzy już w bajki. I nie sprzedaje ich wyborcom. Czy któryś z pozostałych kandydatów mógłby to o sobie powiedzieć?

Młodość? Wigor? Brak problemów z pęcherzem czy rwą kulszową? Owszem – ale to nie są cechy, które automatycznie czynią z człowieka dobrego przywódcę. Bo kluczowym problemem pokolenia, które dziś ma władzę, jest brak doświadczenia. A to przekłada się na niepokojącą łatwość powtarzania błędów, które historia już dawno odnotowała.

Nie wiadomo, dlaczego kolejne generacje polityków tak chętnie wpadają w te same pułapki myślowe i zasadzki władzy. Wiadomo natomiast, co może temu zapobiec: doświadczenie i zdolność uczenia się na cudzych błędach. A tego nikt poza Senyszyn zwyczajnie nie miał szansy zdobyć. Joanna Senyszyn to 100 proc. więcej życiowego i politycznego eksperyjensu. A mówiąc wprost: dostajemy dwa w jednym pakiecie.

Prezydentka bez smyczy

Przyjrzyjmy się pozycji Joanny Senyszyn w systemie rządzenia i jej unikalnej konfiguracji wobec innych kandydatów.

W naszym modelu podziału władzy kwestia niezależności prezydentury jest absolutnie kluczowa. A w tej dziedzinie Senyszyn nie ma konkurencji. Nie musi się podlizywać partiom, sponsorom ani Kościołowi. Nie szuka stanowisk, nie poluje na stołki, nie buduje CV. Rzec by mogła: „Ja już nic nie chcę – mogę wreszcie walczyć o wszystko”.

Nie ma dzieci, więc nie musi ustawiać ich w spółkach Skarbu Państwa. Nie martwi się, co powie żięć z Orlenu czy syn z rady nadzorczej. Nie goni za pieniędzmi – bo już je ma.

W przeciwieństwie do innych kandydatów nikt nie musi się zastanawiać, czy kandyduje „dla emerytury” albo pod kontrakt z jakimś holdingiem po kadencji. Ona może otwarcie powiedzieć: „Nie muszę się sprzedawać, bo już jestem spleciona – przez życie”.

Prezydentka Joanna Senyszyn nie ma już nic do stracenia. Ma tylko wszystko do dania. Zrobi, co trzeba – nawet jeśli będzie bolało.

Kościół, który przegrał, bo wygrał z budżetem

Pierwszy i najważniejszy punkt programu Senyszyn: całkowity rozdział Kościoła od państwa. To postulat, który – paradoksalnie – powinien najbardziej docenić sam Kościół. Wbrew temu, co piszą niektórzy lewicowi publicyści, to nie państwo najbardziej traci na aliansie z Kościołem. Owszem, traci miliardy. Ale Kościół – traci duszę.

Z pewną zgrozą czytam dziś kolegów ideowych, którzy utyskują, że Kościół do budżetu i korzysta z nieuzasadnionych przywilejów. To jest – wybaczyć – mniej niż połowa prawdy.

Bo jeśli cokolwiek jest bardziej toksyczne dla religii niż sojusz tronu z ołtarzem, to tylko sojusz miecza z krzyżem. Ale skupmy się na tym pierwszym. Kościół, który zbrata się z państwem, przestaje być Kościołem. Staje się departamentem ideologicznym rządu. Nie może już krytykować, bo żyje z łaski władzy. Nie głosi Ewangelii – legitymizuje ustawodawcę. To nie misja. To wasalność.

Kościół utrzymywany z budżetu państwa, dotowany przez ministerstwa, karmiony fundacjami i spółkami Skarbu Państwa – nie służy już ludziom. Służy władzy. Im głębiej wchodzi do szkół, urzędów i parlamentów – tym mniej ludzi wchodzi do jego świątyni.

Bo wierzący nie potrzebują posłanki kryptozakonnicy, ministra ministranta czy biskupa – dyrektora TVP. Katolicy chcą autorytetu, który umie powiedzieć „nie” każdemu rządowi i sprzeciwić się każdej barbarzyńskiej ideologii zamiast próbować za nią nadać. Kościół w Polsce dziś nie protestuje. On klaszcze. Zwłaszcza gdy władza mówi „pieniądz”.

Czy prymas Polak poprze Joannę Senyszyn? Oczywiście, że nie. Przynajmniej nie wprost. Ale powinien. Dyskretnie. Bo taki prezydent – prezydentka, która „wyrzuci Kościół z państwa” – to doskonały pretekst, by Kościół wreszcie wyrwał się z chorego układu. Mógłby wtedy z czystym sumieniem powiedzieć: „Chcieliśmy, ale... siły zła, ateści, Europa, no wiecie, państwo się laicyzuje. Zatem więcej nie będziecie nam kazać wysyłać ojca dyrektora po stołki”.

Nam nie jest potrzebny żaden kościół – ale zakładam, że uważający się za katolików woleliby duchowy, a nie partyjny.

Czas na polską Europę

Trzeba wreszcie powiedzieć eurosceptykom i innym Kaczyńskim: jesteście pozbawionymi ambicji tchórzami. Strasznie Brukselą, która „każe jeść robaki”, i Berlinem, który „steruje eurokracją”, to trauma wyniesiona z zaściankowości PRL-u. Unii Europejskiej nie można się bać – trzeba ją przejąć.

AfD rośnie w siłę. Niemcy flirtują z brunatnymi widmami. Francuskie państwo boi się skutków własnej polityki migracyjnej i zaniedbań społecznych. Marine Le Pen i skrajna prawica rosną w siłę. Włosi znów baraszkują z własną autorytarną przeszłością. Dziś premierką Włoch jest Giorgia Meloni, liderka partii Bracia Włosi (Fratelli d'Italia), mającej bezpośrednie korzenie w neofaszystowskim ruchu założonym przez zwolenników Mussoliniego.

Ktoś musi z tym zrobić porządek. Ktoś w Europie powiedzieć: dość. Dlaczego Polska nie miałaby przejąć steru Unii jako głos zdrowego roz-

sądku? Dlaczego centrum Europy miałoby pozostać w Berlinie albo w Brukseli, skoro Warszawa leży dokładnie w środku kontynentu? Europa to szansa, by przestać być przedmurzem, a zacząć być centrum.

Euro w Polsce

Euro – to zdrada! Naprawdę!?! Jest inne pytanie: czyje interesy chroni złotówka? Adam Glapiński – dumny profesor i jeszcze dumniejszy prezes NBP – zrobił z naszej waluty parodię pieniądza. Gdy inflacja szalała, opowiadał o kotach i śmiał się do kamery. Gdy ceny rosły o 18 proc., udawał, że wszystko jest „pod kontrolą”. Gdy społeczeństwo biedniało, drukował pieniądze na potrzeby rządu i wmawiał, że to „ochrona suwerenności”. To nie była polityka monetarna – to była monetarna kradzież.

Suwerenność nie polega na tym, że można cię okradać w narodowej walucie. Złotówka nie jest świętością. To narzędzie, które służyło do maskowania dziur budżetowych i rżnięcia obywatela inflacją. Właśnie dlatego trzeba je odłożyć. Euro to bezpiecznik. Przed Glapińskim. Przed głupotą. Przed polityką. To dostęp do największego, najbardziej stabilnego systemu walutowego na świecie. Niezależność od kaprysów jednego durnia w fotelu z orłem. Przyjęcie euro to nie oddanie sterów, tylko ich ustabilizowanie. To oddanie pieniędzy pod kontrolę profesjonalnych instytucji, a nie partyjnych błaznów.

Mądra polityka zamiast wysycigu zbrojeń

Bezpieczeństwo i obrona w programie Joanny Senyszyn to dziś stanowisko niepopularne, ale właśnie dlatego potrzebne. Sprzeciw wobec zwiększania wydatków na wojsko przy jednoczesnym poparciu dla silnej zawodowej armii i wspólnej europejskiej polityki obronnej to nie naiwność – to racjonalizm. Problem polega na tym, że trwa wojna w Ukrainie, a wielu próbuje wmówić Polakom, że następna będzie nasza.

W takim klimacie łatwo uwierzyć, że pokój da się kupić – czołgami, myśliwcami, kolejnym miliardem z budżetu. Ale prawda jest inna: pokój nie jest produktem z katalogu zbrojeniowego.

Pokój wymaga mądrych decyzji politycznych, wspólnej odpowiedzialności Europy i odwagi, by powiedzieć wprost: potrzebujemy pokoju za wszelką cenę – nie tylko za cenę kolejnego Abramsa.

Państwo, które źle leczy – i dobrze fakturuje

Polityka zdrowotna Joanny Senyszyn jest ambitna i uczciwa: 30 mld więcej na ochronę zdrowia, realna profilaktyka, szczepienia z bonusem w składce,

rozszerzenie kompetencji lekarzy pierwszego kontaktu.

Problem w tym, że takich pieniędzy „nie ma w budżecie” – albo raczej są, tylko właśnie płyną przez komercyjne kliniki, korporacyjne szpitale i prywatne układy. System jest sprywatyzowany, rozczłonkowany i fatalnie zorganizowany. Niestety, każda jego dotychczasowa reforma kończyła się tym samym: zmianą nazwy instytucji i zwiększeniem liczby dyrektorów. Potrzebna jest radykalna zmiana. Oznacza, że trzeba zacząć od nowa – głośno, jasno i bez lęku przed lobby, które zarabia na kolejce do onkologa.

Miłość gminna, ale burdel powiatowy

Jednomandatowe okręgi wyborcze? Idealny pomysł – którego Senyszyn nie popiera – żeby większość kraju reprezentowała mniejszość poglądów, żeby wprowadzić do parlamentu lokalnych cwaniaków z największym komitetem sąsiedzkim. W Polsce to po prostu metoda na wyautowanie każdego, kto ma coś do powiedzenia poza „kocham swój powiat”. To mechanizm, w którym zamiast reprezentacji mamy casting, a wygrywa nie ten, kto ma rację – tylko ten, kto ma billboard oraz brodę „na samorządowca z ludzką twarzą”.

Izba odrzutów i wyrzutów

A senat? Jest miejscem, które istnieje głównie po to, żeby ktoś miał gdzie wysłać spadochroniarzy z partii, których nie zmieściła lista sejmowa. Oficjalnie: izba refleksji. W praktyce: izba niepotrzebnych. Nie pisze ustaw, nie prowadzi realnej debaty, nie przeszkadza. Być może Senyszyn przesadza, postulując jego całkowitą likwidację. Można by zrobić z niego coś przydatnego – np. archiwum ustaw, dom spokojnej starości dla byłych premierów albo izbę pamięci.

Katechizm to nie biologia

Joanna Senyszyn mówi wprost: istnieje więcej niż dwie płcie – i to nie opinia, tylko fakt. Biologia jest bardziej skomplikowana niż katechizm, a człowieczeństwo nie kończy się na metryce i metce z płciowym nadrukiem. Stereotypy płciowe są jak ciasne buty – ktoś je założył ludziom w dzieciństwie i wmówił, że tak trzeba. I dziś każda inność ich uwiiera. Ale to nie ona jest problemem – tylko te buty. Senyszyn nie chce nikomu niczego zabierać – chce po prostu, żeby każdy miał prawo być sobą. Osoby LGBT+ nie są ideologią, nie są zagrożeniem, nie są wymysłem – są obywatelami tego kraju. Pracują, kochają, płacą podatki – mają prawo do szacunku i ochrony, bo są ludźmi. „Prawa człowieka należą się każdemu – albo są fikcją” – mówi Senyszyn. A jeśli wolność nie dotyczy wszystkich, to znaczy, że to już nie wolność – tylko przywilej dla wybranych.

Czy kolor ma znaczenie?

A teraz, gwoli uczciwości, porozmawiajmy o wadach profesor Senyszyn, które — przynajmniej teoretycznie — mogłyby ją dyskwalifikować. Jest jedna. Fioletowa.

Otóż oficjalna strona internetowa kandydatki na prezydentkę jest... fioletowa. I to, niestety, jest poważny problem. Dlaczego? Bo – jak pokazują badania – nawet 70 proc. ludzi deklaruje, że nie lubi koloru fioletowego. Nie wiadomo do końca dlaczego. Po prostu fiolet ich drażni, niepokoi albo co najbardziej prawdopodobne w naturze jest go stosunkowo mało.

Wiem coś o tym. Sam jestem wyznawcą marki Volvo. Miałem okazję kupić doskonałe auto, świetna cena, perfekcyjny stan, z pewnego źródła. Jedna wada: fioletowy lakier. Nie kupiłem. Do dziś nie wiem dlaczego. Tym po prostu nie szło jeździć.

Więc tak: jeśli fiolet was nie razi, nie parzy i nie psuje wam dnia – to nie ma lepszej opcji niż Senyszyn. I nie ulegajcie dyktaturze sondaży. Wybory to nie statystyka.

ROBERT JARUGA

PO-PiS prezydenta

Hip, hip, hurrraaa! Wódz naszego otumanionego narodu, wielki obrońca naszej konstytucji, tym razem obronił wolność słowa! Przesłał bowiem do instytucji, którą nazywa Trybunałem Konstytucyjnym, ustawę o zmianie ustawy kodeks karny, nazywaną w mediach ustawą o mowie nienawiści. Po co tam ją wysłał? Oczywiście w celu jej spektakularnego uwalenia! Wódz twierdzi, że ustawa uderza w wolność słowa zagwarantowaną przez art. 54 ust. 1 konstytucji. Czyli uważa najwyraźniej, że nie należy karać osób, które według zapisu tej ustawy „stosują przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnych osób z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej, bezwyznaniowości, niepełnosprawności, wieku, płci lub orientacji seksualnej”.

Niestety, wódz nie ujawnił, czy jego zdaniem należy za opisane zachowania nagradzać. Ale biorąc pod uwagę dotychczas wyrażane przez niego poglądy, przypuszczam, że za przemocowe i dyskryminacyjne działania „polskich patriotów” wobec osób homoseksualnych i nienormatywnych płciowo ustanowiłby chętnie specjalne prezydenckie ordery.

Walka o wprowadzenie do kodeksu karnego przesłanek chroniących m.in. osoby LGBT przed aktami agresji i nienawiści ze strony konserwatywnych bandytów trwa (jak pamiętam) od kilkunastu lat. Być może kampania prezydencka nie jest najlepszym czasem na eksponowanie postulatów ludzi nieheteronormatywnych i transpłciowych, ale brakuję mi wiary, że w niedalekiej przyszłości prawo polskie pozwoli także im na równe traktowanie w każdym aspekcie życia.

Losy osób LGBT znów kartą przetargową w kampanii

Skąd ten pesymizm, i czy tylko prezydent jest przeszkodą w tym zakresie?

Trzeba zauważyć, że do tej pory (do momentu uchwalenia ustawy o mowie nienawiści) w sprawie równości osób LGBT parlament – działający przecież już półtora roku – nie dał prezydentowi nawet szansy, by mógł sobie radośnie powetować. Koalicja rządząca niczego bowiem do tej pory nie przegłosowała. Trwały jedynie intensywne sejmowe prace nad okrawaniem projektów lewicy dotyczących związków partnerskich i opór elity koalicji demokratycznej, aby jakiś – choćby okaleczony – projekt wprowadzić pod obrady plenarne. Jeszcze gorzej jest z projektem ustawy o uzgodnieniu płci.

Tę pozornie liberalni parlamentarzyści unikają jak diabeł święconej wody. Nie obchodzi ich całkiem, że taka polityczna przepychanka to zabawa losami konkretnych ludzi – często źródło wielu osobistych wyrzeczeń i dramatów, a także przyczyna emigracji. Z badań wiemy, że osoby transpłciowe najczęściej doznają depresji i są poddawane opresji społecznej. Prawicowa część polityków czyni z tej grupy polityczny straszak, rozkręcając negatywne nastawienia społeczne.



W ostatnim czasie wydarzyła się jedna dobra i oczekiwana od wielu lat rzecz w tym zakresie – ale oczywiście nie w prawicowym parlamencie, a w sądzie. O ironio, stało się to na wniosek Zbigniewa Ziobry, który w 2022 r. zażądał od Sądu Najwyższego rozstrzygnięcia zagadnienia prawnego w „odniesieniu do kręgu pozwanych

w sprawach o uzgodnienie płci”. Zawnioskował o to, by osoby transpłciowe pozywały nie tylko swoich rodziców, ale także małżonka i dzieci. Ale Sąd Najwyższy, rozpatrując ten wniosek, uznał, że osoby transpłciowe nikogo nie będą musiały pozywać w procesie o ustalenie płci, a to ustalenie odbędzie się w trybie nieprocesowym. Nareszcie!

Prawica nie ma ochoty dostrzec, że polityka opresji i dyskryminacji – a w zasadzie brak polityki – osłabia także polską gospodarkę. Raport oparty na międzynarodowych niezależnych badaniach organizacji Open for Business stwierdza, że Polska z powodu praw dyskryminujących osoby LGBT traci rocznie 20 mld zł. Na podobne straty z tego tytułu wskazują publikowane od wielu lat na świecie doniesienia

badawcze. Wiele międzynarodowych korporacji biznesowych ma wdrożone w swoich regulaminach wewnętrznych polityki niedyskryminacyjne. Wiedzą, że im się to sówicie opłaca. Ale to od wielu lat wiści politykom rządzącym w Polsce. Piszę o tych miliardach nie dlatego, że to powinno mieć zasadnicze znaczenie w podejmowaniu decyzji państwa, ale dlatego, że wiem, iż w polityce są ludzie, których nie da się przekonać argumentami etycznymi czy z repertuaru praw człowieka, dla nas oczywistymi.

Trzeba uświadomić sobie wreszcie, że taka sytuacja jest nie tylko wynikiem fałszywej konserwatywnej świadomości tych ludzi, czyli ich tzw. światopoglądu – to świadoma i cyniczna gra polityczna o utrzymanie

PLURALIS MAIESTATIS

Kaganiec dla wilka

Świąteczny tygodnik „NIE” przyniósł informację o słowach księdza Janusza Chyły: „Ideowe dzieci Urbana chcą Polaków uczyć wolności słowa”. Cóż, mam odruch Pawłowa i natychmiast czuję się wyrwana do odpowiedzi, choć pytania przecież nie było.

To ja od paru dni pytam samą siebie o ustawę nowelizującą kodeks karny, a nazywaną antyhejterską. Zasadna czy nie? Sama popularna – bo niekodeksowa – nazwa świadczy już o tym, że mamy do czynienia z produktem propagandowym. Jasne, bądźcie innego zdania, ale pamiętajcie, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. Ekipy polityczne się zmieniają, prawo – w większości – pozostaje.

„Walka z mową nienawiści to nie „ideologia”. To próba poradzenia sobie z jednym z najpoważniejszych problemów życia społecznego w Polsce. Każdy do widzi – mowa nienawiści zatrzuwa debatę publiczną, relacje międzyludzkie, stosunki społeczne. Coraz częściej jest źródłem przemocy, pogardy i ludzkich krzywd” – napisał na platformie X minister sprawiedliwości i byłby rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, po decyzji prezydenta Andrzeja Dudy o odesłaniu rzeczony ustawy do Trybunału Konstytucyjnego: „Prezydent nie zaskoczył. Szkoda. Odmówił podpisania ustawy, która ma chronić nas wszystkich, a najbardziej tych, którzy dziś niemal każdego dnia

są obiektem hejtu i nienawistnych ataków. Deklaruję, że z tego projektu nie zrezygnuję! Będę stał po stronie obywateli, których dotknęła mowa nienawiści i jej poważne konsekwencje”.

W sumie to rozumiem, że można się zirytować, jak Duduś odsyła papier do aktualnie trefnego organu władzy

sądowniczej i jeszcze się zasłania walką o wolność słowa... Rozumiem, ale wiem, że ta ustawa niczym świetlista kometa będzie ciągnęła za sobą śmierdzący ogon jak *political correctness* czy *safe spaces*. Wilkowi nie da się założyć kagańca. Po wtóre, wilk jest naturalną częścią ekosystemu czy systemu po prostu.

Stwarzamy prawo, które gremialnie i tak będzie nieścigalne, co jest argumentem dla pragmatyków, ale nie dla etyków. Jednak jeśli pogadacie z kimkolwiek, kto miał bliskie spotkanie z policją lub prokuraturą jako tzw. petent, to dowiecie się, że oni antyprzemocowe paragrafy – a przynajmniej

antyprzemocowe paragrafy, których złamanie nie owocuje tygodniowym pobytom ofiary w szpitalu – mają głęboko w szufladzie. I to nie dlatego, że to są zli ludzie. Po prostu nie mają mocy przerobowej. Ściągamy sobie na łeb ustawę, która nie jest stworzona dla zwykłych ludzi, ale dla tych, którzy wiedzą, gdzie mogą nacisnąć, aby tryby sprawiedliwości ruszyły. A czy tryby sprawiedliwości są zawsze sprawiedliwe? Cóż za niestosowne, krepujące pytanie!

Artykuł 257 kodeksu karnego mówi: „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodo-

wej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Jest on – podobnie jak i wiele innych artykułów z kodeksów karnych i cywilnych – pokłosiem historii naszej części Europy. Bodajże najostre przepisy tego typu istnieją u naszych zachodnich sąsiadów. I świetnie.

Nowelizacja poszerza grupę chronionych, dopisując znieważenie ze względu na wiek, płeć, niepełnosprawność i orientację seksualną. Ale przecież nie jest tak, że dotychczas polskie prawo ich nie chroniło. Można tylko napisać, że nie chroniło ich z nazwy.

A ja wciąż będę twierdzić, że uścisłanie prawa i robienie z niego narzędzia politycznego jest złem. Do walki ze zniewagą – czy to prywatną, czy to publiczną, czy to medialną, czy nawet pod nieobecność znieważonej osoby – to my mamy art. 216 kk. Owszem, można go odpalić tylko z oskarżenia prywatnego.

Oprócz art. 216 kk mamy art. 212 kk – zniesławienie. O którym to cała światła Europa trąbi, że ogranicza wolność słowa. Ba, mamy jeszcze konstytucję, która gwarantuje, że każdy szarak, jeśli zostanie olany przez prokuraturę, może wnieść oskarżenie prywatne bezpośrednio do sądu rejonowego. A oskarżać można o zniesławienie, znieważenie, naruszenie nietykalności cielesnej. Nie wspomnę już o tym, że oprócz kodeksu karnego możliwości daje i kodeks cywilny, ale tu na początek trzeba się wytrześć z forsy.

Czy narzędzia do walki z hejtem są już w polskim prawodawstwie? No są. To po co dodawać nowe? Z przyczyn politycznych, a dokładniej polityczno-propagandowych. Polityka zaś nie lubi wolności słowa, bowiem nawet opozycjoni politycy zakładają,

że kiedyś będą rządzić i owa wolność słowa może im wtedy się dobrać ustami dziennikarzy czy zaniepokojonych obywateli do dup.

Uwierzcie mi: im mniej zakazów, a zwłaszcza zakazów utrwalonych na papierze – tym dla nas lepiej.

I tak żyjemy już w państwie policyjnym, choć większość z nas nie zdaje sobie z tego sprawy. Wolność słowa oznacza, że dajemy żyć różnym plugastwom, ale dzięki temu życie słów cennych, które niekoniecznie zawsze są niekontrowersyjne, również nie jest zagrożone.

Wątpicie? Poczytajcie „Obronę Sokratesa” Platona. Demokracja ma to do siebie, że lubi się zapędzać, i tak wspaniałe Ateny zmusiły do wypicia cykuty swojego najgenialniejszego obywatela, bo miał za długi jeźor. Jeźor niewygodny. I wiecie co? Sokrates na pełnym wkurwie podpadał pod naszą szykowaną ustawę antyhejterską. Żadnym usprawiedliwieniem dla niego nie byłoby to, że sam siebie hejtował z lubością. A wbrew temu, co sądzicie, ludzkie problemy, frustracje i zwady



władzy w rękach prawicy. Organizowanie polityki wokół problemów budzących intensywnie kontrowersje i emocje społeczne – takie jak prawa osób trans czy sprawa aborcji – jest doskonałym instrumentem podziału opinii społecznej na dwa obozy. To idealna dla utrzymania władzy prawicy sytuacja, którą od 20 lat stwarzają politycy PO i PiS.

To sytuacja, która pozwala politykom nie zauważać prawdziwych problemów i nie wprowadzać niezbędnych rozwiązań – takich jak prosty progresywny system podatkowy, naprawa funkcjonowania systemu ochrony zdrowia czy budownictwa mieszkaniowego albo rozwoju nauki.

No bo przecież wiadomo: obie polityczne opcje mają jasność, że rozgrzany kontrowersjami wyborca i tak zgłosuje na „nas” – wystarczy go tylko nakręcać. Zatem te kontrowersyjne sprawy, z ich punktu widzenia, muszą trwać!

Jak widać, to bardzo skuteczna taktyka. Tak będzie także i w tych wyborach prezydenckich. Znowu wygra prawica. Większość wyborców w drugiej turze zgłosuje na jedną z PO–PiS-owych politycznych opcji. Oddadzą głos nie dla wsparcia polityki lepszego rozwiązania pilnych problemów społecznych, ale z powodu swoich emocji – dla wyboru „mniejszego zła”. Głupie to, kosztowne i przykre, ale niestety prawdziwe.

ANNA GRODZKA

są dzisiaj identyczne jak były ponad 2000 lat temu. Czytać!

Czy ma rację Duda, używając do walki z ustawą art. 54 ust. 1 Konstytucji RP: „Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji”? Cóż, ludzie coraz częściej milczą – trochę ze strachu, trochę dla wygody. Społeczeństwa nie składają się z samych wilków. Wilki to mniejszość. Bardzo mała mniejszość. Nad pieniaczami się nie pochylam, bo to głupota i strata mojego cennego czasu.

Dodam jeszcze, że zwolennicy zmiany powołują się na fakt, iż po jej wprowadzeniu przestępstwa byłyby ścigane z urzędu bez konieczności składania prywatnego aktu oskarżenia.

Dobrze, to może pora zapoznać się z rezolucjami Rady Europy, które już 30 lat temu sugerowały, że nowoczesne prawo nie ma być prawem zemsty, a za-dosćuczynienia.

Ofiara, rzecz jasna, nieomal zawsze chciałaby widzieć przestępcę za kratami, a klucz do krat – w głębokim oceanie. Za satysfakcją ofiary nie może iść – z wyjątkiem drastycznych przestępstw – wykluczenie przestępcy z życia społecznego. Bo wtedy rachunek społeczny wychodzi na zero... albo jest ujemny. Ach, tak, wiem, nad Wisłą to brzmi jak barbarzyństwo!

Wiadomo też, że w razie opóźnień nowelizacji nie będzie szturm na sejm ludzi starych albo nieletnich, ludzi niepełnosprawnych, kobiet.

A jeżeli chcemy przywrócić godność ludziom spod znaku LGBT, to, na Boga, wywalmy z konstytucji art. 18: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”.

Bo tu jest cały pies pogrzebany!

IZABELA SZOLC

Polityka wspólnych błędów

Postulaty LGBT można jeszcze uratować

Pan prezydent był uprzejmy odesłać do Trybunału Konstytucyjnego tzw. ustawę antyhejterską zamiast ją podpisać – to kolejna materia do lamentu dla społeczności LGBT. Wraz z nią lamentują oczywiście wszystkie czynniki sytuujące się po przeciwnej stronie rzeczywistości politycznej niż prezydent. Ten prezydent.

Nie będę się rozwodzić nad meritum ustawy i czy ma ona sens, czy nie, bo robią to w felietonach obok Koleżanki Anna Grodzka i Izabela Szolc. Pozostanę przy stwierdzeniu, że ta ustawa to jedna z obietnic Tuska dla społeczności LGBT (obok ustaw o uzgodnieniu płci i równości małżeńskiej), a więc społecznie oczekiwana. A przy okazji – jedna z tych 100 rzeczy do załatwienia na 100 dni rządzenia. Co prawda ujrzała ona światło dzienne nie po 100, lecz po przeszło 450 dniach, ale to nieistotny drobniaczek.

Duda nie zmienił orientacji

Nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego osoby LGBT i wszyscy ich polityczni sojusznicy dziwią się i lamentują, że Duda nie podpisał tej ustawy. Czego się spodziewali? Że Andrzej „Jeszcze Prezydent” Duda nagle zmieni orientację polityczną? No chyba pierwiej wielbłąd wejdzie do królestwa niebieskiego... czy jakoś tak.

Powtarza się schemat, który znamy już z 2015 r., kiedy ta pierwszą niepodpisaną przez Dudę stała się ustawa o uzgodnieniu płci. Do dziś za winnego tego, że nie weszła ona w życie, uchodzi prezydent. A de facto są nimi politycy Platformy Obywatelskiej, ich głupota i opieszałość. Bo można było ją uchwalić dużo wcześniej, by trafiła do podpisu jeszcze do prezydenta Komorowskiego.

Obecnie powtarzany jest ten sam błąd, z tym że w odwrotną stronę: wtedy niepotrzebnie zwlekano, dziś niepotrzebnie się pośpieszono. Tylko głupota pozostaje ta sama. Zdrowy rozsądek nakazywał bowiem przetrzymać tę ustawę do czasu, aż Duda zlezie z prezydenckiego stołka. Nasz parlament jest przecież mistrzem takich zagrywek – pośród setek innych ustaw to właśnie robiono z ustawą o uzgodnieniu płci w latach 2013–2015. To co się nagle stało, że na Wiejskiej doznano takiego przyspieszenia? Czyżby niewiara w to, że w sierpniu spokojnie mógłby podpisać tę ustawę Rafał Trzaskowski?

A gdyby zdarzyło się tak, że Trzaskowski nie mógłby podpisać tej ustawy z tej racji, że byłoby to prerogatywą kogoś innego, to wówczas nie miałyby żadnego znaczenia, czy ustawa zostałaby uwalona przez Dudę, czy przez jakiegoś innego prawaka. Naprawdę nie można było poczekać?

Jak wkurwić prezydenta

Na ironię zakrawa fakt, że madame Biejat, obecnie zatrudniona jako wicemarszałczyca senatu, miał użyć swych mocy, by przytrzymać temat nieco dłużej w senacie, po gładkim przepchnięciu go przez izbę refleksji biegnie do Dudy skamleć o podpis. Ze niby przy okazji czego innego. Tyle że ustawa o obniżeniu składki zdrowotnej dla przedsiębiorców – będąca ponoć głównym przedmiotem zabiegów Biejat u prezydenta – jeszcze z parlamentu nie wyszła, więc jej los nie jest ostatecznie przesądzony. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Biejat biegła do prezja przede wszystkim w sprawie tej ustawy, czym mogła wielce Dudę wkurwić.

No bo pomyślcie: facet, który był jednym z głównych pisowskich szczujów na społeczność LGBT, który m.in. po tęczyowych plecach wdrapał się na



Społeczność LGBT jest wkurwiona, bo nikt nie wykonał z nią pracy uświadamiającej, że jakkolwiek w tej kadencji może się spodziewać pewnych zmian w prawie na korzyść, ale nie wszystkich i nie od razu.

A to powinno być pierwszym wspólnym zadaniem i polityków, i organizacji LGBT. Bo ludzie są tylko ludźmi i gdy w październiku 2023 r. zagłosowali na koalicję, która im takie zmiany obiecywała, to chcieli tych zmian natychmiast bez względu na realia polityczne. I nadal chcą ich jak najszybciej.

Tymczasem stopień odklejenia od realiów politycznych nie tylko przeciętnych osób ze społeczności LGBT, ale nawet czołowych aktywistów, był – i mam powody przypuszczać, że nadal jest – dość wysoki. Najlepiej obrazuje go fakt, że natychmiast po wyborach Kampania Przeciw Homofobii – największa polska organizacja zajmująca się prawami LGBT – jęła naciskać na Donalda Tuska w sprawie uchwalenia równości małżeńskiej w 100 dni. I to w sytuacji, w której nawet nie było jeszcze rządu, że o nieprzychylnym prezydencie, który natychmiast by taką ustawę uwalil, nie wspomnę.

Gasnące nadzieje

Huraoptymistyczne naciski aktywistów LGBT na koalicję w sprawie natychmiastowego uchwalania wszystkich obiecanych praw skutkują wyłącznie tym, że w społeczności rozbudza się niesamowite nadzieje. Po półtorarocznym okresie rządzenia tej koalicji wszystkie adresowane do osób LGBT obietnice jest w stu procentach niespełnione. Społeczność jest więc generalnie wkurwiona na koalicję, a przede wszystkim na szefa rządu. Na nic są tu tłumaczenia co przytomniejszych osób, że jakkolwiek działania podejmowane w tej chwili są skazane na porażkę z powodu prezydenta i rząd praktycznie ma związane ręce. To w ogóle nie trafia do zbiorowej świadomości tych środowisk. I jeszcze ta zagrywka z tęczową flagą podczas debaty w Końskich sprzed dwóch tygodni...

Efekt jest taki, że masa osób odgraża się, że ponieważ utraciły zaufanie do koalicji, to nie będą już głosować na Trzaskowskiego. Zapowiadają, że wybiorą sobie kogoś z pomniejszych kandydatów, najczęściej z lewicy. Super, tylko myślimy realnie: żaden z nich nie zdobędzie tylu głosów, by wejść do drugiej tury. A jeżeli w drugiej turze te zawiedzione nadzieje nie pójda zagłosować na wiadomego kandydata, to efekt może być taki, że na realizację tych obietnic zawiedzeni będą czekać kolejne kadencje. Ile, nie wiadomo, ale potencjalne scenariusze na najbliższą przyszłość nie rysują się zbyt tęczowo.

Realia polityczne są takie, że środowiska LGBT, żeby nie wiem jak czuły się zawiedzione Tuskiem, PO, koalicją, samym Trzaskowskim, to nie mają właściwie innego wyjścia jak głosować na Trzaskowskiego – przynajmniej w drugiej turze. To jest w tej chwili jedyny scenariusz dający nadzieję na choćby częściową realizację obietnic dla LGBT sprzed października 2023 r. Obstrukcja może nas drogo kosztować. A warto też pomyśleć, że nie możemy sobie dziś pozwolić na wybór kolejnego katoprawackiego prezydenta. Wobec perspektywy ewentualnego powrotu do władzy pravicowych populistów po kolejnych wyborach parlamentarnych taki „nasz” prezydent może być jedynym gwarantem przetrwania w tym państwie resztek demokracji.

Nie oszukujmy się: ustawa antyhejterska ma znaczenie marginalne i zapewne najważniejsze czynniki okółotuskowe doskonale zdawały sobie z tego sprawę. Właściwie trudno traktować ją inaczej niż jako celową wystawkę, by pokazać niechęć Dudy do wszystkiego, na co pada choćby cień LGBT. I spowodować, by osoby LGBT głosowały na Rafała T. Tyle że przy okazji nawet to prawo o marginalnym znaczeniu uwalono. A jakie będą jego dalsze losy? Nie wiadomo, bo niekoniecznie musi być tak, że nowy prezydent wycofa tę ustawę z Trybunału Konstytucyjnego, by ją ciuapasem podpisać.

EDYTA BAKER

ETYKA
BEZBOŻNA

Kononowiczowi dumka na grób

Kto zawinił?

Wszyscy już wiemy, że Krzysztof Kononowicz nie żyje. Wiemy, kim był i jak marnie swe marne życie zakończył. Wszyscy – a to znaczy, że mimo całej swej marności miał coś, co z marnością nijak się nie kojarzy, a mianowicie sławę. O Bolesławie Chrobrym, o którym teraz jest tak głośno, za jego pełnego chwały i okrutnych czynów życia wiedziało pewnie kilkaset tysięcy ludzi – o Kononowiczu ze 20 razy więcej. Trochę się przez te tysiąc lat pozmieniał. Dobrze, że za kolejne tysiąc lat nikogo nie będzie obchodził ani jeden, ani drugi. Na szczęście nie ma takiej rzeczy ani człowieka, których by w końcu nie zostawiono w spokoju.

Jednakże nauka z życia Kononowicza nie taka jest, że sława nie musi iść w parze ani z bogactwem, ani (tym bardziej) z cnotą, lecz można być ofiarą, która z powodu doznawanej krzywdy niewiele wycierpiała, a jednocześnie zasłynąć szeroko – i to wcale nie jako ofiara, lecz w roli wdzięcznego obiektu dla sztychów. Etyczna opowieść o Kononowiczu to opowieść o godności i jej braku, o podłości wyzyskiwaczy i sztychów, o poczciwości kryjącej się na dnie serca prostaka-złoczyńcy żerującego na swojej ofierze i podopiecznym w jednej osobie, a także o wolności (mimo wszystkiego) osoby umysłowo ograniczonej i w ogóle o dziwnym splocie, jaki prostactwo tworzy ze złem i dobrem. Niestety, z takimi sprawami lepiej dają sobie radę dramatopisarze niż etycy. Zanim jednak powstanie sztuka o Krzysztofie „żeby nie było niczego” Kononowiczu, pozwólmymy sobie na mały komentarz.

Bo sprawa nie polega po prostu na tym, że źli ludzie zrobili sobie źródło dochodu z publicznego poniżania i wyśmiewania bezbronnego chorego człowieka. Ani Kononowicz nie jest zwykłą i jednoznaczną ofiarą, ani jego opiekunowie-prześladowcy nie są zwykłymi przestępcami. Relacja między nimi jest o wiele bardziej złożona. Polega na przemocy i wykorzystywaniu (wyzyskiwaniu), jednocześnie będąc swego rodzaju – może chorą, ale jednak – więzią emocjonalną i opiekuńczą. Zresztą w życiu często tak bywa. Świadomość, że się kogoś krzywdzi, owszem, nawet i jest, ale osłabia ją i wypiera poczucie, że na jakimś poziomie jednocześnie czyni się dla tej osoby coś dobrego.

Owszem, na początku było „darcie łacha”. Jakieś faszystowskie męty 20 lat temu uczyniły sobie z zagubionego, ocieźniałego umysłowo



i samotnego mężczyzny polityczno-jarmarczną zabawę, wystawiając go jako kandydata na prezydenta Białegostoku.

Jego umysłowe ograniczenie i prostactwo miały śmieszyć, a jednocześnie ośmieszać politykę lokalną w ogólności. Potem jednakże okazało się, że happening przynieść może długofalowe korzyści, jeśli zgrabnie go pociągnąć w formule nazwanej nieco później patostreamingiem.

Udało się znakomicie. Wzbierająca fala internetowego rynsztoka porwała Kononowicza, a nagrywane z nim filmiki zaczęły przynosić dochody osaczającym go cwaniakom. Z tych dochodów niewielkie kwoty odpalali nieszczę-

snemu bohaterowi swoich facecji, przekonani, że zabawa jest przednia i nikt krzywdy nie ma. Niestety, przyznał to również sąd, który nie przychylił się do wniosku prokuratury o ukaranie cynicznych manipulatorów, czyniących z Kononowicza publiczne pośmiewisko dla takich samych jak oni prostaków i frustratów. Bo też, jak stwierdził sąd, chcącemu nie dzieje się krzywda.

Ta stara rzymska zasada ma oczywiście swoje ograniczenia. „Chcieć”, czyli zgodzić się na coś, na co niekoniecznie zgodziliby się inni, można jedynie wtedy, gdy ma się wystarczające rozeznanie, czyli zdrowie psychiczne i władzę poznawczą, aby móc świadomie podejmować decyzje i zawierać umowy. Krzysztof Kononowicz był pod tym względem na pograniczu – stwierdzono u niego niedorozwój umysłowy, ale tylko w stopniu lekkim. Sąd uznał, że to za mało, aby potraktować go jako bezbronną ofiarę. Nie mam żadnych danych ani dostatecznej wiedzy, aby z tym dyskutować, jednakże warto zauważyć, że rezygnując z obrony dóbr osobistych, a zwłaszcza godności Krzysztofa Kononowicza, sąd wykonał gest wyrażający dla tej godności szacunek. Uznał bowiem jego poczytalność i autonomię decyzyjną.

Mówiąc potocznie, Kononowicz był za głupi, aby zrozumieć, że z niego kpią (choć i kpina może mieć w sobie coś z sympatii – i warto o tym pamiętać), lecz jednocześnie za mądry, aby prokurator i sędzia mieli się w to wtrącać, uznając go za niewinną ofiarę.

Kim więc ten biedak był? Ofiarą? Jeśli ofiarą, to już nie idiotą, prostakiem i chamem. Tylko czy my mamy prawo tak bardzo tego delikwenta umniejszyć i redukować do rozmiarów niepo czytальной ofiary złych ludzi, że całe grubiaństwo, którym epatował świat, całkowicie traci znaczenie? To przecież też jest jakieś unieważnianie, skreślanie człowieka. Tak jak gdyby jego głupie i chamskie wypowiedzi były niczym szczekanie psa – bez znaczenia. Zresztą tego rodzaju totalna „wiktyimizacja” Kononowicza rażąco kontrastowała by z całkowitą odmową okazywania empatii i wyrozumiałości jego krzywdzicielom. A przecież ci kolesie to też żadne asy. Może i oni zasługują na potraktowanie ich jako ofiar? Ofiar „systemu”, własnych rodziców, społecznego otoczenia. Wszak chamstwo nie rodzi się na kamieniu.

Trzeba uważać z pięknym gestem nakładania na ludzkie głowy cierniowych koron, bo łatwo tu o protekcjonalizm i obłudę. Trzeba też uważać ze zbyt łatwym stosowaniem prostych zasad i sentencji w rodzaju „sam tego chciał” czy „nikt go nie zmuszał”. Jednakże dla etycznego komentatora (coż za wspaniała godność przypadała mi w udziale dzięki „NIE”!) kłopot jest jeszcze większy. Przychodzi mu bowiem przywoływać subtelne rozróżnienia na użytek równie subtelnych rozważań, podczas gdy sama komentowana materia jest wszelkiej subtelności przeciwieństwem. Jak tu uczenie komentować zwykłe prostactwo i chamstwo?

No właśnie – siła chamstwa na tym właśnie polega, że do świata ludzi kulturalnych nie pasuje ani oni nie pasują do niego. Żyje więc sobie niepokojone. I niechaj już tak będzie. Jednakże w tle tego wszystkiego są zgola inni ludzie. Iluż zamożnych, wykształconych i do teatrów chodzących Amerykanów i Polaków stoi za tym, aby na platformie społecznościowej mogły przez całe lata odbywać się takie gorszące harce? To im jest na rękę. To oni na tym naprawdę zarabają. Chamy, prostacy i szyderycy byli, są i będą zawsze. Ale dzikich przestrzeni wolnej amerykanki w internecie, udającej pełną kulturkę, a nawet kulturę, wcale być nie musi. Te serwisy doskonale wiedzą, co się na nich dzieje. I pozwalają na to. W imię wolności słowa i ekspresji. Oczywiście pod warunkiem, że przynosi im dochód. Szukanie winnych poniżenia Krzysztofa Kononowicza? Szukajcie ich w milionerskich rezydencjach za murami.

JAN HARTMAN

Jak donosi niezależna seulska organizacja NK News, komitet partyni północnokoreańskiego miasta Nampo z obawy o malejącą populację produkcyjną kraju i siłę wojskową – obie wynikające ze spadku urodzeń – zaczął niedawno aranżować przymusowe małżeństwa kobiet, które przekroczyły 28. rok życia i nie znalazły reproduktora. Staropanieństwo dwa wdech przed trzydziestką uznano za zjawisko niesocjalistyczne i chętno zabrano się do prostowania niewieścich kręgosłupów.

Program walki z podstarzałymi singielkami uchylającym się od obowiązków zapewniania macie świeżymi obywatelami wdrożono m.in. w okręgu Wuando. Od 19 marca bieżącego roku jednostki straży sąsiedzkiej i członkowie Socjalistycznej Patriotycznej Ligi Młodzieży sporządzają listy pańienek na wydaniu celem dopasowania im kandydata na męża z państwowego nadania. Niechętnie procederowi samice aparat partyni zachęca do zamążpójścia groźbą mobilizacji do ciężkich robót np. w kopalniach, na budowach lub na wsi. Miejski komitet partyni stwierdził, że „małżeństwo i poród nie są prywatnymi decyzjami, ale kwestią patriotyzmu, a odmowa zawarcia małżeństwa wydaje się odmową pełnienia roli, jaką kobieta powinna odgrywać dla ojczyzny”.

Na celowniku służb znalazły się też młode małżeństwa, których figle nie zaowocowały potomstwem. Państwo jednak łaskawie wyłączyło pary ze zdiagnozowaną bezpłodnością.

Według informacji NK News młodzi ludzie buntują się przeciw polityce narzucania małżeństw i prokreacji, argumentując, że to decyzje na całe życie, a kobiety nie mogą przecież robić sobie dzieci z mężczyznami, których nie kochają. Znając jednak

Orwell i macice

Polskę, Stany Zjednoczone i Koreę Północną łączy więcej, niż mogłoby się wydawać.

północnokoreańskie realia, za bardziej prawdopodobne uważamy, że opowieści o próbach protestu to omamy z niedożywienia i lęku.

Na innym kontynencie i drugim (przynajmniej jeszcze do niedawna) biegunie ustroju za polityczne zagrożenie dla kraju uznano spadek liczby nastoletnich cięż. Bezproduktywnie rozwarte w miłosnym uniesieniu uda nieletnich Amerykanek oskarżono o zmniejszenie potencjalnej populacji, a co za tym idzie – ograniczenie reprezentacji politycznej, utratę funduszy federalnych i miejsca w Kongresie USA stanów Missouri, Idaho i Kansas. Co prawda prokuratorzy wspomnianych obwodów nie zarządzili na wzór Korei Północnej spisu macicznego inwentarza, ale złożyli pozwy do sądu, twierdząc, że winnym wspomnianych plag jest mifepriston – hormonalny cud aborcji farmakologicznej – i zażądali jego wycofania.

Gdyby prokuratorska motywacja wydawała się komuś nad wyrost, warto pamiętać, że gdy w 2022 r. do sądu w Teksasie wpłynął pozew lekarzy-płodocentrystów, którzy zatwierdzenie pigułki aborcyjnej przez amerykańską FDA (Agencja Żywności i Leków) uznali za zbyt pochopną,



przychylił ich opinii sędzia stwierdził, że pozywający ponieśli szkodę estetyczną, bo cenią sobie widok bobasów, a spędzająca zarodki pigułka ich tego doznania pozbawia. Sąd Najwyższy jednak spuścił sędziego i pozywających po brzytwie. Niewielka to pociecha, bo administracja Donalda Trumpa chce zwalczać dostęp do aborcji w całym kraju, nie tylko dla nastolatek. Na początek blokując całkowicie dostęp do mifepristonu tam, gdzie jest już zakazany. Metody, po jakie sięga, są również pomysłowe jak argumenty przeciw użyciu środków poronnych.

Wiewiórki donoszą, że antyaborcyjne lobby i polityczne konserwy pracują nad wskrzeszeniem ustawy Comstock Act uchwalonej w 1873 r. Nazwa dokumentu pochodzi od jego głównego promotora Anthony’ego Comstocka, działacza na rzecz moralności publicznej. Ustawa miała na celu zakazanie rozprzestrzeniania materiałów uznanych za obsceniczne, w tym pornografii, środków antydziecinnych oraz informacji o skrobankach, poprzez pocztę federalną. Krytycy wskazują, że papier jest XIX-wiecznym reliktem, nieprzystającym do współczesnych realiów świata internetu i przesyłek kurierskich. Zdrowy rozsądek podpowiada, że możliwość inwigilacji drogą elektroniczną wykracza poza wyobraźnię niedowiarków.

Polska, ten pryszcz na dupie świata, ma własne udręki i inkwizytorów macic. „Problemem Polski nie są feministki, a panie »konserwatywne«. Zapomniały, że główną rolą kobiet jest macierzyństwo. Nikt ich w tym nie zastąpi. Ich lenistwo i tchórzostwo doprowadziło do zapaści demograficznej i wymierania narodu. (...) Proszę sobie wyobrazić, jak by wyglądała Polska, gdyby te wszystkie dobre kobiety (bez

sarkazmu) miały (...) zamiast 2–3 dzieci 7–8. KO, Hołownia i inne bzdurki byłyby bez znaczenia. »Kobieta zaś zbawi się przez rodzenie dzieci« (1 TM 2,15) – i żadne zaklęcia tego nie zmienią (...)» – napisał w serwisie X w grudniu ubiegłego roku Jacek Hoga, prezes fundacji Ad Arma, prywatnie przyjaciel Sławomira Mentzena, od niedawna jego doradca ds. wojskowości. A jest to jeden z wielu cytatów o prawicowo-ekstremistycznym zabarwieniu tego gagatka.

Oj tam, oj tam – rzekłby przypadek przychodzień. Wszak popłuczyny konfederackiego kisielu trudno brać na poważnie.

Kłopot w tym, że w wyborach prezydenckich na 13 kandydatów tylko trzech jest lewicowych, a ich łączne średnie poparcie w sondażach nie przekracza 13 proc. Beniaminek Konfy póki co plasuje się na trzecim pudle w wyścigu do stołka.

Ci natomiast, którzy uważają się za preofary mrocznych dystopii zorganizowanych przez globalne lewactwo, cierpliwie zwierają szyki i sami po cichutku instalują system, o którym można powiedzieć, że to literalnie Orwell. I niemądrze machnąć na to ręką.

IDALIA DUBICKA

Małolaty wznoszą toast

Ministerstwo Cyfryzacji walczy z wiatrakami

Doskonałe wieści dla rodziców: dzięki nieudolności resortu cyfryzacji milusińscy chcą napisać się na legalu wódki nie muszą już prosić o przysługę żula.

Nie zna życia ten, komu za dzieciaka w monopolowym nie pociły się ręce, kiedy zapytany o dowód tożsamości wyciągał legitymację szkolną z przerobioną za pomocą żyłетки i długopisu datą urodzenia. Szczęściarze mający dobre kanały dostępu mogli liczyć na zakup oryginalnego glejtu z pieczętką do własnoręcznego wypełnienia. W dobie cyfryzacji nie trzeba specjalnych znajomości, wystarczy link z dostępem do strony generującej mDowód i za 20 zł można cieszyć się lewą pełnoletniością. Szanse na wpadkę są minimalne.

Polać im!

Od lipca 2023 r., dzięki ustawie o aplikacji mObywatel, tożsamość możemy potwierdzać zawartym w niej mDowodem. Cyfrowy dokument tożsamości ma szereg zabezpieczeń, które mają utrudnić jego podrobienie, jednak ofert wyrobienia „kolekcjonerskich dowodów” i „kolekcjonerskich aplikacji” nie brakuje. Odnalezienie stron sprzedających lewe apki i dokumenty jest łatwe jak golnicie flaszki wina do śniadania.

Wystarczy wejść na Instagram, Spotted czy TikTok i w wyszukiwarce wpisać frazę „fake mObywatel”. W ciągu paru sekund znajdziemy przynajmniej kilka kont oferujących zakup fikcyjnej tożsamości na państwowych resorach.

Właściciele stron zachęcają do wysyłania w tej sprawie wiadomości prywatnych bądź wskazują kanały, na których można sfinalizować transakcję. Część fałszerzy korzysta ze skryptu, który umożliwia wyświetlanie tylko jednej konkretnej strony, ale nie imituje całej aplikacji. Może to być mDowód, który potwierdza jestestwo obywatela tak samo jak plastikowy dowód osobisty. Link do takiej strony kosztuje ok. 20 zł. Za dodatkowe sześć dych można kupić dostęp do apki kopiującej mObywatela jeden do jednego. Jeśli kieszonkowe pozwoli, w cenie dwóch stówek chętni uzyskają kod źródłowy do tworzenia własnych aplikacji. Ponieważ Bozia kazała się dzielić, ci zdolniejsi, którzy ogarniają skrypty, z dobrego serca i za darmoszkę klepią fejkowe cyfrowe papiery dla całych klas w podstawówkach i szkołach średnich. A mówią, że młodzież jest samolubna...

Dane za darmo

Naturalnie od pewnego odsetka upojonych i wciągniętych w nałóg nikotynowy nastolatków kraj nie legnie w gruzach, problem jest jednak szerszy i wykracza daleko poza młodociane wątroby i płuca. Częstotliwość wycieków danych osobowych w kraju nad Wisłą jest znacząca. Tylko w trzecim kwartale 2023 r. odnotowano ponad 206 tys. incydentów naruszenia ochrony danych osobowych. Wpadki zdarzają się w różnych sektorach, z medycznym i administracją publiczną włącznie. W 2019 r. Krajowy Rejestr Spółek (KRS) ujawnił numery PESEL członków fundacji i stowarzyszeń oraz zarządów spółek. W 2023 r. odnotowano trzykrotny wzrost liczby wycieków danych pacjentów (w tym numerów PESEL) w porównaniu do wcześniejszych lat,



Ilustr. PAWEŁ FERENC

wystarczy wspomnieć atak hakerów z grupy RA World, którzy próbując wymusić okup na firmie ALAB Laboratoria, udostępnili numery PESEL ok. 187 tys. pacjentów. PESEL co prawda można zastrzec, kłopot w tym, że nie każdy obywatel wie, jak to zrobić, z czym taki ruch się wiąże, a często nie jest także świadomy wycieku jego danych.

Podrobione dokumenty z powodzeniem można wykorzystywać do duplikowania kart SIM prawdziwych obywateli celem – na przykład – autoryzowania przelewów z ich kont bankowych. Lipnego dowodu wystawionego na prawdziwe dane można też użyć w lokalu wyborczym, byle dane osobowe zgadzały się z tymi na liście. Oczywiście w tym przypadku trudno mówić o procederze na skalę, która pozwoliłaby przewalić przewagę na rzecz jednego kandydata, ale ujawnienie takiej

hucpy mogłoby już narobić konkretnego smrodu, a skutki afery nietrudno sobie wyobrazić.

mDupa

Ministerstwo Cyfryzacji deklaruje, że o problemie wie, i rozesłało nawet komunikat prasowy o tym, jak prawidłowo mDowód weryfikować. Cechy świadczące o autentyczności internetowego dokumentu to falująca flaga Polski oraz zielony napis „dokument ważny”. To zabawne, bo specjaliści do spraw bezpieczeństwa uważają, że akurat te dwa elementy powinny zostać całkowicie usunięte, bo dają osobom wzrokowo weryfikującym mDowód fałszywe wrażenie legalności glejtu. Ministerstwo Cyfryzacji przypomina, że istnieje także możliwość sprawdzenia mDowodu przy pomocy kodu QR. Procedura wydaje się banalna: osoba sprawdzająca dowód powinna wybrać w aplikacji opcję „Pokaż kod QR”, a osoba sprawdzana – „Zeskanuj kod QR”. Tu jednak pojawiają się schody: nie robi tego prawie nikt – od sprzedawców przez konduktorów, na urzędnikach kończąc. Pracownicy sklepów nie mogą korzystać ze smartfonów w pracy, a co lepsze, pojawiają się sygnały, że weryfikacja kodem QR wciąż nie zawsze działa między różnymi platformami – telefonem z Androidem nie da się czasem sprawdzić mDowodu na iPhone i odwrotnie.

Członek komisji wyborczej nie ma obowiązku posiadania smartfona. Mało tego, nawet jeśli sprzęt ma, nie powinien używać prywatnego telefonu w publicznym celu. Krótko mówiąc, z każdej strony dupa.

Zgodnie z ustawą o aplikacji mObywatel Rada Ministrów powinna na podstawie rozporządzenia określić przypadki, w których – ze względów bezpieczeństwa – nie można jej użyć. Niestety, choć w maju przypadnie druga rocznica uchwalenia ustawy, rozporządzenie nie tylko nie powstało, ale nie trwają żadne prace nad jego stworzeniem. Remedium na cyfrowe bolączki mógłby zostać spójny system weryfikowania elektronicznych dokumentów wszędzie tam, gdzie są one w użyciu. Osoby sprawdzające tożsamość powinny dysponować pakietem narzędzi, które jednoznacznie pozwoliłyby rozpoznać autentyczność dokumentu. Póki co resort cyfryzacji zapowiada walkę z oszustami poprzez kampanię informacyjną. Wiele wskazuje na to, że młodzież i oszuści jeszcze długo będą wznosić toasty za nieudolność ministerstwa.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Ze śmiercią im do twarzy

Nic tak nie ożywia wizerunku prezydenta jak znany trup

zmiany, mógł zapomnieć o sensownym stanowisku w pisowskiej administracji. No i pożegnać się z marzeniami o fusze w spółkach skarbu państwa.

Działo to zresztą i w drugą stronę. Do osoby obwieśnionej odznaczeniem przyznawanym przez Dudę przestawali się przyznawać ludzie PiS-u niemilujący.

Jedną z tak naznaczonych osób miał szansę zostać dr Piotr Kuropatwiński z Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego. Nie skorzystał, bo postanowił nie przyjmować medalu „za długą służbę” nadanego mu przez prezydenta Dudę. KOD-owskie sumienie Kuropatwińskiego kłóciło się bowiem z byciem nagrodzonym za „wzorowe, wyjątkowo sumienne wykonywanie obowiązków wynikających z pracy zawodowej w służbie Państwa”.

Naukowiec medal Dudy odpuścił, a w sieci wydał oświadczenie: „Odmawiam przyjęcia odznaczenia od prezydenta, który zobowiązał się stać na straży konstytucji, ale zachowuje się jak przedstawiciel narzuconej z zewnątrz władzy”.

Dla prezydenta taki afront nie był jedynym. Więc przynajmniej od roku 2016 kancelaria Dudy sprawdzała, komu przyznaje order i medale. I nie chodziło tu bynajmniej o taki drobiazg, czy dana osoba swoim dorobkiem zasłużyła na wyróżnienie, ale czy aby nie odmówi przyjęcia.

Bo Dudę takie odmowy mocno wkurzały. Zaczęło się od Macieja Stanisława Jankowskiego, który w grudniu 2015 r. w „Kropce nad i” publicznie oddał Krzyż Oficerski. I nie dość, że oddał, to gest ten opatrzył takim komentarzem: „Przyzwoite będzie, jak się pozbędę tego »ordera«. To próba wyrazu sprzeciwu wobec tego, co się dzieje w Polsce”.

Chwilę potem Krzyża Wolności i Solidarności odmówił prof. Ludwik Turko, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Odmowę też opatrzył komentarzem. A ten mocno Dudę zabolął. „Uznałem, że to ważne, kto przyznaje takie odznaczenia. To trochę tak, jakby dostać Krzyż Walecznych od przełożonego, o którym wiadomo, że był tchórzem” – oświadczył profesor.

Nie minął miesiąc, a na biurko prezydenta trafił zwrot kolejnego Krzyża Wolności i Solidarności. Tym razem od Andrzeja Łozińskiego.

Uzasadnienie było dla Dudy wielce niemiłe: „W czasie swej krótkiej kadencji wielokrotnie sprzeniewierzył się Pan przysiędze prezydenckiej, łamiąc Konstytucję, lekceważąc i dzieląc Polaków, wykazując serwilizm wobec Pańskich mocodawców. Tym samym stracił Pan mój szacunek jako prawnik, jako człowiek i jako prezydent! Zwracam i odsyłam Panu to odznaczenie!”.

Do wtopy prezydenckiej kancelarii doszło jeszcze w grudniu 2016 r., gdy jakiś oficjalnie sprawdził, że niegdysiejszemu opozycjonście Lechowi Kosiakowi lepiej nie przyznawać, bo maczał palce w KOD-zie. Ktoś jednak wniosek przygotował, Duda – jak to miał w zwyczaju – podpisał, czym naraził się na Kosiakową odmowę i uwagę, że „łamię konstytucję, nie kieruję się ideałami Solidarności oraz nie przestrzegam wyroków Trybunału Konstytucyjnego”.

Zasłużony nieawanturujący się

Przez kilka miesięcy kancelaria Dudy stawała na uszach, by nagradzać tylko swoich. Udało się niemal przez rok. A potem wpadli na prosty, acz genialny pomysł, jak odznaczać nie swoich, nie narażając się na rekuze. Koncept był prosty, a narodził się przypadkiem, przy okazji śmierci trenera siatkarskiego Andrzeja Niemczyka. Wszyscy wiedzieli, że Niemczyk ciężko chorował i rokowania miał paskudne. Ale póki żył, jakoś nikomu z kancelarii nie chciało mu się niczego wręczać. Bo lichy wie, jak by się zachował. Co innego, gdy zmarł. Rodzina zabiegana w po-grzebowo-proceduralnym amoku nie wpadnie przecież na to, żeby Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski odmówić. A skoro tak, to Andrzej Niemczyk został pośmiertnie takim orderem przez prezydenta Andrzeja Dudę uhonorowany. Odznaczenie „za wybitne zasługi w działaniu na rzecz rozwoju i upowszechniania sportu oraz za osiągnięcia w pracy trenerskiej” zostało przekazane na ręce córek zmarłego.

Martwi ludzie sportu byli tym, co postrzeganiu Dudy robiło dobrze. Gdy więc umarł jeden z najwybitniejszych szermierzy w historii tej dyscypliny Ryszard Parulski, Duda przyznał mu natychmiast pośmiertny Krzyż Komandor-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ski z Gwiazdą OOP. Facet w chwili śmierci miał prawie osiemdziesiątkę. Był czas na wręczenie za życia. Ale wtedy pies z kulawą nogą by się o geście prezydenta nie dowiedział.

Znany polityk lewicowy Tomasz Kalita przez wiele miesięcy chorował publicznie. Wcześniej przez wiele lat mocno udzielał się w polityce i mediach. Trzeba było jednak, żeby umarł, aby mógł stać się godnym przyznania mu przez Dudę Krzyża Kawalerskiego OOP „za wybitne zasługi w działalności publicznej”.

Niedługo po nim laureatem pośmiertnego Krzyża Kawalerskiego OOP został znany i lubiany dziennikarz sportowy, sybaryta i facyjonista Paweł Zarzeczny. Pewnie gdyby nie taki drobiazg, że po śmierci wszystkie media o nim pisały, to ani Dudzie, ani jego urzędnikom pomysł odznaczania go nigdy by nie wpadł do głowy.

W kolejnych latach nic się nie zmieniło, a gdy brakowało świeżych umarłaków, kancelaria Dudy ratowała się odznaczaniem dawno nieżyjących żołnierzy wyklętych. A w końcu nawet zmarłego w marcu dyrektora sprzedaży biznesowej B2B w Legii Warszawa Macieja Szewczyka, który odpowiadał za łożę VIP oraz stadionową gastronomię.

TADEUSZ JASIŃSKI

Wielkie halo zrobiło się, gdy prezydent Duda pośmiertnie nadał Barbarze Skrzypek, wieloletniej współpracownicy Kaczyńskiego, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski z uzasadnieniem: „za wybitne zasługi w służbie państwu i społeczeństwu”. Najbardziej przy tej okazji wygłupił się Bronisław Komorowski. „W trakcie mojej kadencji nie zdarzyło mi się przyznać orderu za samą śmierć” – mówił mediom, oczywiście kłamiąc.

Pośmiertnie wybitni

Wszak to on odznaczył pośmiertnie Adama Halbera, dziennikarza i krytyka muzycznego. Oczywiście nie za to, że umarł, lecz „za wybitne zasługi w działalności państwowej i społecznej, za popularyzowanie wiedzy oraz kultury muzycznej”.

Bliżej nikomu nieznany ks. Witold Andrzejewski, póki żył, nie zasługiwał, widać, na państwową błyskotkę, ale gdy wyzionął ducha, Komorowski mu ją nadał „w uznaniu wybitnych zasług w kształtowaniu moralnych i patriotycznych postaw, za osiągnięcia w działalności społecznej i wychowaniu młodzieży w duchu wartości chrześcijańskich”.

Niewspominając o pośmiertnych Krzyżach Zasługi nadanych przez Komorowskiego w 2014 r. dziennikarzom: Brygidzie Frosztędzę-Kmiecik (TVP) oraz Dariuszowi Kmiecikowi (TVN), którzy zginęli w wyniku wybuchu w katowickiej kamienicy. Odznaczenia były oczywiście nie za to, że nie żyli, ale „za osiągnięcia w działalności dziennikarskiej i wyjątkową wrażliwość społeczną w pracy reporterskiej”.

Trzeba jednak przyznać, że przy pośmiertnej polityce odnaceniu prezydenta Dudy hi-pokryzja Komorowskiego to bardzo mały pikus.

Odznaczenia zaś od niemal trzech dekad poza wartością symboliczną nie są nic warte. Nie dają, jak za nieboszczki komuny dodatku do emerytury, ani nie wspomagają ścieżki kariery.

Ba, w dzisiejszym pluralistycznym świecie odznaczenie państwowe może szkodzić.

Weź pan go sobie

Ktoś udekorowany przez Kwaśniewskiego, a nie daj Bóg – Komorowskiego za czasów dobrej

Budy zdrowia

Kliknij se do doktora

W związku z obniżeniem składki zdrowotnej dla przedsiębiorców i ewolucją NFZ-owskiej dziury budżetowej w wyrwę czas na ekstremalną optymalizację usług medycznych. Błyskawiczny rozwój sztucznej inteligencji i potrzeba cięcia kosztów na najbardziej potrzebujących powinna skłaniać ministrów do modernizacji usług publicznych tak, żeby rząd był cały, a pacjent dalej wyruchany, za to taniej dla systemu.

Jak mówi stare przysłowie: „My tu gadu-gadu, a Chińczycy pewnie już to mają”. Zgadza się. I w drodze wyjątku to my, Polacy, postanowiliśmy ukraść ich pomysł. Poznajcie system One-minute Clinics stworzony przez koncern Ping An Good Doctor w polskiej wersji, który zrewolucjonizuje państwowy sektor zdrowia w kraju nad Wisłą.

Doktor myk

Chińskie One-minute Clinics to bezobsługowe kioski wykorzystujące AI i technologię mobilną do świadczenia ekspresowych usług medycznych. Kliniki to kompaktowe kabiny o powierzchni ok. 3 mkw. wyposażone w „niezależny pokój diagnostyczny” i „inteligentną szafkę na leki”. Punkty znajdują się w popularnych miejscach publicznych, a proces konsultacji jest prosty jak chłapięcie flaszki wina do obiadu.

Pacjent wchodzi do kabiny i korzysta z systemu AI Doctor, który zbiera informacje o objawach i historii medycznej poprzez interakcję głosową lub tekstową. Sztuczna inteligencja mieli wstępną sugestię diagnostyczną, która następnie jest weryfikowana przez prawdziwego lekarza z zespołu Ping An Good Doctor za pośrednictwem wideokonferencji.

Kliniki działają w trybie 24/7, co umożliwia dostęp o każdej porze i eliminuje konieczność długiego oczekiwania na konsultację na szpitalnych oddziałach SOR czy w przychodniach. Średni czas wizyty to mniej niż pięć minut i chociaż nie wiadomo jak ze śmiertelnością, to wedle zapewnień chińskiego operatora satysfakcja pacjentów wynosi 98 proc.

Zatem do dzieła!

Nazwa i miejsce

Cyfrowa przychodnia made in Poland powinna mieć łatwą do zapamiętania i miłą w skojarzeniu nazwę, więc narażając się na proces o plagiat z Rafałem Brzoską, proponujemy markę Lekarzomat. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego za 2024 r. wynika, że 56,6 proc. obywateli powyżej 15. roku życia miało nadwagę lub cierpiało na otyłość, zatem kabiny medyczne przeznaczone dla Polaków powinny mieć powierzchnię przynajmniej dwóch konfesjonatów, czyli ok. 5,2 mkw.

Umieszczenie lekarzomatów musi korelować z najliczniej odwiedzanymi przez populację miejscami, zatem w pierwszej kolejności powinny stanąć przy kościołach, sklepach monopolowych, Żabkach, burdelach, dyskontach handlowych i sklepach z chabaniną.

Moduł

Rodzime budy zdrowia winny być wyposażone w dodatkowe systemy wentylacji, które szczególnie latem pozwolą uniknąć przykrych porównań do komór gazowych. Jako innowację proponujemy kostki do kibla powieszone przy wentylatorach. Ten budżetowy sposób da fałszywe w odbiorze poczucie higienicznej dbałości o obiekt. Kostki należy umieścić w zaplombowanych pojemnikach – może są tanie, ale nie będą za darmo.

Wszelkie ruchome elementy wyposażenia wnętrza, wbrew nazewnictwu, należy na stałe przytwierdzić do powierzchni płaskich. W celu uniknięcia pomylenia obiektu medycznego z toaletą publiczną warto przeprowadzić testową symulację z odpowiednikiem kołców na gołębie, aby wymusić na pacjentach pozycję pionową w trakcie badania. W każdym lekarzomacie dostępny będzie alkomat oraz pakiet jednorazowych testów ciążyowych i druczanych wieszaków w ramach aborcji na NFZ.

E-doktor

Resort nauki w najbliższej perspektywie nie planuje rewolucji w finansowaniu wieloletnich przedsięwzięć naukowych, a znaczy to tylko tyle, że kasy na rozwój nie będzie. Skutkiem tego polski e-lekarz będzie bazował na wiedzy z polskich forów medycznych, komentarzy na Facebooku i filmów dorosłych znachorów z serwisu YouTube.

Usługa Dobry Doktor zostanie wyposażona w aplikację, która w pierwszej kolejności wykluczy symulantów przez wydruk lewego kuponu ze zniżką na alkohol. Po odebraniu kuponu auto-

mat wyśle zawiadomienie do ZUS i urzędu pracy o próbie wyłudzenia świadczenia.

W przypadku zdiagnozowania chorób potencjalnie śmiertelnych przewiduje się wideokonsultacje z prawdziwymi lekarzami, ale zza granicy (budżet). O ile pozwoli na to różnica czasowa między Indiami a Polską i w Indiach nie będzie zbyt późno, pacjent uzyska połączenie. Pytanie o nostryfikację dyplomu lekarskiego skutkować będzie zawieszeniem prawa do leczenia na okres lat pięciu.

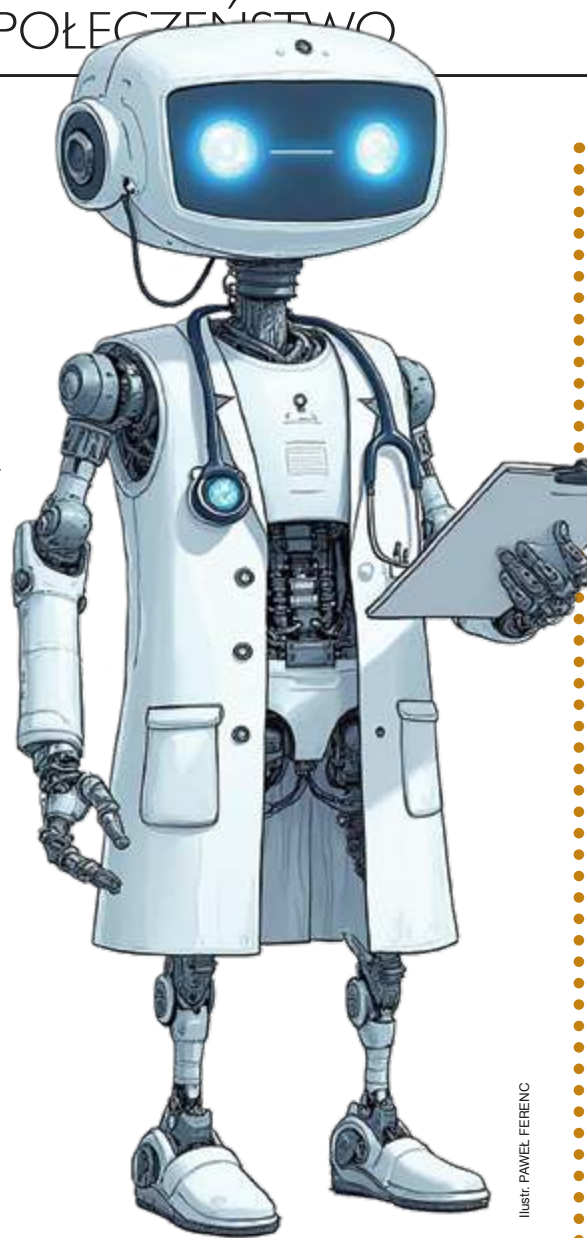
Jeśli diagnoza okaże się wyjątkowo niepomyślnie rokująca, pacjent otrzyma skierowanie do najbliższego zakładu pogrzebowego oraz cennik cmentarza komunalnego bądź parafialnego.

W przypadku braku rozpoznania schorzenia automat wyda zaświadczenie o treści „To nie rak” i zalecenie schudnięcia.

Usługi premium

Cyfryzacja – podobnie jak obniżenie nakładów na fundusz zdrowia – daje szerokie pole do nadużyć w państwowym systemie medycznym. Pakiet usług premium dostępny będzie w ramach płatności kartą i blikiem, żeby pospólstwo śmierzzące biedą nie generowało kosztów obsługi bilonu.

Pakiet „Na umór” zdiagnozuje skutki przyjęcia toksycznych dla organizmu dawek alkoholu i narkotyków, zwolnienie L-4 i zniżkę na paczkę szlągów w najbliższej Żabce wypisze bez oceny moralnej. Dodatkowo aplikacja automatycznie zamówi Ubera.



ILUSTR. PAMEL FEREING

Pakiet „Matka Polka” umożliwi odbiór recepty na antykoncepcję z pominięciem lekarzy z klauzulą sumienia, wyda zezwolenie na zakup nielimitowanej ilości benzodiazepin i opiatów oraz rabat na prosecco.

Pakiet „Dziecko” pozwoli wydrukować fałszywy glejt o pakiecie szczepień i wyda kupon na śliski kocyk, gdyby epidemie jak na złość szlag trafił.

Pakiet „Uśmiech” zaferuje rabat na zakup w leasingu używanych implantów zębowych z Turcji. Nie oszukujmy się, jeśli kogoś stać na stomatologa, stać go też na prywatne wizyty lekarskie i lekarzomat mu niepotrzebny. To usługa dla naprawdę potrzebujących.

Fatalne prognozy demograficzne i wysoka śmiertelność w społeczeństwie zdają się sugerować, że w przyszłości można rozwinąć bliźniaczy system usług e-pogrzebowych Zwłokomat, żeby zaoszczędzić na lekarzach stwierdzających zgon.

Panie premierze Tusk, wchodzi pan w to?

IDALIA DUBICKA

W nawiązaniu do kolejnej już bitwy o aborcję, która przetacza się przez ojczyznę, pragnę zaznaczyć, że mam dwie wiadomości i obydwie są złe. Jeśli lewica nie wzmocni swojej pozycji w rządzie, będziemy widzieć prawo do skrobane jak świnia niebo. Co gorsza, liberalizacja przepisów to dopiero wierzchołek góry lodowej, która stoi na kursie do normalizacji tego – zdawałoby się – podstawowego w cywilizowanym świecie świadczenia medycznego.

Worek połamanych kości

Przeciętne dziewięciomiesięczne dziecko potrafi podciągać się do stania, chwycić przedmioty kciukiem i palcem wskazującym, reagować na swoje imię i proste polecenia. Nie przeszkodziło to katolickim i prawicowym mediom rozpruć wora nagłówków krzyczących o morderstwie dziewięciomiesięcznego Felka po późnej z powodu szeregu błędów lekarskich aborcji dokonanej w oleśnickim szpitalu.

Felek, który w rzeczywistości był płodem i gdyby jakimś cudem przyszedł na świat żywy, niczego nigdy by nie chwycił. Stopień zaawansowania jego wady letalnej – wrodzonej łamliwości kości – był tak wysoki, że w łonie matki jego kościec kruszył się jak suche liście. Podczas narodzin fragmenty nieprawidłowo wykształconej czaszki wbiłyby się w jego mózg. Legalny zabieg, który oszczędził cierpienie płodowi i jego nosicielce, nie uszedł uwadze chrześcijańskich fetyzystów śmierci w mękach. Festiwal skomasowanej nagonki na lekarkę Gizełę Jagielską, która podjęła się wykonania aborcji, i rodziców Felka w rozmiarach i barwach przywodzi na myśl czasy płonących stodół i gry w piłkę głowami innowierców.

Oliwy do ognia dołączyła wiceminister zdrowia Urszula Demkow i stojący na czele Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników prof. Piotr Sieroszewski.

– Dla mnie to jest ogromnie trudne. Jako dla człowieka, lekarza, matki i ministra zdrowia. Może ta mama mogła podjąć taką decyzję, żeby to dziecko urodzić i oddać do adopcji – wypruła złotoustą wiceminister z Polski 2050 w wywiadzie dla Polsatu. No nie, nie mogła.

– Powyżej 24. tygodnia nie ma żadnej aborcji, a poród – zawyrokował w rozmowie z Polską Agencją Prasową prof. Sieroszewski. Warto podkreślić, że był on jednym z lekarzy, którzy odmówili matce Felka aborcji na podstawie zaświadczenia psychiatry o zagrożeniu jej zdrowia i życia, a następnie w ramach troski o płód zamknął ją na oddziale psychiatrycznym. Kobieta była wtedy w okolicy 36. tygodnia ciąży i dopiero dowiedziała się, jak poważną wadę ma Felek. – Jako położnicy respektujemy skierowania na aborcję od psychiatrów i nigdy ich

Poronione pieniądze

Składek na ZUS nie da się zmniejszyć choćby z powodu paru milimetrów poczętych tkanek



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

Większość kobiet wie, że aby poronić, trzeba zająć w ciążę. O tym, jak to się robi, mogą dowiedzieć się z internetu lub wielu książek. Czy zaszło się w ciążę, kobieta najczęściej dowiaduje się po pięciu tygodniach od ostatniej miesiączki. Pozna je to po tym, że z pochwy nic nie chce lecieć. W celu upewnienia się kupuje dwa różne testy ciążowe i je obskuję. Kosztuje ją to ok. 60 zł.

Może oczywiście zapisać się do ginekologa, ale raczej nie warto, bo ten z NFZ będzie dostępny za dwa miesiące, prywatny zaś w tym czasie w kieszeni co najmniej 150 zł.

Zygota zarobkowa

Jeśli babka ma pewność bycia w ciąży, ale macierzyństwo jej nie interesuje, a chce zarobić, musi pomyśleć, jak poronić. Sposobów jest kilka. Najpewniejszym jest zastosowanie dostępnych w internecie

i za granicą medykamentów. Ich koszt to 400–800 zł.

Po zastosowaniu zgodnie z instrukcją dochodzi do oczyszczenia się organizmu kobiety z zarodka. Jeśli zdążyło się to zrobić przed 12. tygodniem od ostatniego okresu, to pojawia się coś na kształt miesiączki. Nie wolno jednak pozwolić temu spłynąć do kanalizacji. Należy zatem siadać na sedesie z trzymanym pod sobą sitkiem. To, co na nie wyleci, jest warte ładnych parę złotych.

Gdy krwawy kawałek już się ma, pora dostarczyć go do szpitala. Szpital ma obowiązek takie zdarzenie odnotować. Niestety, przepisy uniemożliwiają mu wypisanie tego, na czym kobiecie zależeć powinno najbardziej, czyli karty martwego urodzenia. Jej wystawienie wymaga bowiem znajomości płci dziecka.

Zabiera się zatem ze szpitala to, co się przyniosło, i biegnie tam, gdzie robią badania genetyczne określające płeć. To kosztuje jakieś 600–800 zł. Po paru dniach są wyniki. Teraz wystarczy dostarczyć je znowu szpitalowi, a chwilę potem odebrać rzeczony kwit.

Z papierem należy szybko pofatygować się do urzędu stanu cywilnego, aby

martwy zarodek zarejestrować w spisie martwych obywateli. W tym celu trzeba wymyślić jakieś imię niezwykłym kilku milimetrom. USC działają dziś na tyle sprawnie, że urząd powinien dokonać rejestracji na poczekaniu. I wystawić kolejny kwit.

Teraz kobieta ma już wszystko, co trzeba, i może wystąpić do ZUS z wnioskiem o zasiłek pogrzebowy. Ponieważ jest matką, to zakład nie powinien od niej wymagać rachunków za pochówek i „bez względu na poniesione koszty” wypłacić 4 tys. zł.

To jednak nie koniec. W kodeksie pracy jest bowiem artykuł 180, mający taki oto punkt 1: „W razie urodzenia martwego dziecka lub zgonu dziecka przed upływem 8 tygodni życia, pracownicy przysługuje urlop macierzyński w wymiarze 8 tygodni po porodzie”. Oznacza to, że teraz kobieta może się przez dwa miesiące byczyć z ZUS-owską kasą równą jej zarobkom.

I dlatego dobrze, gdy ma pracodawcę, u którego da się pracować na półczarno. Bo stan zdrowia na pracę w czasie tych dwóch miesięcy pozwala kobiecie jak najbardziej. Przepisy nie pozwalają jedynie, aby jej roboczog-

Ostateczne rozwiązanie kwestii praw kobiet

Nie rozmnażajcie się

nie podważamy – mówił jeszcze w grudniu dla „Pulsu Medycyny” Sieroszewski. Jak widać, od tego czasu sporo się zmieniło.

Prawem w mać

W połowie kwietnia Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników wystosowało do resortu zdrowia pismo, w którym zasugerowało, by wrócić do interpretacji prawa sprzed wyroku TK i w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia kobiety skupić się na zdolności płodu do samodzielnego życia. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie jego nosicielka.

Zanim Trybunał Julii Przyłębskiej i rząd Zjednoczonej Prawicy skasowały embriopatologiczną przesłankę do aborcji, gdy płód miał wady, ciążę można było przerwać do 23. tygodnia. Po zmianie przepisów w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia kobiety ustawodawca nie przewidział ram czasowych trwania ciąży umożliwiających jej zakończenie. Tym samym – jak na ironię – słowa Jarosława Kaczyńskiego z 2021 r., że bzdurą jest twierdzenie, że aborcja jest zakazana, można uznać za prawdziwe. Po serii zgonów ciężarnych, którym obumarłe w wyniku nieprawidłowego przebiegu ciąży płody i bogobojni lekarze zasłaniający się rzekomym strachem przed prokuraturą zafundowali zgony w wyniku sepsy, do akcji wkroczyli Donald Tusk z minister zdrowia Izabelą Leszczyną i przedstawili wytyczne, które miały stanowić nową wykładnię do obowiązujących przepisów prawa.

Te miały zabezpieczać kobiety, które ze względów zdrowotnych nie chcą lub nie mogą donosić ciąży, oraz ustanowić dupochron dla drżących przed konsekwencjami prawnymi skrobanek medyków. Przy okazji świeża interpretacja starych zapisów stała się prezentem dla obywateli na otarcie łez po fiasku depenalizacji skrobanek.

Ponieważ ustawa nie precyzuje, czy chodzi o zdrowie psychiczne, czy fizyczne ani czy zagrożenie musi być wyjątkowo groźne, od sierpnia ubiegłego roku każda pacjentka z zaświadczeniem od lekarza ze specjalizacją adekwatną do problemów zdrowotnych powodujących zagrożenia powinna mieć wykonany zabieg aborcji. Już wtedy PTGiP stawiało na czubku prącia, żeby uwalić sprytny fortel Tuska i Leszczyny, argumentując,

że ciężarne Polki masowo poważe skierowania od psychiatrów w receptomatach, aby na legalu pozbywać się przykrych konsekwencji ruchania. Nie pykło. Postanowili więc ukrócić lody na sprawie z Oleśnicy.

Jak nie drzwiami, to oknem

„Zdaniem Zarządu Głównego PTGiP zasadny jest pogląd wyrażony np. w Systemie prawa medycznego, »że co do zasady możliwa jest zatem terminacja ciąży bardzo zaawansowanej, jednak w doktrynie podnosi się, że w sytuacji, gdy płód osiągnął już zdolność do samodzielnego życia poza organizmem matki, przerwanie ciąży powinno być dokonane w sposób, który umożliwia jego uratowanie, np. poprzez indukowanie wcześniejszego porodu lub wykonanie cesarskiego cięcia». Innymi słowy, po osiągnięciu przez płód zdolności do samodzielnego życia poza organizmem matki i po zaistnieniu przesłanki w postaci zagrożenia życia lub zdrowia matki, zabieg przerwania ciąży, jakkolwiek całkowicie legalny, nie może jednak polegać na celowym uśmiercaniu płodu” – piszą lekarze do ministra zdrowia. I podkreślają, że zachowanie lekarza przeprowadzającego zabieg może podlegać ocenie w świetle art. 152 par. 3 kodeksu karnego, który mówi o karalności przerwania ciąży w przypadku osiągnięcia przez płód zdolności do samodzielnego życia poza organizmem ciężarnej.

Z tego właśnie paragrafu organy ścigania zamierzają badać przypadek z Oleśnicy.

Dowcip polega na tym, że jeżeli glejty potwierdzą, że aborcja została przeprowadzona z uwagi na zagrożenie życia i zdrowia ciężarnej,



na tym etapie prokurator powinien zakończyć swoje czynności, bo nie będzie miał podstaw do twierdzenia, że doszło do naruszeń.

Pośpiech w podjęciu decyzji o wszczęciu śledztwa i nagłe wzmocnienie części środowiska medycznego przy tej akurat sprawie może – delikatnie mówiąc – budzić uzasadnione wątpliwości co do bezstronności zainteresowanych.

Szczególnie że we wrześniu ubiegłego roku profesor Sieroszewski wyraził zadowolenie, że temat stosowania przepisów dotyczących procedury aborcji został dostrzeżony przez rządzących. – Idziemy we właściwym kierunku, normalizując sytuację, która jest dużym problemem dla kobiet, a także lekarzy położników, ginekologów – powiedział w wywiadzie dla „Menedżera Zdrowia”. Zdroworoządkowe myślenie szybko mu przeszło.

Krótko mówiąc, Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników pod naciskiem prawicowych konserw próbuje wrócić do procedury kwadratury koła, które uniemożliwi późne aborcje płodów z wadami letalnymi. Pieprzenie głodnych kawałków obrońców życia nienarodzonego o mordowaniu kilkumiesięcznych dzieci można wsadzić między bajki. Brak limitu jest właśnie po to, by w sytuacji ekstremalnej lekarz nie był karany, kiedy przyjdzie mu ratować matkę dziecka.

Wbrew paranoidalnym fiksacjom prawicy żadna kobieta, która chodzi dziewięć miesięcy w ciąży, kompletuje wyprawkę i urzęda pokoik, nie stwierdza nagle, że pierdoli tę robotę i idzie usunąć.

Gdy obserwujemy narrację prawicowych zamordystów, łącznie z pogłoskami o uprawianym przez oleśnicką lekarzkę handlu organami abortowanych płodów (sic!), pozostaje cieszyć się z kryzysu demograficznego. Żadna szanująca się kobieta nie powinna decydować się na dziecko w państwie, które traktuje ją z taką pogardą.

W obronie rodziców Felka i Gizeli Jagielskiej stanęli kandydaci na prezydenta z lewicy Magdalena Biejat i Adrian Zandberg. Brak reakcji platformianego kandydata Rafała Trzaskowskiego zarówno na aferę wokół sytuacji z Oleśnicy, jak i ataki płodofilii na warszawską klinikę aborcyjną AboTak, pokazują, że nawet po przeegranych przez PiS wyborach gówno się zmienia. Dopóki lewica nie siądzie wyżej na grzędzie, wynik aborcyjnego meczu będzie nieważny, ważne, by piłka była w grze.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

dziny były gdziekolwiek uwzględniane. Oczywiście jeśli nie chce pracować, to nie musi, a wynagrodzenie i tak z ZUS dostanie.

Podsumujmy zatem.

Gdyby kobieta zarabiała najniższą krajową w okolicach 3,5 tys. zł na rękę, to wraz z zasiłkiem pogrzebowym dostanie od państwa za swoją płodność 11 tys. zł. Przy kosztach wynoszących najwyżej 1500 zł.

Za zarobione na czysto 9,5 tysiąka może śmignąć dla podratowania zdrowia w całkiem ciepłe miejsce. I to nawet dwa razy w roku. Bo przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby – bez większego uszczerbku na zdrowiu – spróbować tego samego po paru miesiącach. Wkrótce zyskowność całej operacji może wzrosnąć, bo rząd w końcu musi podnieść zasiłek pogrzebowy do zapowiadanych 7 tys. zł.

Czasem może jednak wystąpić problem, bo niektóre ZUS-y lubią mieć pod zasiłek pogrzebowy podkładkę w postaci faktur i rachunków za pogrzeb. To też można przeskoczyć, bo przecież ma się w rękę rachunek za DNA, a dogadanie się z zakładem pogrzebowym w zamian za 30-procentową łapówkę na stosowne faktury też nie powinno być problemem.

Wiosenne wypalanie

Jeśli się jednak nie jest wyludzaczką, ale szpitalem, to też można przylutulić za poronienia dodatkowych parę groszy. Od połowy marca do połowy kwietnia trwa wiosenny sezon wypalania i zakopywania zygot. Przynajmniej w ponad 100 miastach, w których samorządy stosowną uchwałą zafundowały na cmentarzach groby dzieci utraconych. Znaczy poronionych zarodków i zygot. Jest też wypalanie i zakopywanie jesienne. W październiku.

Radni z Rzeszowa ujęli to tak: „Pogrzeb dzieci martwo urodzonych organizuje się dwa razy w roku (25 marca i 15 października) w specjalnie do tego przeznaczonej mogile, zlokalizowanej na terenie Cmentarza Komunalnego Wilkowyja w Rzeszowie, po uprzednim dokonaniu kremacji zbiorowej i umieszczeniu popiołów w zbiorowej urnie”.

Statystyka mówi, że rocznie w szpitalach leci ponad 40 tys. wczesnych ciąży. Najczęściej takich do 14. tygodnia. To zaś znaczy, że gabaryt zarodka wynosi ok. 5 mm.

Od 2007 r. wypadnięcie takiego zarodka z macicy uprawnia niedośzłą matkę do opisanych wcześniej ZUS-owskich świadczeń. Zdecydowana większość kobiet, które poroniły, ma gdzieś bieganie za kwitami i załatwianie badań DNA. Jednym szkoda kasy, a inne najwyżej nie są w formie. Najczęściej zaś nie wiedzą, że przy minimum zachodu załatwiają sobie 56 dni urlopu.

Panie, które tak mają, a płód poleciał im w szpitalu, podpisują kwit, w którym oświadczają, że fragment martwej tkanki zostawiają szpitalowi.

Jeszcze kilkanaście lat temu taka placówka medyczna spaliłaby zygotę wraz z innymi pozostałościami po operacjach. Ale teraz nie ma już do

czynienia z odpadem medycznym, tylko ze zwłokami. W związku z tym panie ze szpitalnej administracji piszą do władz gminy, że mają dla niej zadanie. Dlatego że wraz ze zrzeczeniem się zainteresowania zygota przez rodzinę z mocy prawa obowiązek pochówku spada na gminę. Tak jak płatność za faktury wysyłane jej przez szpital.

Świadome tego stanu gminy mają na podorędziu podpisane wcześniej ze szpitalem umowy, z których jedna stanowi, że – tak jak w Bydgoszczy – „koszty gromadzenia i przechowywania ciał dzieci martwo urodzonych w kalkulowuje się w koszt szpitalnego zakładu patomorfologii”.

W związku z czym strzęp tkanek ląduje w słoiku z formaliną. I czeka.

W uchwałach gmin jak byk stoi, że koszty „pochówku dzieci martwo urodzonych pokrywa gmina ze środków przeznaczonych na realizację zadań własnych z zakresu pomocy społecznej”. Znaczy z pieniędzy MOPS-ów. Te zaś wybierają zakład pogrzebowy, który zajmie się – jak w Szczecinku – „odebraniem zwłok wraz z niezbędną dokumentacją ze Szpitala, przechowywaniem zwłok do pochówku, przewozem zwłok do kremacji, kremacją zbiorową, urną zbiorową i złożeniem urny z prochami na cmentarzu w miejscu do tego wyznaczonym oraz oznaczeniem miejsca złożenia urn z prochami tablicą informacyjną”.

Inne gminy wymyśliły zaś sobie, że o terminie grzebania prochów spalonego zarodka informują matkę osobście listem lub SMS-em. I nikogo nie interesuje to, czy kobieta sobie tej informacji życzy z powodu wrodzonego masochizmu psychicznego, czy może jest już w trzecim miesiącu kolejnej ciąży i nie chciałaby stresować się sytuacją sprzed pół roku.

Drugą szczecinecką innowacją jest to, że to do zakładu pogrzebowego należy przechowywanie słoików z formaliną i pływającymi w niej tkankami. Dzięki czemu pracownicy miejscowego szpitala nie muszą się codziennie pukać w czoło, widząc słoiki pełne tego, co wyleciało kobietom z pochew.

Piramida świństwa

Wiele samorządów ma mocne koneksje z biskupami lub proboszczami. A ponieważ pochówek to źródło przychodów Kościoła, to oczywiście pogrzeb zygoty też. Stąd w Płońsku, Świebodzinie, Łomży czy Płocku radni zagłosowali, że nieodebrane przez rodzinę zarodki będą miały katolicki pochówek. Oczywiście wszystkie takie samorządy zadeklarowały, że zobowiązują się do pokrywania kosztów pogrzebu zygot z publicznego budżetu.

Ale nawet jak władza świecka postawi swój grób dzieci utraconych, to ksiądz może pokusić się o konkurencyjny. Jak w Stalowej Woli. Na tamtejszym cmentarzu komunalnym pierwszy grób dziecka utraconego powstał w 2006 r. z inicjatywy Powiatowego Szpitala Specjalistycznego. Ale w 2015 r. ordynariusz sandomierski upomniał się o swoje i powstał drugi grób.

Na kasie od gminy Kościół kokosów na pochówku zygot nie robi. Ale na swoje wychodzi. Dwa razy do roku, gdy odbywają się gminne pogrzeby spalonych zawartości słoików z formaliną, księża przez parę tygodni robią reklamę takiej imprezie. Oczywiście wmawiając wszystkim kobietom, które kiedyś poroniły, poczucie winy. Działają na tyle skutecznie, że jak przychodzi do pogrzebu, to stawiają się na nim setki, jeśli nie ty-

siące. Do tego dochodzi odpowiednia oprawa słowna, okładanie grobu zabawkami dziecięcymi i inne najprostsze sposoby na wyciskanie łez i otwieranie portemonetek. Wystarczy potem przejść z koszykiem i proboszcz czy biskup mogą liczyć na ciężkie tysiące złotych.

Facetów w koloratkach nikt za molestowanie psychiczne kobiet nie będzie ścigał. W dzisiejszej Polsce nikt nie zarzuci też burmistrzom, prezydentom czy biskupom, że stawianie pomnika poronieniom i cykliczne nagłaśnianie modłów przed nim to w stosunku do normalnych kobiet sadzym.

Ale okazuje się, że debilizm związany z czczeniem odrzuconych przez naturę zarodków potrafi dotykać nawet lekarzy. Parę lat temu w szpitalu wojskowym w Żarach personel medyczny wymusił na 20-letniej dziewczynie, która poroniła zarodek o długości 3,2 mm, żeby nadała temu czemuś imię. Szpital wystawił też akt zgonu i zmusił kobietę do pochówku. Panna skończyła w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zdiagnozowano u niej załamanie nerwowe, które w następnych miesiącach przeszło w objawy stresu pourazowego.

Nikt nigdy nie zadał sobie trudu wysłania do psychiatry ludzi wymyślających horror wielomiesięcznego trzymywania płodów w słoiku, a potem wzywających ludzi do przynoszenia na ich grób pluszaków. Ba, nikt nie wpadł na to, że przepisy z 2007 r. zmuszające kobietę do rozpamiętywania poronienia i stawianie grobu zarodkowi to świństwo. Ale nade wszystko okradanie ludzi płacących na ZUS z dziesiątków milionów złotych rocznie.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Wiara i rozum jednoznacznie opowiadają się po stronie życia. **Wykluczają także możliwości poparcia na urząd prezydenta RP zwolenników cywilizacji śmierci.**

ks. Janusz Chyła, X, 15 kwietnia

Czy w Polsce morduje się dzieci w dziewiątym miesiącu ich życia, wstrzykując chlorek potasu prosto w ich serduszka? **Jeśli tak, to czym się różni dzisiejsza Polska od największych barbarzyńców w historii ludzkości? Krwawy satanizm.**

o. Jacek Dąbrowski, X, 16 kwietnia

Przebywając w areszcie śledczym, w jednoosobowej monitorowanej celi, bez dostępu do wymaganej w mojej chorobie diety (...) – **pozbawiony podstawowego prawa człowieka, czyli możliwości uczestnictwa w praktykach religijnych, jestem silny na duchu również dzięki słowom zawartym w książeczce „O naśladowaniu Chrystusa”, jak: „Chrystus dobrowolnie cierpiał i znosił wzgardę, a ty masz czelność się uskarżać? Chrystus miał przeciwników i oszczerców, a ty chciałbyś mieć samych przyjaciół i dobroczyńców?”.**

Dariusz Matecki, list do Radia Maryja, 16 kwietnia

Gdy dzisiaj w naszej ojczyźnie podnoszą się głosy, że dziedzictwo chrześcijańskie nie ma już u nas żadnej wartości, jest to oczywisty przejaw nihilizmu (...). Cały nasz porządek moralny i społeczny, jaki ukształtował Polskę, wyrasta przeciw z Dekalogu.

Niszczenie tego dziedzictwa jest niczym innym jak usiłowaniem budowania nowego świata bez Boga. Niestety, po odrzuceniu Boga może zapanować jedynie tyrania, która zwróci się przeciwko człowiekowi, zniewoli go i zniszczy, bo stworzenie bez Stwórcy marnieje.

abp Stanisław Gądecki, homilia, Ostrów Tumski w Poznaniu, 14 kwietnia

Są już tacy proboszczowie małych parafii w Polsce, **którzy, aby się utrzymać, pracują w nocnych godzinach na magazynie sklepu...**

ks. Daniel Wachowiak, X, 17 kwietnia

Teraz odbywa się sąd nad Polską. Głównym przesładowanym i najbardziej zagrożonym jest bowiem dzisiaj małe, niewinne i bezbronne dziecko, które zabija się śmiertelnym uderzeniem w jego serce.

(...) **W nowej postaci powraca zatem rozumowanie Kajfasza, że dla jakiegoś ogólniejszego tzw. dobra lepiej jest, aby jakieś dziecko poniosło śmierć. Równocześnie prawo ograniczające aborcję przedstawiane jest przez nich – jak to czyni m.in. jeden z obecnych pretendentów na urząd prezydenta RP – jako przejaw tzw. ciemnego średniowiecza.**

abp Marek Jędraszewski, homilia, Kalwaria Zebrzydowska, 18 kwietnia

Charakterystyczne prowokacje ideologiczne wymierzone przeciwko życiu, przeciwko miłości małżeńskiej, przeciwko dziecku wymagają wielkiego wysiłku organizacyjnego, zastosowania swoistej stylistyki, zapewne wielu godzin spędzonych na przygotowaniu scenariuszy i scenografii tych wydarzeń. A wszystko po to, by zbrukać miłość, by wykrzyczeć Bogu swoje „nie” wobec prawdy Jego stworzenia, by zakpić z ludzkiego życia.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, PCh24.pl, 18 kwietnia

Dzisiaj świat wystawia nas na próbę, jeśli chodzi o malterstwo i rodzinę. Zło atakuje rodzinę. **Szatan posługuje się w tym szkodliwym, destrukcyjnym dziele mainstreamem i współczesną kulturą.**

ks. dr M. Studenski, Radio Maryja, 20 kwietnia

KLECHA



Ksiądz nie może zapominać, że dla niego biskup to ojciec chrzestny.



Purpuratom wiecznie mało

Przez ponad 20 lat Komisja Majątkowa przekazała Kościołowi rekompensaty i odszkodowania w wysokości 143 534 231,41 zł oraz ponad pół tysiąca nieruchomości, wartych w 2011 r. ok. 7 mld zł. Miały one obszar 80 tys. hektarów. Jeśli ktoś sądzi, że Kościół się takim arealem zadowolili, to nic z tych rzeczy. Jemu ciągle jest mało. A ponieważ państwo nowych włości chwilowo koloratkowym nie daje, biskupi uwłaszczają się sami. Na cudzym.

Nie do odrzucenia

Najgłośniejszą aferą z tym związaną jest sprawa przejęcia przez kurię majątku Stowarzyszenia Domu Miłosierdzia w Koszalinie. Majątku wycenianego na niemal 25 mln zł, a do tworzenia którego żaden biskup nie przyłożył palca.

15 lat temu ksiądz Radosław Siwiński wymyślił, że oprócz strzyżenia owieczek można coś więcej. Poszedł do biskupa z pomysłem. Ten pobłogosławił ideę. Powiedział klesze: „idź, rób i działaj”. Ale nie zaoferował pomocy swoich kancelistów, no i oczywiście ani złotych. Księżuło skrzyknął kilku wiernych, rzucił hasło i znajdując poklask, założył cywilne stowarzyszenie. Całkiem niezależne od Kościoła. Założyciele mieli widać albo trochę kasy, albo chody w bankach, bo nowo powołane stowarzyszenie dostało kredyt na ponad milion złotych. Ksiądz Śliwiński też nie próżnował i zdobywał tak datki, jak i przychyłność sponsorów.

I dlatego od lat stowarzyszenie prowadzi Dom Miłosierdzia Bożego. Olbrzymi ośrodek pomocy w centrum Koszalina, w którym mieszka 170 osób. Pod Koszalinem działają jeszcze dwa inne budynki tego stowarzyszenia. W miejscowości Wietrznio, w poniemieckim pałacu mieszkają sami mężczyźni. Zrujnowany i opuszczony po pożarze budynek został kupiony dwa lata temu. Podopieczni sami go remontują. Kilka kilometrów dalej znajduje się dom dla kobiet.

Dom Miłosierdzia wydaje obiady 200 potrzebującym dziennie. Nawet tym, którzy nie chcą w nim na stałe zamieszkać. Przy domu powstały też dwa nowe zakony: męski i żeński. Mnisi i mniszki pomagają w prowadzeniu ośrodka. Na ulicach szukają potrzebujących, a także jeżdżą po sklepach i zbierają produkty, którym kończy się termin przydatności.

Wszystko hulało bez problemów ponad dekadę, aż wielkość mająt-

ku stowarzyszenia trafiła na biurko biskupa. Ten szybko zadzwonił do Siwińskiego i dopytał o szczegóły finansowe, po czym wezwał księdza do siebie. Tam ksiądz usłyszał ultimatum. Albo przekazuje majątek stowarzyszenia pod władztwo Kościoła, albo on i zakony zostają ekskomunikowani i uznani za sektę.

Siwiński potulnością się nie wykazał i pozwał biskupa diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Domaga się ugody i przeprosin. Oczywiście ściągnął media, a na dodatek powiadomił o wszystkim Watykan. Wojna plebana z biskupem trwa.

Charakter religijny, a nie prawny

W Grójcu urodził się Piotr Skarga, królewski kaznodzieja, który umierając, przekazał pieniądze na utworzenie wieczystego funduszu na utrzymanie ubogich w rodzinnym mieście. Zgodnie z jego wolą fundusz utworzono w 1615 r., kupiono w okolicy majątek ziemski, którego dochody miały pomagać biedocie. Przedsięwzięcie trwało do roku 1948, kiedy to zostało znacjonalizowane. W majątku powstał PGR, a budynek fundacji w mieście przejął szpital.

Gdy komuna padła, a wraz z nią PGR, miejscowi przypomnieli sobie o testamentie Skargi i pobiegli do miejscowego proboszcza. Wespół w zespół powołali Kościelną Fundację Dobroczynną ks. Piotra Skargi dla Ubogich w Grójcu.

W pierwszym statucie stało, że w skład rady fundacji wchodzi fundator, czyli proboszcz Laskowski lub jego następca będący przewodniczącym rady, burmistrz, delegat arcybiskupa warszawskiego i powołani przez przewodniczącego członkowie. Majątkiem spółki były zaś w momencie zakładania roszczenia do folwarku oraz gruntów i budynków. Celami fundacji były: utrzymanie domu starców przy parafii, pomoc osobom starszym i biednym oraz utrzymywanie w należytym stanie kondycji majątku fundacji.

Ponieważ PGR przysparzał Agencji Rolnej Skarbu Państwa tylko strat, fundacja po paru latach niedysiejszy majątek odzyskała. A ponieważ czasy były, jakie były przed wejściem do Unii, to nie mogła na swe włości znaleźć nawet dzierżawcy. Na zagospodarowanie 200 hektarów zgodził się jeden z członków zarządu i do 2004 r. dokładał do interesu. Potem wraz z dotacjami unij-

nymi dokładać przestał, ale wciąż wywiązywał się ze swoich obowiązków płacenia.

Inny z członków rady wybudował wielki dom starców. Taki na 40 osób. Fundacja nabierała wiatru w żagle. Pozyskując fundusze norweskie, odremontowała poszpitalny budynek i utworzyła w nim centrum rehabilitacyjne.

Charytatywny sukces ks. Laskowskiego nie uszedł uwadze kardynała Nycza. Jął się hierarcha spotykać z Laskowskim.

Niby chodziło o to, że proboszcz dobiegał już wieku emerytalnego, jednak plebana niepokoili pytania o kondycję i majątek fundacji. Wyglądało, że kardynał chętnie wzięłby fundację pod swoje skrzydła.

Proboszcz podzielił się spostrzeżeniami z szefostwem fundacji i wspólnie zdecydowano zmienić statut tak, aby przewodniczącym rady był nie aktualny proboszcz – bo ten mógł się zmienić z dnia na dzień – ale imienne proboszcz Laskowski.

Zmiana w statucie rozwiścieczyła kurię. Do sądu poszedł z niej pozew o nielegalność zmiany. Sąd skargę archidiecezji odrzucił. Powołał się przy tej okazji na oświadczenie ks. Laskowskiego, czyli fundatora, który napisał sądowi, że „Fundator, ustanawiając fundację, dołączył do dotychczasowej nazwy określenie Kościelna, nie w znaczeniu prawnym, a chcąc podkreślić jej charakter religijny – działalność dobroczynną”.

Atmosfera pieniądza

Nycz zacisnął zęby, ale wykazał się cnotą cierpliwości. Laskowskiego oczywiście podmienił i czekał na

właściwy moment, gdy będzie mógł mu coś wyperswadować. Udało się kilka lat temu, gdy ksiądz poszukiwał miejsca, gdzie mógłby dożyć swoich dni. Eksproboszcz zgodził się na rezygnację i wskazanie w swoje miejsce aktualnego proboszcza. Fundacją mógł znów rządzić proboszcz parafii w Grójcu, czyli człowiek Nycza. Ksiądz Laskowski do końca swoich dni wstydził się tego, że dał się kurii podejść.

Bez niego zmiany statutu zaszły szybko. Burmistrza wywalono, nawet go o tym nie informując. Jego miejsce w radzie zajęła przełożona prowincjalna Zgromadzenia Sióstr Adoratorek Krwi Chrystusa – czyli kolejna osoba miła interesom Nycza. Skoro kuria przejęła radę, to w 2021 r. wymieniono cały zarząd. Ten zaś zamknął prowadzony przez Fundację DPS, czyli to, co było dla fundatora najistotniejsze. Ale gdy pojawiła się okazja zarobienia, to podwoje budynku otworzono dla uchodźców z Ukrainy, za których płaciło państwo.

Gdy płacić przestało, budynek znów stał pusty.

Najzabawniejsze jest to, że budynek co prawda stoi na gruncie fundacji, ale nigdy nie doszło do formalnego przekazania go przez pana, który za własną kasę ośrodek lata temu wybudował.

Nowy zarząd szybciej dopisał do statutu nowe formy działalności. Dzięki nim rolniczo-dobroczynna fundacja stała się firmą robiącą wszystko. Od organizowania noclegów przez prowadzenie kursów po usługi rachunkowe czy produkcję trzmi. Ba, zaczęto wypowiadać umowy dzierżawy czy najmu dające fundacji od lat fundusze. Na dodatek zarzucono coś, po co fundacja powstała, czyli prowadzenie domu starców. Bo co prawda w jej przeznaczonym do tego budynku jest dom opieki, ale tylko dlatego, że wynajęto go prywatnej firmie handlującej sprzętem medycznym, a przy okazji zarabiającej na paru komercyjnych przechodniach tych staruszków, których rodziny na to stać.

Rządzącej fundacją kurii warszawskiej to nie przeszkadza, tak jak i myślenie o tym, jak sprzedać 200 hektarów należących do fundacji za co najmniej 60 mln zł. Zwłaszcza że ksiądz Laskowski, w przeciwieństwie do Siwińskiego, niczego jej nie zarzuci, bo zmarł na początku kwietnia.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ósmy krzyżak Rydzyka

Piernik z Torunia ciągle na falach

3 maja 1945 r. w Olkuszu urodził się Tadeusz Rydzyk, który został ojcem dyrektorem. Jak na osiemdziesięciolatka Tadeusz Rydzyk ma niezłe branie, nie tylko u emerytek. Pożądają go służby i prokuratura, wzywając go do tłumaczenia się ze stanu posiadania. Ten starszy pan w habitcie służy aktualnej władzy jako symbol pazerności kleru i marnotrawstwa poprzedniej ekipy rządzącej. Choć jego wpływ na opinię publiczną jest nikły, wciąż robi za straszak. Sam zresztą nie składa broni i wraca do misji „zatapiania Platformy”, na którą wyruszył 20 lat temu.

Porcelanowe gody

Osiemdziesięciolecie Rydzyka przypada na dwudziestolecie PO–PiS-u. Wiele wody upłynęło w Wiśle, a gęby te same. Dwie dekady temu redemptorysta klecił koalicję PiS z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Leppera już nie ma, a Giertych służy wiadomo gdzie. Z tamtego okresu pochodzi słynne zdjęcie wysokiego mecenasa tulonego do piersi przez drobnego zakonnika – potężny fizycznie Giertych gwał kark przed potężnym duchowo i medialnie Rydzykiem. Dzisiejszy poseł Koalicji Obywatelskiej woli się chwalić obrazkiem z mównicy sejmowej, kiedy to zdominował wzrostem Jarosława Kaczyńskiego, nazywającego go łobuzem. Ale są tacy, co pamiętają mu ten płomienny romans z Radiem Maryja, choć dziś adwokat i mnich nienawidzą się iście po katolicku.

Z Kaczyńskim i Rydzykiem jest nieco inaczej: dawniej prezes PiS wymyślał ojcu dyrektorowi od ruskiej agentury, by

po latach zacieśnić więzi w ramach jeśli nie przyjaźni, to przynajmniej taktycznego sojuszu. Mają do siebie ograniczone zaufanie. Dyrektor Radia Maryja od lat ma kosę z Tomaszem Sakiewiczem, szefem największego medium bliskiego PiS – Telewizji Republika. Choć część dzisiejszych pracowników Republiki to absolwenci szkoły Rydzyka, szefowie konkurencyjnych mediów mają do siebie nieprzebrane żale. Sakiewicz swego czasu zniszczył karierę przyjaciela ojca Tadeusza – abep Stanisława Wielgusa, wywlekając mu w „Gazecie Polskiej” współpracę z SB. W sprawę zaangażował się też Lech Kaczyński, który interweniował w Watykanie, żeby uwalić nominację Wielgusa na metropolitę warszawskiego. Ostatecznie Rydzyk i Sakiewicz grają do jednej bramki – żeby mieć pieniądze i nie siedzieć – ale poza tym wszystko ich różni.

Trafiony niezatopiony

Stała u Tadeusza Rydzyka jest natomiast niechęć do Donalda Tuska – z wzajemnością. „Platformę trzeba zatopić. Może przydałoby się nam tsunami?” – mówił w swoim radiu w 2005 r. Jak widać, nie udało się zatopić ani Platformy, ani Radia Maryja. 20 lat później Rydzyk znowu walczy z Tuskiem, a Tusk z Rydzykiem. „Bodnarowcy” wyciągają kolejne kwity, z których wynika że „dzieła” redemptorysty z Torunia ssały państwowego cyca bez uprzedzenia. Tu dotacyjka, tam grancik, tu



Ilust. KRZYSZTOF OLENIK

reklama, tam patronat – i uzbierało się. Szczególnie hojni byli przedstawiciele poprzedniej władzy z okolic Ziobry – ale dziś to przecież jeden PiS. Ziobryści panowali nad Lasami Państwowymi, które są obiektem szczególnej troski Rydzyka – przyjaciela nieżyjącego Jana Szyszki, pisowskiego ministra środowi-

ska i zmyry ekologów. Ojciec Tadeusz ekologów w najpopularniejszym dziś wydaniu uważa za szkodników większych niż kornik drukarz, w hierarchii wrogów Polski i Kościoła plasujących się gdzieś w okolicy masonów i Żydów. Choć z tymi Żydami to już nie taka prosta sprawa.

Legendarny antysemityzm Tadeusza Rydzyka ewoluował w specyficzną odmianę filosemityzmu. Ojciec dyrektor pozbył się ze swoich mediów etatowych żydów, bo psuli mu nowy geszeft.

Medialny magnat z Torunia robi też w muzealnictwie, upamiętnia i pielęgnuje pamięć, najchętniej za publiczne pieniądze. W najnowszym grafiku Rydzyka poczesne miejsce zajmuje „Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką”, ostatnią jego edycję toruńską zaszczylił swoją obecnością prawie były prezydent Duda i „kandydat obywatelski” na przyszłego Karol Nawrocki. Skoro upamiętnieni Polacy tych Żydów ratowali, to chyba jednak po coś. Słuchacze Radia Maryja mogli z początku czuć się nieco zmieszani wolą Rydzyka, ale nie takie fikołki tłumaczono im na antenie. Rydzyk bywa nawet w ambasadzie Izraela, co w sumie, biorąc pod uwagę obecną kondycję tego państwa, niekoniecznie dziwi. W każdym razie kwestia żydowska została w toruńskich mediach rozwiązana pozytywnie.

Opozycjonista

Ostatnimi czasy, jak na opozycjonistę przystało, Tadeusz Rydzyk walczy

o praworządność i demokrację. Ponieważ wygrała opcja mu wroga, to stwierdza, iż „to, co teraz dzieje się w Polsce, w skrócie można określić jako Polska w likwidacji”. Nasyłani na jego biznesy kontrolerzy i urzędnicy nasuwają mu skojarzenia z państwem totalitarnym, gdzie za głoszenie prawdy ludzie są niszczeni. Pieniądże to dla niego temat wyjątkowo drażliwy, zwłaszcza że uważa się za ofiarę medialnej nagonki, niezgodnej z rzeczywistością.

– Tusk mówi: „interesy Rydzyka”. Jakie moje interesy? Może niech zobaczy, jaką mam pensję. Czy mam coś od tego państwa? Co ja mam? Czy ja ukradłem coś ludziom? A robią mi taką opinię. To jest najgorsze. Odbierają dobre imię – skarżył się w telewizji braci Karnowskich. – My Panu krzywdy nie robiliśmy. Brzydka to jest gra. Zła to gra, budzić nienawiść. Pan dziś też budzi nienawiść, sugerując jakieś „interesy Tadeusza Rydzyka” – zwracał się do premiera we własnym medium.

W walce z obecnym reżimem Rydzyk nie pozostaje bierny. Zorganizował nawet ostatnio konferencję „Prawa człowieka w dobie kryzysu praworządności”, na którą zaprosił takie tuzy prawa jak Bogdan Święczkowski czy szef Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. Podczas prawniczej imprezy znowu dał upust swoim emocjom, recenzując stan rzeczy AD 2025.

– Mówię sobie o tym, z kim obecnie mamy do czynienia. Niejednokrotnie to jakaś banda, bestie. Tak może być, jak człowiek będzie chciał mieć sukces i będzie chciał wyżyć się sprawiedliwości, prawdy – oceniał, witając uczestników spotkania. Tylko patrzeć, jak założy własny Komitet Obrony Demokracji.

Życzenia

W tym samym przemówieniu dostojny jubilat opisał bliską także nam postawę, która powinna charakteryzować wszystkie media.

– Trzeba mieć siłę do tego, by iść pod prąd modzie, opinii, koniunkturze. Obrywa się wtedy – przekonywał słuchaczy.

Również uważamy, że należy iść pod prąd i patrzeć każdej władzy na ręce. Ale to nas różni od Rydzyka, że nie odwracamy wzroku, kiedy w tych rękach są pieniądze. Starych drzew się nie przesadza, więc na zmianę postawy ojca dyrektora nie ma co liczyć, możemy mu zatem tylko życzyć zdrowia.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Dwaj mieszkańcy Wielkopolski, ordynator szpitala w Koninie Artur Z. oraz były organista jednej z parafii w Turku Krzysztof A., zostali zatrzymani pod zarzutem molestowania seksualnego nieletnich chłopców. Mężczyźni znali się z kościoła pw. św. Barbary w Turku, gdzie Artur Z. pełnił rolę lektora i ministranta. Prokuratura zarzuciła mu wykorzystywanie seksualne 14-letniego chłopca w 2013 r. Z ustaleń śledczych wynika, że organista Krzysztof A. miał współżyć z tym samym pokrzywdzonym i jeszcze jednym chłopcem w kościele podczas mszy świętych. Było to możliwe, ponieważ wierni w trakcie nabożeństwa nie mieli dostępu do części zwanej chórem, gdzie znajdują się organy. Kościelny grajek złożył obszernie wyjaśnienia i potwierdził m.in., że w czasie stosunków płciowych w kościele ejakulował na obraz z wizerunkiem Jana Pawła II. Artur Z. nie przyznał się

do winy. Podejrzani zostali tymczasowo aresztowani. Grozi im 15 lat więzienia.

➤ Wiewiórki donoszą o niezadowoleniu księży z nowej siedziby abep Gądeckiego. Przypomnijmy, w związku z emeryturą Gądecki niebawem pożegna się z wiernymi. Duchowny opuścił swoje dotychczasowe lokum – pałac arcybiskupi w Poznaniu – i zamienił go na świeżo wyremontowaną kanonię, która kumpłom w koloratkach przypomina Wersal. Remont kanonii na poznańskim Ostrowie Tumskim od początku budził kontrowersje. Jednym z powodów był fakt, że część kosztów w kwocie 22 mln zł pokryła dotacja Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Dotacja zakładała remont sześciu budynków, w tym domu rekonstrukcyjnego, z którego modernizacji zrezygnowano na rzecz nowej siedziby hierarchii. Lokalni księża mają narzekać, że wielu z nich nie stać na remont domów parafialnych czy probostw, a o luksusach Gądeckiego mogą pomarzyć. Ależ panowie, zazdrość to grzech.

➤ Dobiegło końca śledztwo w sprawie 60-letniego ks. Dariusza L. z diecezji sosnowieckiej oskarżonego o molestowanie dzieci. 14 kwietnia prokuratura skierowała do Sądu Rejonowego w Dąbrowie Górniczej akt oskarżenia. Kapłan odpowie za dziewięć przestępstw seksualnych na szkodę małoletnich. Zarzuty dotyczą zdarzeń zaistniałych na terenie dwóch szkół podstawowych, w okresie od 2016 do 2021 r. Na poczet groźących klesze kar prokurator zabezpieczył mienie oskarżonego o łącznej wartości ponad 100 tys. zł. Pedofil może trafić do więzienia nawet na 12 lat.

➤ Proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Rzejowicach, znany policji i sądowi z licznych wyskoków pod wpływem alkoholu, znów uległ słabości. W sobotę 19 kwietnia jeden z wiernych zaalarmował patrol policji o dziwnym zachowaniu księdza prowadzącego nabożeństwo. Policjanci weszli do świątyni w trakcie mszy i poprosili kapłana, żeby dmuchnął w alkomat. Urządzenie pokazało 2 promile alkoholu w wydychanym powietrzu. Wedle świadków proboszcz nie był zachwycony wizytą funkcjonariuszy i był dla nich nieuprzejmy. Nabzdrygnolony duchowny trafił pod opiekę osoby świeckiej do momentu wytrzeźwienia.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Rys. WIDGET



Rys. OBYWATEL JANEK

OBYWATEL JANEK

Od miesiący Ministerstwo Zdrowia i rzecznik praw pacjenta zapowiadają zmiany prawne, których celem jest wyeliminowanie działalności szarlatanów oferujących metody pseudomedyczne. Kary mają wynosić 500 tys. zł. To wszystko bajki. Państwo polskie nie tylko bowiem dziwnych terapeutów nie ściga, ale nawet nagradza ich pieniędzmi podatników.

Uzdrowianie na siedząco

Antoni Przechrta nosi oficjalny tytuł uzdrowiciela. Tak jak i 21 innych osób z Polskiego Stowarzyszenia Duchowych Uzdrowicieli. Przechrta jest jednak najwyższym uzdrowicielem, bo ma na to papiery międzynarodowe. Od niemal 30 lat jest członkiem Brytyjskiego Stowarzyszenia NFSH The Healing Trust. I – jak ma napisane w internecie – przez wiele lat prowadził zajęcia dla studentów medycyny w Akademii Medycznej w Royal London Hospital.

W Polsce Przechrta jest prezesem PSDU i dyrektorem w swojej firmie o nazwie Instytut Realizacji Siebie. Samorealizacja Przechrty polega głównie na szkoleniu adeptów uzdrowicielstwa.

„Misją Instytutu Realizacji Siebie jest rozwój potencjału człowieka z jego duchowa, umysłowa i emocjonalna strona. Chciałbyś dowiedzieć się, jak przeprowadzić sesję uzdrawiania, uzdrawianie chorób, uzdrawianie na odległość, uzdrawianie relacji międzyludzkich czy też leczenie sytuacji życiowej? Uzdrawianie duchowe to skuteczna terapia, medycyna naturalna, medycyna duchowa, która wspiera leczenie chorób i dolegliwości oraz problemów życiowych, zawiera możliwość nawiązania relacji z duszą i swoją misją (to więcej niż bioenergoterapia). Prowadzimy kursy i szkolenia, szkolenia terapeutów takie jak: kursy duchowego uzdrawiania, samo uzdrawianie, w które też wchodzi bioenergoterapia. Poza tym kursy: rozwój intuicji, jasnowidzenia, widzenie zdalne, podróże astralne OOB, a także wczasy z intuicją i rozwojem duchowym w Polsce, USA i innych krajach”.

W czasie astralnych podróży za ocean kursant przerabia program, dzięki któremu będzie mógł jasnowidzieć zdalnie. W tym celu musi zaliczyć zajęcia w kilku stopniach edukacyjnych.

W części pierwszej dowie się wszystkiego o czakrach, poćwicz widzenie aury, nauczysz się uzdrawiania na odległość i nawet liżnie nieco wiedzy z zakresu „uzdrawiania na siedząco”.

Stopień drugi zakłada pogłębienie wiedzy o „uzdrawianiu na siedząco” oraz pierwszy stopień wtajemniczenia z „uzdrawiania na kozetce”. No i parę innych równie ekscytujących sprawności też zaliczy.

W trzeciej części cyklu adept uzdrowicielstwa dowie się reszty na temat

Uzdrowiciel pożytku publicznego

Polska to ponoć cywilizowany kraj z nader wykształconymi obywatelami.

terapii z wykorzystaniem kozetki, nauczysz się zarządzania stresem i pozna „rolę Uzdrowiciela w Uniwersalnym planie”. „Dostrojenia się poprzez słowa” – również.

Na czwartym poziomie uczestnika kursu czeka dopełnienie. Nauczysz się „uzdrawiania przed śmiercią i umierających”. Pozna swoje „Wysze Ja”. Dowie się w wszystkiego o „Karmie i reinkarnacji” i zyska „Świadomość Koloru”.

Strona internetowa podaje, że „Program szkolenia Duchowego Uzdrawiania jest realizowany w kursach: I i II stopień po 2 dni oraz III i IV stopień po 3 dni – w sumie 10 dni, najczęściej w godz. 10 do 18 (z przerwą na obiad) w weekendy. Do egzaminu potrzeba 100 godzin na warsztatach oraz na ćwiczeniach”.

Po zdaniu egzaminu zostaje się uzdrowicielem. Ma się umiejętności „uzdrawiania przeszłości, współpracy pomiędzy podświadomością, emocjami, intuicją i umysłem; projektowania przyszłości w kontekście całości życia, ćwiczenia oddychania, medytacji, rozwoju intuicji i widzenia aury, uzdrawiania i dopełnienia przeszłości, uzdrawiania wewnętrznego dziecka w drodze do pełnej realizacji życia; uzdrawiania związków i sytuacji życiowych, medytacji twórczych z aniołami”.

Żeby tam tylko! „Zobaczysz ludzką aurę. Kontakt z Bogiem i dostrojenie się do Boskiej wibracji będzie Cię uzdrawiać i prowadzić do lepszej jakości życia. Nauczysz się oczyszczać swoje pole energetyczne. Będziesz miał dostęp do pełni wspaniałej energii życiowej i optymizmu”.

To wszystko ma się już za „700 zł za I i II stopień, jeżeli zrobiona przedpłata do 1 tyg. przed kursem”. Później – 750 zł, w dniu kursu – 800 zł. Wtajemniczenie stopnia III i IV kosztuje 900 zł przy przedpłacie, a 950 zł w dniu kursu. Można taniej, wszak „Każda osoba, która przyjdzie na kurs z twojej rekomendacji – obniża cenę Twojego kursu o 20 proc. Cztery osoby z Twojej rekomendacji sprawiają, że Twój kurs jest bezpłatny. Jeśli zdecydujesz się opłacić



wszystkie stopnie od I do IV z góry – zyskujesz 10-procentową zniżkę”.

Uzdrowianie na kozetce

Zdobyty papier, wydane pieniądze i niedowład polskiej służby zdrowia powinny zapewnić wyposażonym w supermoce osobom kolejki chętnych płacących po 250 zł za seans. Tymczasem zubożały naród do duchowych uzdrowicieli się nie garnie.

I to mimo takich zachęt: „Nasi uzdrowiciele oferują 15-minutowe sesje uzdrawiania na odległość, relaksacje oraz wizualizacje, a także podają wiele informacji dotyczących uzdrawiania, szkoleń i wsparcia poprzez sesje terapeutyczne. Wybierz z listy uzdrowiciela, z którym chciałbyś porozmawiać”.

Zwłaszcza, że „Praktyka dowodzi, że po uzdrawianiu stan wielu pacjentów nawet uznanych za chorych nieuleczalnie poprawia się i polepsza się też ich jakość życia, chociaż do trwałego uzdrowienia potrzeba więcej sesji”.

Co prawda potem uzdrowiciele sami sobie nieco przeczą, pewnie aby nie podpaść polskiemu prawu, musieli zamieścić taki oto bezpiecznik: „Kursy Duchowego Uzdrawiania ani terapia uzdrawiania nie gwarantują wyleczenia, ani nie są alternatywą do leczenia medycznego czy terapii, chociaż jak wskazują badania, często mogą pomóc nawet w przypadkach, kiedy medycyna ortodoksyjna nie ma już nic do zaoferowania. Polecamy na początek skorzystanie z aktu Duchowego Uzdrawiania oferowanego przez

naszych terapeutów. Pamiętaj, jeżeli masz problemy zdrowotne, powinienś skorzystać z porady lekarza”.

Ponieważ jednak po kursie uzdrowicielskim „polepsza się klarowność myślenia i uruchamia twórcze podejście do życia”, to nic dziwnego, że parę lat temu uzdrowiciele wpadli na pomysł, aby swoje zdolności sprzedać za pośrednictwem NFZ.

Uzdrowiciel Przechrta za czasów PiS napisał zatem, że odbył rozmowy z „około 100 członkami Rządu, Sejmu i Senatu, włączając marszałka Sejmu i Senatu oraz członków Komisji Zdrowia Sejmu”. Niestety, politycy nie dali się przekonać, że „kontakt z Bogiem i dostrojenie się do Boskiej wibracji będzie pacjentów uzdrawiać i prowadzić do lepszej jakości życia”. Nie pojęli też, że „oczyszczenie pola energetycznego” pacjenta wywoła w nim erupcję „wspaniałej energii życiowej i optymizmu”.

Skrobnął więc Przechrta elaborat o nazwie „Propozycja włączenia Duchowego Uzdrawiania do Publicznej Służby Zdrowia” i wysłał na ręce ówczesnej wiceminister zdrowia Józefy Szczurek-Żelazko.

W wielostronicowym opracowaniu Przechrta udawał, że jego dziedzina nie dość, że jest skuteczna, to na dodatek uznana przez światową naukę. Dzięki uzdrowicielom jedne białka zmieniały się bowiem w inne, a zranione myszy zdrowiały kilkakrotnie szybciej, gdy dostały dawkę uzdrawiającej energii. A poza tym „podczas bioenergoterapii poświata wokół dłoni osoby leczącej zmniejszała się, a z niektórych jej punktów strzelały pojedyncze silnie świecące promienie”.

Prezes PSDU przekonywał też panią wiceminister: „Metodę uzdrawiania psychosomatycznego można stosować nie tylko w ośrodkach zdrowia, gabinetach, centrach rehabilitacji czy szpitalach, ale również w hospicjach, domach spokojnej starości, w mieszkaniach pacjentów czy ośrodkach zamkniętych. Nie bez znaczenia jest to, że terapia ta może być stosowana nawet przy dużych odległościach od pacjenta”.

No i „terapię tę można stosować również grupowo, z udziałem wielu osób jednocześnie”. Pismo kończyło się oczywiście stwierdzeniem, że „w Polsce istnieje potrzeba, aby wzorem innych krajów dla dobra pacjenta ta forma terapii była dostępna nie tylko w gabinetach prywatnych, ale też w szpitalach i przychodniach finansowanych przez NFZ”.

Uzdrowianie przeszłości

Wiceminister Szczurek-Żelazko nie ustosunkowała się podówczas do referatu uzdrowiciela Przechrty ustnie ani pisemnie. Nie zraziło go to jednak. Wykorzystał zatem fakt, że Szczurek-Żelazko jest posłanką i w związku z tym musi spotykać się

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Przed wrocławskim sądem lekarskim ruszył proces 45 lekarzy oskarżonych przez samorząd zawodowy o „propagowanie postaw antyzdrowotnych”. Chodzi o medyków, którzy podczas pandemii COVID-19 podważali sens szczepień. W całym kraju naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej postawił zarzuty 116 lekarzom. Grozi im utrata prawa do wykonywania zawodu. – Mam nadzieję, że kary będą zróżnicowane, bo liczę, że część kolegów pójdzie po rozum do głowy – mówi Paweł Wróblewski, prezes Dolnośląskiej Rady Lekarskiej. Lekarze wysyłały listy do władz państwowych, biskupów i dyrektorów szkół, nazywając szczepienia „programem podawania preparatów inżynierii genetycznej”. Ostrzegali przed poważnymi skutkami ubocznymi, powołując się na zasadę primum non nocere – po pierwsze nie szkodzić. Prezes Naczelnej Rady Lekarskiej uznał list za dezinformację i manipulację. Proces zapowiada się interesująco. Zawodowcy kontra zawodowcy.

■ Od roku urzędy skarbowe w całej Polsce licytują samochody odebrane pijanym kierowcom. W ciągu 12 miesięcy sprzedano 1228 pojazdów – poinformowało biuro prasowe Krajowej Administracji Skarbowej. Ceny wywoławcze w okolicach 15–20 proc. wartości rynkowej (według moich analiz opartych o oferty internetowe). Oznacza

to, że kierowca, któremu odebrano auto, może próbować odkupić je stosunkowo tanio. Ale jest haczyk. Polskie prawo zabrania licytowania własnego majątku, więc operacja wymaga słuha.

■ Sprawą zajęło się Dowództwo Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Głos zabrał szef Sztabu, gen. Wiesław Kukuła. Poinformował, że szeregowczyni ukarana za nieregularny kolor ust zostanie zwolniona ze służby. Powodem nie była jednak ich barwa, lecz fakt, że broniąc swojego otworu pokarmowego, powołała się na koneksje. Konkretnie na swojego ojca, pułkownika. Generał podkreślił, że takie zachowanie jest nieakceptowalne w strukturach armii. Choć problem ma charakter strategiczny – dotyczy dyscypliny i równości w mundurze – decyzja o zwolnieniu może budzić wątpliwości. Trudno uznać ją za w pełni sensowną czy sprawiedliwą.

■ Przy ul. Łochowskiej 8 na warszawskiej Pradze powstaje apartamentowiec. Developer już tłumaczy się z nietypowej lokalizacji placu zabaw. Zamiast przy ziemi, będzie na dachu budynku. Działka jest za mała, żeby zgodnie z przepisami (minimum 10 m od okien) plac zabaw zrobić na poziomie ulicy. Dzieci będą huśtać się i zjeżdżać kilka pięter wyżej. Inwestor obiecuje dodatkowe zabezpieczenia: może podwyższyć barierki, może założyć siatki. Po. rzecznik prasowy Urzędu Dzielnicy Praga Północ Julian Rembelski zapewnia, że formalnie wszystko gra. Projekt został sprawdzony, normy spełnione, papier się zgadza. Yhm! No i teraz – kupujesz mieszkanie na ostatnim piętrze, żeby nikt ci nie tupał nad głową, a zamiast tego słuchasz dziecięcych harców z dachu.

■ Trzy dekady zdzierstwa, a teraz chcą jeszcze 3 mld zł! Po 30 latach od podpisania umowy koncesyjnej w 2027 r.

autostrada A4 między Katowicami a Krakowem ma być bezpłatna dla samochodów osobowych. GDDKiA już zapowiada, że nie przedłuży umowy ze Stalexportem. Zaczęła prace projektowe nad dobudową trzeciego pasa. Obecnie A4 to jedna z najbardziej zapchanych dróg w kraju. 50 tys. aut dziennie. Kierowcy płacą 34 zł za przejazd, mimo że trasa często stoi i bywa w remoncie. Stalexport chciałby po 2027 r. dalej ją rozbudowywać w partnerstwie publiczno-prywatnym, wyceniając inwestycję na co najmniej 3 mld zł. Firma twierdzi, że zrobiłaby to szybciej niż państwo, bo bez przetargów.

■ Rynek nieruchomości w Polsce przeżywa prawdziwy boom... ofert. W samej Warszawie na sprzedaż jest prawie 29 tys. mieszkań! O 50 proc. więcej niż rok wcześniej. Najwyższy wynik w historii. W sumie na siedmiu największych rynkach nieruchomości (Warszawa, Kraków, Wrocław, Gdańsk, Poznań, Łódź, Katowice) było dostępnych ponad 103 tys. ofert – o 38 proc. więcej niż rok temu. Czyżby nadciągała era bezdomnych milionerów, co wołać spać pod mostem, ale z grubym portfelem? A może wojna puka do drzwi i trzeba się pozbyć kłopotliwego majątku?

■ Chomikowi europejskiemu grozi wyginięcie – alarmuje prof. Joanna Ziomek z UAM. W Polsce jego liczebność spadła o 75 proc. od lat 80. Jeśli trend się utrzyma, za 25 lat może zniknąć z całej Eurazji, w tym oczywiście z Polski. Tyle że przez te same 25 lat w naszym kraju umrze jakieś 10 milionów ludzi, a naukowcy w Poznaniu przeżywają jednego chomika. Priorytety mamy jak w zoo.

■ Kupcy z Krupówek wytaczają proces burmistrzowi Zakopanego. Powód? Przepisy tzw. parku kulturowego, które zakazują sprzedaży chińskich pamiątek udających lokalne wyroby. Straż miejska sypie mandatami. Handlarze nie

przebijają w słowach: – Turyści chcą tanich rzeczy, nie jakiegos ręcznie dlužanego cepeliowego diadostwa. Jak ktoś woli plastikowego jednorożca z Chin od dwurożnej owieczki z Podhala, to jego sprawa. Płacimy podatki, chcemy sprzedawać to, co się sprzedaje. Mammy starcie autentyczności z opłacalnością. Ale przecież w gruncie rzeczy chodzi o magnes z napisem „Kocham Zakopane” za 5 zł, a jeszcze dokładniej: tylko o ten napis. Bo bezwarunkowa miłość do Zakopanego to dziś jedyny kapitał, który jeszcze trzyma to zadupie przy życiu.

■ Prokuratura sprawdza, w jaki sposób zarządzana była gmina Stężycza (woj. pomorskie) w ostatnich latach. Obecny wójt Ireneusz Stencel sam już wcześniej doszedł do wniosku, że jego poprzednik – Tomasz Brzokowski (rządził gminą przez 14 lat) – nie prowadził spraw, jak się należy. Kontrowersje budzi finansowanie lokalnego klubu piłkarskiego Radunia Stężycza. Brzokowski przeznaczał na niego ogromne środki z budżetu gminy, co od początku nie podobalo się Stencelowi. Problem w tym, że Stencel przez lata był kapitanem Cartusii Kartuzi, klub, który na boisku regularnie przegrywał z Radunią. Jak twierdzi obecny wójt, jego poprzednik w sposób bezprawny wypłacił trenerom piłkarskim 6,6 mln zł w ramach dodatków motywacyjnych. Pieniądże te – zgodnie z oficjalnym przeznaczeniem – miały trafić do nauczycieli. Stencel strzelał gole poprzednikowi dalej: zadłużenie gminy i jej spółek komunalnych przekroczyło 100 mln zł. – Kredyty zaciągnięte przez Brzokowskiego będą spłacane przez dzieci naszych dzieci – mówi. Cóż, piłka jest okrągła, a bramki są dwie. Ale póki co to Stencel strzela kolejne gole. Zawsze tak nie będzie.

■ Tomasz S., burmistrz Opalenicy (Wielkopolska), dalej ogłada świat przez kraty. Sąd odrzucił zażalenie jego obrońcy na przedłużenie aresztu. We wrześniu ubiegłego roku

z obywatelami w swoim biurze poselskim w Bochni. A ponieważ szczęśliwy traf chciał, że to miasto zamieszkiwała pani uzdrowicielka, członkini zarządu PSDU, to Przechrztą wiosną 2017 r. wpadł pogadać z panią wiceminister. No i strzelić sobie z nią fotkę.

Teraz mógł się też rozpisywać na swoich stronach internetowych: „Celem spotkania było zapoznanie Pani Minister z metodą duchowego uzdrawiania oraz omówienie możliwości wprowadzenia tej metody do publicznej służby zdrowia. Pierwsze kroki już mamy za sobą, przełamujemy lody”.

Biuro prasowe resortu zdrowia błyskiem wypuściło komunikat, że „zgodnie z obowiązującymi przepisami gwarantowane świadczenia opieki zdrowotnej są udzielane zgodnie ze wskazaniami wiedzy medycznej z wykorzystaniem metod diagnostyczno-terapeutycznych innych niż stosowane w medycynie niekonwencjonalnej, ludowej lub orientalnej”. Była też prośba o odszczerkanie przez PSDU informacji i usunięcie fotki Szczurek-Zelazko.

Przechrztą batalię o wejście do szpitali przegrał, ale nie z resortem, lecz z duchową konkurencją. Wszak skoro zgodnie z konkordatem i konstytucją w każdym szpitalu, gdzie jest powyżej 70 łóżek, musi być zatrudniony kapełan, to żaden najbardziej uduchowiony uzdrowiciel nie miał w szpitalnej konkurencji z duchownymi katolickimi najmniejszych szans.

Uzdrowiciele Przechrztę postanowili szukać forsy inaczej. I teraz nie tylko szkolą kadry duchowych cudotwórców i obsługują naiwnych, ale w końcu dobrali się do zasobów budżetu.

Na stronie internetowej udają, że są organizacją pożytku publicznego, na którą można przekazać 1,5 proc. podatku. Piszą więc: „Dzięki Twojej darowiźnie będziemy mogli propagować uzdrawianie i docierać do większej ilości ludzi, aby wspierać poprzez sesje uzdrawiania i zdrowy styl życia. W PIT-37 w pozycji K trzeba wpisać 0000270261. A w punkcie L (informacje uzupełniające) koniecznie wpisz: PSDU 13 481”.

Tyle że PSDU statusu OPP nie ma. Podany numer KRS należy do zaprzyjaźnionej widać z Uzdrowicielami struktury status taki mającej – o nazwie Fundacja Na Rzecz Rozwoju Młodzieży „Młodzi Młodym”. Ale dopisek powoduje, że Urząd Skarbowy przelewa kasę na konto duchowych uzdrowicieli.

„Oszuści, szarlatani, żerują na pacjentach przez manipulację” – mówi od miesięcy rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec. Nie wie, że uzdrowiciele równie skutecznie dokarmia skarbówka?

TOMASZ BOROWIECKI

burmistrz został zatrzymany. Miał przyjąć łapówki od przedsiębiorcy. 240 tys. zł! Sąd nie miał wątpliwości: najpierw dwa miesiące aresztu, potem kolejne trzy. W lutym znów areszt przedłużony, bo śledztwo wciąż trwa, a „dowody nie mówią same za siebie” – zdaniem sądu – mimo że obaj podejrzani się przyznali. Wiceburmistrz Paweł Jakubowski, który teraz zarządza miastem, nie kryje emocji: – Jest mi wstyd, że z tym człowiekiem pracowałem.

■ Na Retkini w Łodzi pojawił się nowy cud techniki społecznej: ogólnodostępna lodówka! Każdy może wrzucić tam swoje nadwyżki żywnościowe (byle bez mięsa, jajek i alkoholu, bo jeszcze ktoś by się zatrul i pozwał urząd miejski za swoją chorobę). Do kompletu jest też mikrofalówka i szafa z ubraniami. W Łodzi nastał zatem mikrosocjalizm: od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb. Czekamy na kolejne etapy rewolucji: ogólnodostępne mieszkania, samochody i żony.

■ Toruński magistrat postanowił postawić gigantyczny napis „TORUN” w samym sercu miasta. Ot, taka atrakcja. Bo przecież turyści mogliby zapomnieć, gdzie są. Litera, wysokie na dwa i pół metra, z drewna i metalu, mają nawiązywać do historii grodu Kopernika. Całość uzupełni obracający się globus z gwiazdozbiorami. Albo to hold dla Kopernika, albo dla ojca Rydzyka, również zajmującego się sprawami niebieskimi. Potrzeba takiego napisu jest oczywista. Ja, na przykład, trzymam wiertarkę w szufladzie z napisem „Wiertarka”. Podobnie jest ze szczoteczką do zębów. A jabłka w lodówce mam w pojemniku z napisem „Jabłka”. Logiczne, prawda?

Czy oficjelami zostają przekrętasy, czy dopiero stołek ich przekrętasami czyni?

Urzednicy specjalnej troski

Kiedy pan Jarosław był burmistrzem Wągrowca, to dla mediów nie istniał. Zainteresowały się nim, gdy został skazany za przyjmowanie łapówek od firmy wynajmującej pomieszczenia na szkolenia w miejscowym zespole szkół. Udowodniono mu, że przykleił od rąk dwie wziętki po 8 tys. zł. W pierwszej instancji usłyszał, że idzie siedzieć. Ale ponieważ wyrok był nieprawomocny, to nic nie stało na przeszkodzie, by znowu wystartować w wyborach. Tym razem przegrał. Ale może dzięki temu w drugiej instancji de facto wygrał.

Sąd uznał bowiem, że wzięcie w łapę 16 tys. zł „stanowiło wypadek mniejszej wagi”. Umorzył zatem warunkowo postępowanie karne na okres trzech lat. Wyrokiem tym sąd nie wymierzył kary. Jeżeli zatem przez 36 miesięcy panu Jarosławowi nic się do rąk nie przyklepi, to wyrok ulegnie zatarciu. No może z wyjątkiem 10 tys. zł, które były włodarz zgodnie z werdyktem musiał przelać na konto Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym i Pomocy Postpenitencjarnej.

Na szkodę interesu

Na podobnie wyrozumiałych sędziów trafili były burmistrz Bełżyc i kilku jego współpracowników. Przyskrzyniono ich za to, że gdy samorząd zawarł aneks do umowy z operatorem telekomunikacyjnym, to urzędnicy dostali 26 kart podarunkowych do wykorzystania w jednej z sieci handlujących elektroniką. Ich wartość wynosiła 13 tys. zł. Za otrzymane od burmistrza karty zastępcy, skarbnik i naczelnik wydziału mieli sobie kupić: 55-calowy telewizor, aparat fotograficzny, laptopa, powerbank oraz cztery telefony komórkowe.

Sąd uznał winę wszystkich oskarżonych, stwierdzając, że działali oni na szkodę interesu publicznego. Tyle że każdy skazany został na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok. Zasądzono też grzywny w wysokości po 3 tys. zł. Poza tym całe towarzystwo musiało solidarnie oddać bełżyckiemu Urzędowi Miasta 13 tys. zł.

W Radoszycach najpierw zatrzymano trzy osoby, w tym zastępcę burmistrza. Usłyszał zarzuty związane z żądaniem łapówki w kwocie 150 tys. zł oraz dwa zarzuty związane z niedopełnieniem przez niego obowiązków jako funkcjonariusza publicznego przy organizacji przetargu na inwestycje publiczne. Ponieważ wziętkę dostał, to – jak to ujęła prokuratura – „ujawnił istotne okoliczności, która miały znaczenie dla zawieranych umów”.

„Szczere mówiąc, dla mnie i dla całego zespołu oraz pewnie dla rodziny i dla bliskich to szok. Wierzmy głęboko, że z tych zarzutów się oczyści” – mówił podówczas mediom burmistrz Radoszyc. Ale swojego zastępcę zawiesił.

Po kilku miesiącach CBA przyszło jednak i po niego. Prokurator przedstawił włodarzowi sześć zarzutów korupcyjnych i jeden dotyczący zbrodni „przywłaszczenia autorstwa utworu”, sędzia klepnął trzy miesiące aresztu. Dużo? Nieszczerólnie, bo samorządowiec siedzieć tyle nie musiał, gdyż sąd dał mu możliwość wykupienia się od celi za kaucję wynoszącą raptem 25 tys. zł.

Jak już CBA było w Radoszycach, to przy okazji zgarnęło za łapówkę dyrektora przychodni podległej Urzędowi Miasta i Gminy oraz kierownika Centrum Usług Wspólnych za ujawnienie poufnych informacji.

Trzy urzędniczek wydziału finansowego Urzędu Miejskiego w Świeciu oskarżono o przywłaszczenie mienia znacznej wartości na szkodę miasta i gminy Świecie i o to, że uczyniły z kradzieży stałe źródło dochodu. Metoda była prosta jak drut: kasjerki pobierały pieniądze wpłacane przez podatników, a księgowa wprowadzała sztuczne wpłaty, kryjąc ich bezprawne działania i fałszując dokumenty. Różnicę między kwotami księgowanymi a tymi, które mieszkańcy realnie wpłacali gotówką, kobiety brały dla siebie. W ciągu 13 lat panie wyprowadziły z kasy ok. 990 tys. zł. Średnio po 25 tys. zł rocznie na łebka.

W Urzędzie Gminy Wałcz na stanowisku inspektora ds. egzekucji należności pieniężnych pracował pan Piotr. Zamiast jednak wciąż chodzić do pracy, poszedł siedzieć. Za żądanie od jednego z przedsiębiorców korzyści majątkowej w zamian za wydanie korzystnej dla tego podatnika decyzji podatkowej. Zadłużony biznesmen usłyszał, że jak nie zapłaci, to może spodziewać się wielokrotnych kontroli, a nawet wycofania



już podjętej w jego sprawie decyzji i wydania mniej korzystnej. Urzędnik chciał 10 tys. zł i w chwili, gdy je dostawał, aresztowano go.

Urząd spod celi

W marcu ruszył proces burmistrza Wrześni, który tę funkcję pełnił przez ponad 20 lat. A że w zeszłym roku też wygrał, to burmistrzem – choć zawieszonym – jest nadal.

Prokuratorowi nie podoba się to, że burmistrz miał złożyć korupcyjną propozycję przedsiębiorcy w zamian za cofnięcie wypowiedzenia umowy dzierżawy nieruchomości pod budowę biogazowni. Biznesmenowi nie pasowało to bardzo, szczególnie że w kopercie miało się znaleźć 200 tys. zł. Nie zapłacił więc, co jego zdaniem skutkowało tym, że został wysiadany z dzierżawienia gminnej nieruchomości. Na domiar złego na prokuraturę stawiał się obywatel funkcjonariusz Wielkopolskiego Urzędu Celno-Skarbowego i poinformował, że burmistrz chciał mu dać w łapę za przymknięcie oka na przekręty, które wyszły w czasie urzędniczej kontroli.

Pan Zbigniew wójtem gminy Daszyna jest od 2008 r. W trakcie śledztwa spędził w areszcie 19 miesięcy. W tym czasie w 2018 r. został wybrany na kolejną kadencję. W kwietniu 2024 r., będąc jedynym kandydatem, ponownie został wybrany na urząd, uzyskując 81 proc. głosów. Nie przeszkodziło to sądowi pierwszej instancji zakomunikować mu, że ma do odsiedzenia 3,5 roku. Dziewięć osób, które wraz z wójtem siedziały na ławie oskarżonych, usłyszało wyroki od jednego do trzech lat więzienia.

Sąd uznał, że wójt popełnił kilkadziesiąt przestępstw ze swoim zmarłym bratem pracującym za życia w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i grupą osób, które występowały w tych sprawach jako słupy. Zdaniem sądu oskarżeni brali udział w latach 2009–2017 w zorganizowanej grupie przestępczej „w celu wyłudzenie dotacji na podstawie niezręcznych dokumentów przedstawianych w biurze ARiMR w Łęczycy”. Dotacji niebagatelnej, bo wynoszącej 11 mln zł.

Wyrok oczywiście powędrował do drugiej instancji, więc pan Zbigniew nadal może pełnić zaszczytną funkcję wójta.

Pan Mariusz, niedysiejszy kandydat Platformy Obywatelskiej do rady warszawskiej dzielnicy Praga Północ, był pracownikiem Dzielnicowego Biura Finansów Oświaty. Kierował Wydziałem Płac i Ubezpieczeń Społecznych. Do jego obowiązków należało dokonywanie rozliczeń finansowych pracowników placówek oświatowych podległych urzędowi. W którymś momencie pan Mariusz do comiesięcznych wypłat dla pracowników Szkoły Podstawowej nr 30 jał podstawiać fikcyjne postacie, a pieniądze z tytułu ich wynagrodzeń przelewał na własne konto bankowe. Przez siedem lat ubogacił się w ten sposób kwotą ok. 700 tys. zł. Za którą przyszło mu siedzieć trzy lata.

Pani Monice, urzędnicze trzebnickiego urzędu miejskiego, „przedstawiono zarzut przekroczenia uprawnień poprzez pobieranie zaliczek gotówkowych, a następnie w celu ich rozliczenia, przedstawiała stwierdzające nieprawdę faktury, dotyczące towarów i usług nieistniejących”. Poszło o kilka tysięcy złotych na przestrzeni wielu lat, na które faktury dawała kwiatciarka zaprzyjaźniona z panią Moniką.

Telefon z Brukseli

O ile mnóstwo niefajnych rzeczy można powiedzieć o tak cwanych samorządowcach, to jak skomentować fakt, że dopiero niedawno sąd orzekł w toczącej się od 2013 r. sprawie pracowników Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego.

Oskarżonych było osiem osób. Szło zaś o to, że niedysiejszy kierownik referatu obsługi inwestorów i promocji gospodarczej urzędu marszałkowskiego, „działając wspólnie i w porozumieniu w celu osiągnięcia korzyści majątkowej przez siebie i inne osoby nie dopełnił ciężących na nim obowiązków na mocy przepisów i przekroczył swoje uprawnienia, doprowadzając do rozdysponowania w celu osiągnięcia korzyści przez inne osoby mienia w postaci 40 sztuk telefonów”.

Konkretnie zaś chodziło o przetargi na telefony, na które miały być wgrywane materiały promujące województwo podlaskie. Miały one trafiać do potencjalnych inwestorów, np. na targach w Augustowie czy Monachium. Zamawiane były tylko konkretne, najnowocześniejsze wówczas modele, które miast do inwestorów, trafiały do żon, szwagrow i współpracowników. Najgorsze dla „gangu” było to, że telefony były kupowane w ramach programu z dotacjami unijnymi. I jak sprawa się rypła, miast 40 telefonów urząd marszałkowski musiał zwrócić blisko pół miliona złotych unijnego dofinansowania.

Sąd uznał przewiny trzech osób za chyba nieszczerólnie wielkie. Dwie z nich skazał na kary roku i czterech miesięcy więzienia w zawiasach oraz grzywny po 8 tys. zł. Trzeci urzędnik musi zapłacić 10 tys. zł grzywny. Pozostałych oficjeli sąd uznał za winnych, ale umorzył wobec nich postępowanie. Wyrok nie jest prawomocny, więc trwająca 12 lat sprawa potrwa jeszcze co najmniej kilka.

Od 2011 r. wrocławskie sądy bujają się ze sprawą byłego wiceprezydenta tego miasta. Oskarżony był już raz skazany i raz uniewinniony. Najnowszy werdykt – półtora roku pudła w zawiasach – też nie jest prawomocny.

Rzecz dotyczy lat 2010–2011, kiedy to wiceprezydent był pełnomocnikiem ds. organizacji piłkarskiego Euro 2012 we Wrocławiu, w związku z czym przyjął od prezesa pewnej spółki „korzyści majątkowe w postaci opłaty za część kosztów wakacji na Zanzibarze i na Barbadosie”. Prokuratura wyliczyła te korzyści na ok. 21 tys. zł. Ale widać wiceprezydent nie znał starego porzekadła, że jak krasa, to miliony, i połaścił się na wycieczkowe ochłapy.

To tylko kilka przykładów radzenia sobie przez urzędników. Na dodatek zupełnie marginalnych. Martwe dusze, defraudacje i gówniane przekręty to według policyjnych statystyk parę procent złych postępów urzędników.

Większość przestępstw to wydawanie zgód za pieniądze. Przymykanie oka na nieprawidłowości budowlane, podatkowe czy jakiegolwiek inne, byle leżące we władczej gestii gryziptóra. Kwoty wymieniane w prokuratorskich aktach oskarżenia powalają. Najczęściej śmiechem. Kilkaset, góra kilka tysięcy złotych.

Niemądre urzędasy szmacą się za psie pieniądze, rzykując wieloletnie odsiadki. Cwani lokalni oficjele korzystają z wiedzy z „Misia” Barei. Tej mówiącej, że prawdziwie duże pieniądze robi się zgodnie z prawem i dzięki koneksjom politycznym idą do spółek skarbu państwa czy europarlamentu.

TADEUSZ JASIŃSKI

Nikt w resorcie sprawiedliwości nie zająknął się na temat sensowności artykułu 110 par. 1 Kodeksu karnego, mówiącego, że jak ktoś zrobi naszymu obywatelowi kuku, to polski prokurator ma prawo go ścigać wszędzie.

Ponieważ co najmniej jednemu polskiemu obywatelowi dziennie dzieje się za granicą coś kryminalnego, to gdyby wzmiankowany zapis kodeksu traktować poważnie, co najmniej 20 proc. prokuratorów musiałoby zajmować się śledztwami skierowanymi przeciwko ludziom, którzy nie będąc nigdy w Polsce, sprzeniewierzyli się polskiemu prawu.

Tak nie jest. Nie ma w Polsce prokuratorów specjalizujących się na co dzień w prowadzeniu spraw z Niemiec, Wielkiej Brytanii, czy nawet z Włoch. Po cholereż zatem taki pusty zapis KK?

Sprawiedliwość torturująca

W lecie 2017 r. ówczesny wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki napisał na Twitterze: „Za Rimini dla tych bydlaków powinna być kara śmierci. Choć dla tego konkretnego przypadku przywróciłbym również tortury. Zawsze byłem i jestem zwolennikiem kary śmierci. I nawet nie próbujcie mnie atakować poprawnością polityczną. Mam to gdzieś i zdania nie zmienię”. Dla prokuratorów było jasne, że któremuś z nich szykuje się podróż do cieplejszego kraju.

Ale gdy szef Jakiego Ziobro wykrzyczał: „Jesteśmy gotowi nie tylko uczestniczyć w niezbędnych czynnościach dowodowych, które poszerzą naszą procesową wiedzę na temat tej sprawy i mogłyby się też przyczynić do jej skuteczniejszego wyjaśnienia i wykręcenia sprawców, ale też jesteśmy gotowi udzielić pomocy w pewnych czynnościach, które mogą przyczynić się do sprawniejszego poprowadzenia tego postępowania we Włoszech”, jego podwładni byli już pewni, że na jednym śledczym się nie skończy.

Mieli rację, bo Jaki i Ziobro ocenili, że informacja o gwałcie i pobiciu polskiego małżeństwa na tyle rozpałała wyobraźnię mediów i rodaków, że należy na tym ugrać wizerunkowo, ile się da. Dlatego do Włoch wyruszyli oprócz prokuratora dwaj policjanci i tłumacz.

Ekipa miała brać „udział w czynnościach wynikających z wniosku o pomoc prawną, jaki w tej sprawie skierowaliśmy do organów śledczych Włoch”. Co to znaczyło, opisał w sposób nader kurtuazyjny szef prokuratury w Rimini Paolo Giovagnoli. Jego odpowiedź na pytanie, czy pomoc polskiej prokuratury może być przydatna w śledztwie, brzmiała: „W kontaktach z ofiarami na pewno”.

Bo Włochom Polacy nie byli do niczego potrzebni. Czterej sprawcy po chwili znaleźli się za kratkami. Czwórka polskich śledczych nie miała z tym nic wspólnego. Potem towarzystwo dostało długoletnie wyroki. I wcale nie dlatego, że domagała się tego polska prokuratura, bo w procesie wszak nie uczestniczyła.

W czerwcu 2023 r. na greckiej wyspie Kos znaleziono zabita Anastazję Rubińską, która pracowała w jednym z miejscowych hoteli. Grecy glińiarze błyskawicznie namierzili zabójcę i go zapuszkowali. Dla wszystkich wszystko było jasne. Z wyjątkiem Ziobry. On bowiem postanowił się politycznie ogrzać na głośnej w mediach sprawie i polecił zmarnować pieniądze polskich podatników poprzez polecenie wszczęcia śledztwa. „Sprawą zajmie się Prokuratura Okręgowa we Wrocławiu. Prokuratorzy niezwłocznie wystąpią do greckich śledczych o przekazanie materiału dowodowego” – napisał Ziobro na Twitterze.

Zawtórował mu jego zastępca Michał Woś. Wiceminister opowiadał mediom, że „zawsze Polska staje po stronie swoich obywateli. Te sprawy trzeba bardzo dokładnie wyjaśnić, zwłaszcza że już wiemy, już dzisiaj można powiedzieć, że najbardziej prawdopodobny scenariusz, który nastąpił, to było zabójstwo z rąk osoby z Azji, tzw. uchodźcy, czyli migranta ekonomicznego”. Co tylko poświadczało głupotę angażowania w sprawę polskich prokuratorów, skoro było wiadomo kto zabił. Ale nie! „To wszystko będzie dokładnie wyjaśniane i polska prokuratura będzie tę sprawę traktowała priorytetowo” – zapewnił solennie Woś.

Po półtora roku winny usłyszał, że posiedzi dożywotnio. Polska prokuratura w procesie nie występowała i dziesiątki jej nikomu niepotrzebnych roboczogodzin można było odłożyć ad acta.

Czynności pod palmami

Pozwalający na prokuratorskie wojaże zapis w Kodeksie karnym służy do tego, by Ministerstwo Sprawiedliwości mogło pokazać się w mediach i powiedzieć, że czuwa.

Jak wtedy, gdy za autokarem Borussii Dortmund, w którym był Polak Łukasz Piszczek, ktoś odpalił ładunek wybuchowy. I ponieważ wszystkie telewizje o tym gadały, to w dwa dni po wybuchu szefostwo resortu sprawiedliwości zakwalifikowało czyn jako „sprowadzenie zagrożenia zagrażającego życiu lub zdrowiu wielu osób o charakterze terrorystycznym” i nakazało poznańskiej delegaturze ABW i poznańskim prokuratorom prowadzenie śledztwa. Ich praca zdała się psu na budę. Żaden polski akt oskarżenia

Świat to za mało

Ciekawe, czy Bodnar wie, że jego władza rozciąga się na wyspy Tonga.



nia w tej sprawie nie powstał. Tak jak w sprawie zabójstwa polskiego kierowcy ciężarówki, który zginął z rąk gościa, który potem przejechał nią mnóstwo Niemców.

Nie powstał też akt oskarżenia w postępowaniu prowadzonym przez polskich śledczych przeciwko osobnikowi, który został zabity po tym, jak w Londynie wjechał samochodem w grupę ludzi na Moście Westminsterkim. I to mimo że wszczęcie postępowania zlecił ówczesny prokurator krajowy Bogdan Świączkowski. Uznał je za konieczne, bo ktoś, kto miał polski paszport, wyładował na chwilę w szpitalu. Głównie zaś dlatego, że media trąbiły o sprawie przez parę dni.

Zabita przez Araba 45-letnia Polka miała unaocznąć polskiemu społeczeństwu, jakim zagrożeniem są uchodźcy. Należało też pokazać, jak polski wymiar sprawiedliwości dba o opisywanych przez tabloidy martwych obywateli. Po ponad dwóch tygodniach po tym, jak obywatel Syrii potraktował nożem swą długoletnią partnerkę, wskutek decyzji Ziobry polski prokurator odwiedził Tybingę. Przez dwa dni w tamtejszej prokuraturze „brał udział w czynnościach procesowych” polegających na przeczytaniu akt sprawy. Pojechał na delegację, choć Niemcy mogli mu przesłać megle wszystkie materiały, łącznie z filmem z przesłuchań.

Było jasne, że gdy sprawa zmarłej w egipskim kurorcie Magdy Z. zdominowała prasę, radio i internet, Ziobro skorzysta z okazji, aby o sobie przypomnieć. Wygłosił więc spicz i wysłał do Egiptu prokuratora w towarzystwie biegłego od zwłok.

Panowie pojechali, pouczestniczyli „w czynnościach” i z nieboszczki pobrali „materiał biologiczny” do badań histopatologicznych, genetycznych i toksykologicznych. Mimo eskapady prokuratora śledztwo stoi od lat, choć Egipcjanie uznali, że było to samobójstwo. Ale koledzy wizytującego Egipt prokuratora i tak mu zazdrościli. Nie tyle sukcesu zawodowego, co fajnych parodniowych wakacji.

Prokuratorzy z Miami

Zupełnie cicho było w polskich mediach po tym, gdy Aleksandra Łęczyńska w 2022 r. zesłała ostatniego dnia swojej podróży poślubnej do Miami. Ona i jej mąż zostali znalezieni nieprzytomni na miejskiej plaży. Jej nie udało się uratować, facet ledwo uszedł z życiem. Badania

toksykologiczne wykazały, że w organizmach małżonków znajdowały się narkotyki. Śmiertelna mieszanina aż 15 substancji, w tym fentanylu i jego pochodnych. Sprawa cuchnęła, bo kobieta była chemiczką i biotechnologką i pracowała w wydziale narkotykowym stołecznej policji. Na dodatek na ciele kobiety, która zmarła z przedawkowania, widoczne były siniaki, zadrapania, obrzęk na palcu w miejscu obrączki, miała poturbowany nos, sine oczy i zakrwawione okolice krocza. Ślady po ukluczeniach też.

Sprawę w Polsce badała Prokuratura Okręgowa w Siedlcach i też jej nic nie pasowało. Dostała przez internet akta i na ich podstawie dopytywała Amerykanów o szczegóły. Dowiadywała się wtedy, że u nich w papierach wszystko jest cacy, więc w Miami śledztwo w sprawie morderstwa kobiety umorzono.

Regułą takich śledztw jest, że z postanowieniami zagranicznych śledczych polska prokuratura nie dyskutuje. „Kompletność materiału

dowodowego w śledztwie prowadzonym przez organ amerykański nie może być przedmiotem oceny prokuratury, której materiały te zostały przekazane w wykonaniu wniosku o pomoc prawną” – mówi mediom prowadząca polskie śledztwo prokurator.

Jakieś formy zmuszenia zagranicznych systemów sprawiedliwości do czegokolwiek też nie ma. Każdy wniosek do innego kraju musi mieć bardzo solidne podstawy, a tych z powodu braku dostępu do dowodów Polacy nie mają. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy z kilkudniowym opóźnieniem w jakimś państwie pojawia się polski prokurator. Po co więc wydawać pieniądze i angażować się w sprawy przynależne organom innych krajów?

W Polsce obcokrajowców nie brakuje. I albo biją, albo dostają łomot. Zabijają albo są zabijani. I zawsze wtedy do akcji wkracza prokurator. Polski prokurator.

Bo czy po tym, jak na komisariacie w Częstochowie zmarł Austriak, to z Wiednia przyjechał jakiś śledczy? A może gdy łomot dostają mieszkający w Lublinie Ukraińcy, to polskim prokuratorom na ręce patrzy jakiś desant z Ukrainy? Nie. Tak samo jak nie nawiedzają nas prokuratorzy z Berlina, Ottawy czy jakiegokolwiek innego państwa.

Owszem, zdarzają się wizyty, ale najczęściej na najwyższym szczeblu, gdy to polskiego najgłośniejszego prokuratora nawiedza jego odpowiednik z innego kraju. Tyle że w czasie ich spotkań nikt nie przesłuchuje ani nie wertuje akt.

Cywilizowany świat zakłada, że śledczy wszędzie są podobnie profesjonalni i w przypadku śledztw międzynarodowych wystarczy internetowa wymiana akt, by uznać współpracę za wzorową. Nikt nie wysyła prokuratorów, by patrzyli kolegom na ręce i wpięprzając się w śledztwo, przeszkadzali. A to choćby dlatego, że musieliby działać w kraju, o którego prawie i procedurach nie mają pojęcia.

Jedynymi przypadkami w ostatnich latach, gdy w Polsce gościli zagraniczni prokuratorzy prowadzący konkretną sprawę, były ekstradycje. Czyli zwrot trzymanego u nas przestępcy do kraju, gdzie złamał prawo.

Za czasów Ziobry polscy prokuratorzy nie byli wysyłani za granicę, by załatwić ekstradycję kryminalistów do Polski, bo zagraniczne sądy nie go-dziły się, żeby kogoś odsyłać do kraju, w którym nad wymiarem sprawiedliwości władzę sprawowali miłośnicy tortur i kary śmierci.

Teraz postrzeganie polskiej praworządności się zmieniło. I w kwestii ekstradycji, poza przypadkiem Węgier, problemów nie ma. Ale debilny zapis Kodeksu karnego o tym, że polska prokuratura tak naprawdę to jest ogólnosiwiatowa, jak obowiązywał, tak obowiązuje. I tylko czeka, kiedy minister Bodnar uzna za stosowne, by z niego skorzystać ku swojej chwale i przyjemności wysłanego pod palmy prokuratora.

TOMASZ BOROWIECKI



Podatek od próżniactwa



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Przeciwnikom podatku spadkowego naprawdę nie chodzi o rozwój gospodarki

Polacy nie cierpią podatków, a najbardziej zacięte są spory o podatek obciążający dzieci zmarłego spadkodawcy. Nic dziwnego, bo chodzi nie tylko o miliardy złotych, lecz także o wyobrażenia o działaniu gospodarki, o wolności, równości, rodzinie, efektywności.

Oto niektóre z argumentów używanych w tych sporach.

Wolność czy równość?

Przeciwnicy podatku spadkowego powołują się na wolność. Ludzie powinni swobodnie dysponować uczciwie zdobytym majątkiem. W szczególności powinni móc przekazać bliskim – zwłaszcza dzieciom – zgromadzony za życia dorobek, a państwo nie ma prawa się do tego mieszać. Innymi słowy, prawo właściciela do decydowania, co stanie się z jego własnością po jego śmierci, jest jedną z najważniejszych części prawa do wolności. Niektórzy dodają, że chodzi o prawo naturalne („nawet zwierzęta opiekują się potomstwem!”).

Zwolennicy podatku spadkowego odpowiadają, że każdy podatek ogranicza wolność, co nie znaczy, że należy zlikwidować wszystkie podatki. Równie ważna jak wolność jest równość. Ludzie są równi, bez względu na to, czy przypadek sprawił, że urodzili się w willi partyjnego aferała, czy też w rozwalającym się bloku na pogórze wsi. Przy podobnych zdolnościach i wysiłku powinni mieć równe szanse na dobre życie i wykorzystanie przyrodzonych możliwości. W praktyce o szansach życiowych często decyduje jednak nie ciężka praca i talent, lecz właśnie przypadek: bieda lub bogactwo rodziców. Podatek spadkowy zmniejsza dochodowe i majątkowe nierówności, wyrównując szanse dzieci z pałaców i dzieci z lepiank.

Rodzina czy osoba?

Zdaniem wielu przeciwników podatku spadkowego majątek spadkodawcy jest wspólnym majątkiem jego rodziny, więc powinien być swobodnie przekazywany członkom rodziny. Spadek oznacza tylko zmianę rozkładu majątku pomiędzy członkami rodziny. Takie przepływy są naturalne i korzystne dla wszystkich. Są one dowodem troski o bliskich, wzmacniają solidarność członków rodziny i stanowią symbol ciągłości pokoleń. Wtrącanie się przez państwo w te sprawy jest godnym potępienia atakiem na rodzinę, czyli fundament społeczeństwa.

Niektórzy dodają, że podatek spadkowy niszczy rodzinne przedsiębiorstwa: spadkobierca, który

przejmie firmę po rodzicach, często nie jest w stanie go zapłacić. Zmusza go to do desperackiej wyprzedaży odziedziczonych aktywów, co powoduje zahamowanie rozwoju lub nawet upadek firmy. Podobny los spotyka sprzedawane pod przymusem rodzinne domy, w których wychowywały się całe pokolenia.

Zwolennicy opodatkowania spadków odpowiadają, że to osoby – nie rodziny – są najważniejszym elementem społeczeństwa. Wskazują (znowu!), że nie mniej ważne od wspierania rodziny jest zmniejszanie dochodowych i majątkowych różnic w społeczeństwie, w celu wyrównania szans jednostek. Ochrona przez państwo rodzinnych przedsiębiorstw bywa sprzeczna z tym celem – i z ekonomiczną racjonalnością. Dodają też, że wspierać rodzinę można na wiele sposobów – poprzez urlopy macierzyńskie, rozbudowę sieci żłobków i przedszkoli, zasiłki pielęgnacyjne etc. – niekoniecznie poprzez likwidację podatku spadkowego.

W dodatku podatek spadkowy wcale nie musi powodować upadku przedsiębiorstw i zmuszać spadkobiercy do wyprzedaży nieruchomości. Państwo może zastosować ulgi podatkowe, wysokie kwoty wolne od opodatkowania, odroczenia płatności. Podatek może zostać rozłożony na wiele lat, tak żeby dało się go spłacać z bieżących dochodów; można też przecież zaciągnąć kredyt w banku.

Niszczenie przedsiębiorczości?

Przeciwnicy podatku spadkowego twierdzą, że szkodzi on gospodarce. Nie dość, że zmusza spadkobierców do sprzedaży rodzinnych firm (patrz wyżej), to jeszcze zniechęca do zakładania nowych firm. Otóż kiedy państwo zabiera przedsiębiorcom część owoców pracy, zniechęca ich do wysiłku i oszczędzania oraz skłania do „przejadania” majątku. A przecież rodzinne firmy dają pracę wielu pracownikom i stanowią ważną część gospodarki! Słyszmy też, że podatek spadkowy hamuje powstawanie nowych firm, bo opodatkowani spadkobiercy nie mają pieniędzy na ich zakładanie. Wreszcie, podatek spadkowy skłania jakoby właścicieli wielkich przedsiębiorstw do emigracji za granicę.

Zwolennicy odpowiadają, że jest odwrotnie. Podatek spadkowy nie szkodzi, lecz sprzyja przedsiębiorczości i efektywności gospodarowania. Nie dość, że dzięki dochodom z tego podatku państwo może zaoferować lepszą edukację także uboższym – co sprawia, że ich wysiłek i talent nie są

marnotrawione, lecz przyczyniają się do rozkwitu społeczeństwa – to jeszcze wprowadzenie podatku spadkowego ułatwia obniżenie innych, bardziej szkodliwych dla gospodarki podatków, np. opodatkowania pracy.

Poza tym – inne podatki też uszczuplają zyski przedsiębiorców, a jednak są powszechnie stosowane. Alternatywą dla systemu podatków i zasiłków oraz państwa dobrobytu jest społeczny darwinizm i – przypominając Polskę z czasów wczesnego Balcerowicza – „wilcze społeczeństwo”, w którym bezrobotni tysiącami popełniają samobójstwa, a naiwni i słabi są pokarmem dla zdeprawowanych i silnych.

Zwolennicy podatku spadkowego zaprzeczają także, jakoby zabijał on motywację przedsiębiorców do gromadzenia majątku. To bzdura, oni robią to choćby w trosce o dzieci: w końcu, nawet jeśli potomek multimiliardera zapłaci miliard, czy dwa – zostanie mu reszta. Zostanie mu też wyniesiony z domu „kapitał ludzki” – bogaczy stać na najlepszą edukację dla swoich dzieci! – oraz sieć cennych znajomości. Z badań wynika, że wpływ podatku spadkowego na gromadzenie majątku przez przedsiębiorców i na ich skłonność do oszczędzania jest o wiele słabszy, niż wpływ innych podatków majątkowych.

Mało tego: uprzywilejowanie spadkobierców przy zakładaniu przedsiębiorstw szkodzi konkurencji i racjonalnemu wykorzystaniu zasobów w gospodarce. Spadkobiercy rzadko są bowiem dobrymi menedżerami. Wysokie spadki zniechęcają ich do pracy i oszczędzania, czyniąc z nich ospałe „tłuste koty”. Podatek, który zmniejsza wartość spadku, zwiększa ich gotowość do aktywności i wysiłku.

Z badań wynika też, że ucieszka podatników za granicę jest rzadkością i dotyczy tylko najbogatszych. Można jej zapobiegać np. za pomocą „podatków od wyjścia” (ang. exit taxes) i przepisów stanowiących, że po wyjeździe emigranci przez pewien czas podlegają krajowemu podatkowi od spadków.

Czy to się w ogóle opłaca?

Krytycy piszą, że przychody państwa z podatku spadkowego są małe w porównaniu z kosztami jego ścigania. Ta skórka jakoby nie jest warta wyprawki. Przecież im większy jest dziedziczony majątek i im wyższe są stawki podatku, tym bardziej opłaca się unikać opodatkowania. Osoby bardzo zamożne stać na zatrudnienie najlepszych doradców podatkowych, a globalizacja ułatwia emigrację w celu uniknięcia podatku itp. W do-

datku dziedziczny się nie tylko gotówkę, lecz także firmy, nieruchomości, dzieła sztuki... Ich wycena w celu opodatkowania jest kosztowna, więc i koszty poboru podatku spadkowego są wysokie. Wszystko to podważa sensowność ściągania tego podatku. Obrońcy odpowiadają, że diabeł tkwi w szczegółach. Na przykład, motywacja do uchylania się od podatku słabnie w miarę obniżania stóp opodatkowania, a wzrost międzynarodowej dostępności informacji

podatkowej ułatwia opodatkowywanie migrującego kapitału. Koszty wyceny zaś, wbrew pozorom, nie są aż tak wysokie; często zresztą jest ona dokonywana przy okazji podziału spadku między spadkobierców. Podatek spadkowy jest tani, bo pobiera się go raz, a nie co roku. Zwolennicy powtarzają też, że

od wysokości przychodów z podatku spadkowego ważniejsze jest to, że przyczynia się on do wyrównania szans. Alternatywą są dynastie, tworzące odnawiającą się przez dziedziczenie celebrycko-próżniaczą i quasi-feudalną warstwę społeczną.

Zbyt duża koncentracja majątku szkodzi konkurencji i może spowodować powstanie centrów władzy niepoddanych demokratycznej kontroli.

Podwójne opodatkowanie?

W Polsce podatek spadkowy zlikwidował rząd Prawa i Sprawiedliwości w 2006 r. „Zawsze uważałam, że powtórne opodatkowanie majątku, bo zmarły zapłacił od niego przecież

za życia różne zobowiązania – VAT, akcyzę lub podatki dochodowe – nie ma sensu” – tłumaczyła tę decyzję wicepremier i minister finansów Zyta Gilowska, wcześniej posłanka „Platformy Obywatelskiej”. Ten argument uwłacza zdrowemu rozsądkowi. Owszem, zwykle część masy spadkowej nabyta zostaje za pieniądze, które wcześniej opodatkowano, np. podatkiem od zysku. Takie „podwójne opodatkowanie” jest jednak powszechne: np. kiedy tankujemy benzynę, płacimy za nią pieniędzmi, które zarobiliśmy i od których zapłaciliśmy podatek. A mimo to płacimy państwu akcyzę ukrytą w cenie paliwa. Kupując chleb, buty, czy samochód – płacimy VAT. O skali obciążenia decyduje skumulowana wysokość podatków, a nie to, ile razy ą one pobierane.

Ochrona klasy średniej?

Inną brzytwą, której czepiają się przeciwnicy podatku spadkowego, jest rozwój narodowej „klasy średniej”. Podatek od spadków zakłóca rzekomo wielopokoleniową budowę majątków, podcinając skrzydła właścicielom małych firm rodzinnych, które z tego powodu nie przekształcają się w duże przedsiębiorstwa. Piszą, że w Stanach Zjednoczonych wiele takich firm upada, bo dzieci nie stać na objęcie majątku rodziców lub dlatego, że po zapłaceniu podatku prężne biznesy stają się wątłymi firemkami. Jest to – jakoby – ważne zwłaszcza w Polsce, gdzie dopiero od niedawna istnieją warunki do naturalnej w gospodarce wolnorynkowej akumulacji bogactwa. Obrońcy odpowiadają, że chodzi tu o inną wersję tezy o „niszczeniu” przez podatek spadkowy rodzinnych firm. Pomagać „klasie średniej” państwo może inaczej – podatkowymi ulgami, preferencjami kredytowymi, czy preferencjami w państwowych przetargach. Takie narzędzia mniej szkodzą równości i efektywności i nie prowadzą do powstawania pasożytniczych na społeczeństwie dynastii.

• • •

Zwolennicy podatku spadkowego wygrywają wojnę na argumenty, ale w praktyce bywa różnie. Na początku XXI w. podatku tego nie było w Rosji i Indiach, był w USA i w Chinach. W Japonii i Korei Południowej podatek spadkowy był naprawdę wysoki: 50 proc. i więcej.

Także większość krajów Unii Europejskiej pobiera podatek spadkowy. Dla ekonomistów ze skupiającej najwyższe rozwinięte kraje świata OECD sprawa jest oczywista: „Dobre zaprojektowane podatki spadkowe mogą podnieść dochody państwa i poziom sprawiedliwości, przy względnie niskich kosztach, dotyczących efektywności i administracji”. Podobnie uważają autorzy z „The Economist”, którzy swoją analizę z 2017 r. zatytułowali wymownie „Podatek znienawidzony, ale sprawiedliwy”.

W tej sytuacji przeciwnikom podatku spadkowego pozostają lobbying i propaganda. Przykładem jest stosowana przez nich w Polsce nazwa „podatek od śmierci” (ang. death tax). Ten jawnie propagandowy termin trafił do nas ze Stanów Zjednoczonych. O ile wiem, zahukana polska „lewica” a la Czarasty, Biedroń i Zandberg nie wpadła jeszcze na pomysł nazwania podatku spadkowego „podatkiem od próżniactwa” („nygusowym”?), czy też może „podatkiem Staraków” (przez analogię do Paris Hilton tax) lub „solorzowym”. Efekt jest taki, że w Polsce już od 19 lat dzieci zmarłego nie płacą tego podatku. Opinie ekspertów przegrały z chciwością oraz odziedziczoną po Peerelu i troskliwie pielęgnowaną po 1989 r. ekonomiczną ignorancją mieszkańców, a także z nachalnym lobbyngiem i propagandą.

Czymże bowiem, jeśli nie chciwością, ignorancją, lobbyngiem i propagandą wyjaśnić można to, że dzieci zmarłego przed kilku laty multimiliardera Jana Kulczyka nie zapłaciły rodzakom ani grosza podatku spadkowego?

BOGUSŁAW CZARNY

Pierwsza wersja tego artykułu zatytułowana Podatek od śmierci? ukazała się w kwartalniku „Zdanie” (nr 4/2023 r., s. 53-55).

Szarmancki pantoflarz

„NIE” rozmawia z PRZEMYSŁAWEM PAWLAKIEM, autorem książki „Witkacy. Biografia”.

– Czytając Pańską książkę, pojęłam, jak niewiele wiedziałam o Witkacym. Moje wyobrażenie na jego temat sprowadzało się do banału: wybitny i wybitnie ekscentryczny artysta, który miał swoje demony, co należy zrozumieć i wybaczyć w imię sztuki. Tymczasem z Pańskiej książki wynika, że to był zupełnie okropny facet. Stąd moje pierwsze pytanie, lekko infantylne, brzmi: czy Pan go lubi?

– Na wszelki wypadek uściślię zatem, potwierdzę i przypomnę, że Stanisław Ignacy Witkiewicz nie żyje. Na pewno. Na sto procent. Wbrew różnym bajaniom, plotkom, konfabulacjom, zmyśleniom, sensacyjkom filmowym i prasowym twierdzą – jakim prezes Instytutu Witkacego – że facet umarł 18 września 1939 r. w Jeziorach i tam go pochowali. Udało się go nie ekshumować, więc jego szczątki wciąż leżą w ukraińskiej ziemi. Od tego momentu trudno więc go polubić, bo przestał istnieć. Możemy budować różne wizerunki wybitnych ludzi kultury, pisać ich biografie, analizować twórczość, czytać ich listy i wspomnienia, odnajdować dokumenty i inne ślady po ich doczesnym bytowaniu, ale przecież ani z nimi nie porozmawiamy, ani nas nie przytulą, za nic nie zbesztają, nie oczarują swoją aparycją czy błyskiem oczu; nie potańczą z Witkacym do białego świtu, nie wbiegną z nim z plaży do zimnego Bałtyku. Nie da się go również zdiagnozować – czy był uzależniony od czegośkolwiek ani czy był neurozróżnorodny. Nie wiemy nawet, jak brzmiał jego głos... Tym bardziej nie możemy powiedzieć z pełnym przekonaniem, że jakaś kobieta była jego kochanką. Nasz dostęp do przeszłości jest kaleki i z założenia spaczony naszym współczesnym punktem widzenia. Szczególnie mówiąc, nie zależało mi na tym, by osoby czytające moją książkę „polubiły” Witkacego – starałem się ustalić, co się w jego życiu wydarzyło, w jakich okolicznościach, i zrozumieć powody podejmowanych przez niego decyzji.

– Powiedział Pan w wywiadzie w Polskim Radiu, że Witkacy był feministą. Tymczasem z Pańskiej biografii widać, że mężczyzna, który kobiety traktował szalenie przedmiotowo. Nie chodzi mi o nic tak banalnego jak niewierność – samo to słowo traci dulszczyznę – ale o sposób, w jaki manipulował kobietami, szantażując je emocjonalnie, strasząc samobójstwem, nie odpowiadając na ich potrzeby, ale też nie pozwalając im odejść. Do czego można dorzucić drobny fakt, że jedna z jego kochanek się przez niego zabiła, a druga za jego namową próbowała, tylko jej nie wyszło. Dziś każda kobieta w takim związku słyszałaby od rodziny, przyjaciół i terapeutów, że zadaje się z toksycznym narcyzem. Czy Pańskim zdaniem to określenie pasuje do Witkacego?

– Posługując się dzisiejszymi kategoriami, dziewięciu na dziesięciu heteronormatywnych mężczyzn żyjących w czasach Witkiewicza można by uznać za toksycznych narcyzów. Zdradzali, porzucali dzieci, zamykali żony, siostry i córki wbrew ich woli w zakładach psychiatrycznych, zlecali leczenie rtęcią albo opioidami, bili, gwałcili, znęcali się ekonomicznie, zmuszali do kilkunastu czasem porodów, rezygnacji z kształcenia i pracy zawodowej, przepijali albo inaczej tracili majątki (w tym posagi swych żon)... To, że się nie interesowali rzeczywistymi potrzebami swych partnerek, było wręcz oczywiste. My żyjemy w czasach praw człowieka, praw kobiet, praw dziecka, samorealizacji i psychoanalizy. Gdy Jadwiga Janczewska popełniła samobójstwo w lutym 1914 r., Polki i Polacy byli poddaniymi trzech cesarzy w państwach o ustrojach totalitarnych; żyli w wielowiekowym patriarchacie – szowinistycznym, rasistowskim i opresyjnym; najważniejsze były rytuały, konwenanse, genealogia, przynależność do klasy społecznej i religijnej. Jak się poczyta, jak traktowali swoje ukochane Jan Matejko, Stanisław Przybyszew-

ski czy Karol Stryjeński, okaże się, że Witkacy – ze swym oddaniem matce, dożgonnie kochający i Jadwigę Witkiewiczową, i Czesławę Korzeniowską, wielbiący intelekt wielu artystek i pisarek – jawi się jak szarmancki pantoflarz.

– Znana dotąd opowieść o samobójstwie Jadwigi Janczewskiej jest mniej więcej taka, że narzeczona Witkacego zakochała się w Szymanowskim, który jej nie chciał, zapewne dlatego, że był gejem, więc się zastrzeliła z tej niechcianej miłości, a Witkacy cierpiał, bo ją kochał. Pańska wersja mówi, w brutalnym skrócie, że Witkiewicz się jej oświadczył, ale potem odoświadczył, w międzyczasie ją zapłodnił, a potem się wyparł, mówiąc, że to na pewno Szymanowski. Pisz Pan: „Wywołuje awanturę, po czym łapie narty, pakuje plecak i wychodzi w góry samotnie celebrować swoje nieszczęście”. Krótko mówiąc, ucieka – i to jeszcze w taki sposób, żeby się wszyscy o niego zamartwiali. A kobieta, którą postawił w sytuacji – w tamtych realiach obyczajowych – ekstremalnie trudnej, popełnia samobójstwo. Czy w tym kontekście jego późniejsze cierpienie jest szczere? Kabotyńskie? Wynika z pocucia winy? Jak Pan to ocenia?

– Sprostuję – znana dotąd opowieść o samobójstwie Janczewskiej, uwzględniająca relację Karola Ludwika Konińskiego i sporządzoną na jej podstawie notatkę Kazimierza Wyki, pozwala sądzić, że narzeczona Stasia była w ciąży z Szymanowskim i dlatego odebrała sobie życie. Witkacy nie chciał plamić jej honoru pośmiertnie, milczał na ten temat, nie mógł sobie darować tego, że poszedł wtedy w góry, więc świadomie przyjmował winę na siebie, zbierając ciężki, obelgi i pretensje od przyjaciół i członków rodziny. Cierpiał, bo to było pierwsze jego zetknięcie ze śmiercią kogoś tak bliskiego; bo dotarła do niego ta metafizyczna prawda, że nic się nie odстане. Czuł się współwinnym doprowadzenia do sytuacji, w której wrażliwa panna uznała samobójstwo za jedyne wyjście.



– Groźnego „Czarnego Beata, Buwaja Piecety” z „Nienasyceń” rozszyfrował Pan jako anagram: „Uwaga etap biocybernetyzacji”. „O tych katastroficznych wizjach Stacha raczej nikt w jego otoczeniu nie wie” – pisze Pan w następnym zdaniu, dodając, że ten anagram na rozszyfrowanie czekał sto lat. Bardzo mnie to zaintrygowało. Przecież snucie czarnych wizji Witkacy uczynił swoim posłannictwem; raczył swoimi katastroficznymi przepowiedniami każdego, kto

mu się nawinał. Jak Pan myśli: dlaczego swoje lęki związane z biotechnologią ukrywał tak starannie, skoro wszystkimi innymi dzielił się z nadmierną wręcz szczodrością? Czy naprawdę wierzył w tę frankensteinowską dystopię – czy to była raczej intelektualna zabawa?

– Lęk przed konsekwencjami eksperymentów medyczno-biologicznych ogarnął Europę i Stany Zjednoczone w 1912 r. Nagromadzenie odkryć i pseudoodkryć oraz sensacyjnych doniesień prasowych wytworzyło wtedy przekonanie o rychłym stworzeniu życia z materii nieożywionej w laboratorium. Intelektualiści zdali sobie sprawę, że gdy do tego dojdzie, osuną się religijne fundamenty świata – obawiali się konsekwencji społecznych, ale i generowania nowych gatunków, nieznanym wcześniej istot itp. Wybuchła jednak Wielka Wojna, a uczonym wciąż brakowało paru kroków do jakościowego i ontologicznego przełomu. Okazało się, że strach miał wielkie oczy, a nagłówki gazet były mocno przesadzone. Ludzkość musiała się zmierzyć z innymi, namacalnymi i gigantycznymi zagrożeniami – wojną i pandemią hiszpanki. Potem, w latach dwudziestych, szybko przyszyły inne wielkie tematy polityczne i społeczne; bardziej zwracano uwagę na zagrożenia związane z mechanizacją, automatyzacją i urbanizacją. Witkacy zapisuje przy tym ciągu wyrazów „Czarnego Beata, Buwaja Piecety”, że pochodzi z dziwnego snu z 1912 r. Dystansuje się w ten sposób od złowieszczych przesłania, jednak umieszcza je w co najmniej trzech utworach – oprócz „Nienasyceń” także w „Szewcach” i jako motto „Bezimiennego dzieła”. Anagram jest przestrożą, nie proroctwem. Podobne szarady zamieszczali w swych dziełach renesansowi malarze i poeci; niektórzy zaszyfrowywali nawet swoje autorstwo.

– Odczuwam w związku z Pańską książką jeden niedosyt: w zasadzie nie ma w niej nic o polityce. Stanisław Ignacy Witkiewicz żył w niezwykle ciekawych czasach: walczył w I wojnie światowej, widział na własne oczy

– Gdybym wiedział, że Stach pasjonował się międzypartyjnymi negocjacjami i awanturami w sejmie, to musiałbym o tym napisać w jego biografii. Starałem się pisać o tym, co go zajmowało, co jego zdaniem było istotne. Ponieważ nie znamy jego wypowiedzi na temat bieżących wydarzeń politycznych międzywojennej Polski, uznałem, że nie chciał na nie marnować czasu. Był zażartym polemistą w sprawach filozoficzno-artystycznych, nie dawał za wygraną, publikował odpowiedzi na recenzje i repliki, a jego listowny spór o monadyzm z Janem Leszczyńskim ułożył się w niemający odpowiednika traktat. Wnioskuje zatem, że gdyby Witkacy wpadał w furję lub zachwył w związku ze zmianą rządu lub wynikiem wyborów, to by został jakiś tego ślad.

Myślę, że jako świadek i uczestnik rzezi frontowej, mając za sobą doświadczenie zagładania w oczy śmierci, zdawał sobie później sprawę z miałości problemów rozpalających scenę polityczną niepodległej Polski. Zresztą miał rację

– zaraz miało się okazać, że ani ludowcy Witosza, ani endecy Dmowskiego, ani sanatorzy Piłsudskiego na mapę świata, przebieg granic ani życie milionów wpływu nie będą mieli.

– Kontynuując temat: jako młodziwiec Witkacy ulegał patriotycznym porzywom, chciał iść do powstania – choć pozwolił sobie tego zabronić; kilkakrotnie później chwycił za broń, choć tylko raz skutecznie. Czy Witkacy – Pańskim zdaniem – był patriotą? Czy też jego niezwykle krytyczny, widzący świat w mrocznych barwach umysł kazał mu także na Polskę patrzeć krytycznie? Chyba nie lubił Polaków – acz nie aż tak jak Gombrowicz. Co Witkacy myślał o Polsce, Pańskim zdaniem?

– A Pani lubi Polaków? Wydaje mi się, że Witkacy rzeczywiście bardziej lubił Polki niż Polaków. Bardzo lubił też wiele Żydówek i cenił dziedzictwo Bizancjum. Ogromnie cenił niemieckiego filozofa Hansa Corneliusa. Uważał najprawdopodobniej, że skutecznie zmieniać rzeczywistość na lepszą mogą tylko wielkie jednostki – w takich przypadkach narodowość była chyba dla niego bez znaczenia. Podobnie jak wtedy, gdy w wagonie trzeciej klasy współpasażerowie śmierzeli albo gdy arystokraci – tylko z racji swego rodzinnego pochodzenia – obnosili się ze swym poczuciem wyższości. Takich ludzi nie znośli – czy to był Francuz w Paryżu, Polak w Petersburgu, czy Etiopka w Mediolanie. A czy Witkacy był patriotą? Płacił podatki, pracował jak wół, tworzył jak mało który Polak kiedykolwiek, kultywował bogactwo polszczyzny, znał na wylot twórczość nie tylko romantycznych wieszczów, ale i Sienkiewicza, Prusa, Conrada. Poszedł na front w obliczu tragedii polskiej ludności cywilnej po wybuchu światowej wojny. Ryzykował życiem, a traumę po tej wojaczce nosił w umyśle do końca życia. Życzylbym sobie i Polsce milionów takich patriotów jak Stanisław Ignacy Witkiewicz.

– I wreszcie na koniec: czy Witkacy byłby zadowolony, że jego imię noszą dwa snobistyczne domy handlowe, na Brackiej w Warszawie i na Krupówkach w Zakopanem? Czy byłby ubawiony? Wściekły? A może wściekły, że ktoś inny na tym zarabia – bohater Pańskiej książki wykazywał biznesowe zacięcie, jeśli wnioskować po losach Firmy Portretowej „S. I. Witkiewicz”. Jak Pan myśli?

– Miał wielkie poczucie humoru – w mowie, piśmie i uczynku. Bywał duszą towarzystwa, zabawiał dzieci, przebiegał się do sesji fotograficznych, stroił miny, dla uatrakcyjnienia codzienności przyjaciół robił najróżniejsze szpryngle – potrafił zburzyć misternie zaplanowane przyjęcie przyprowadzeniem gromady głodnych znajomych, płacić kotлетem wyciągniętym z portfela, publikować dla zgrywy bzdury o rynku drzewnym w prasie handlowej. Ważne było to, by się nie nudzić i nie zadzierać nosa – na pewno nie robiłby nikomu awantury, że jego prace wiszą naprzeciw szynki. Pytanie, czy jego by nie wyrzucano z takich miejsc, gdyby chciał zrobić coś zabawnego...

Pytała
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Przemysław Pawlak, „Witkacy. Biografia”, Iskry 2025.

Długofalowe skutki upokarzania maluchów

Jak mawiał Hegel, sowa Minerwy, bogini mądrości, wylatuje o zmierzchu. Dopiero po jakimś czasie możemy sensownie ocenić to czy tamto zjawisko czy wydarzenie. Tak z pewnością jest z emitowanym przez TVN w latach 2006–2008 show „Superniania”. Dziś dzieciaki, których rodzice mniej lub bardziej gorliwie wdrażali rady tytułowej bohaterki, psycholożki Doroty Zawadzkiej, są już same dorosłe, a niekiedy mają własne dzieci.

„Superniania” była bezspornie doświadczeniem pokoleniowym, czego dowodzi kilkuletnia celebrycka sława Zawadzkiej, która wystąpiła w „Tańcu z gwiazdami”, opublikowała parę poczytnych książek, ściągала tłumy na spotkania. Dziś objeżdża wiejskie i powiatowe domy kultury, gdzie garstka kobiet w średnim wieku jest ciekawa, jak wygląda telewizyjna gwiazda sprzed lat.

Jeśli mnie pytacie, wcale mi nie szkoda Zawadzkiej, która w „Superniani”, dążąc do celebryckiej sławy, wykonywała dość wątpliwą robotę. Pod płaszczykiem pomocy rodzicom, przystępnej edukacji, przemyciała skandalicznie głupie informacje i wystawiała na pośmiewisko nawet dwuletnie dzieciaki, że o ich matkach nie wspomnę.

Manipulacja emocjami

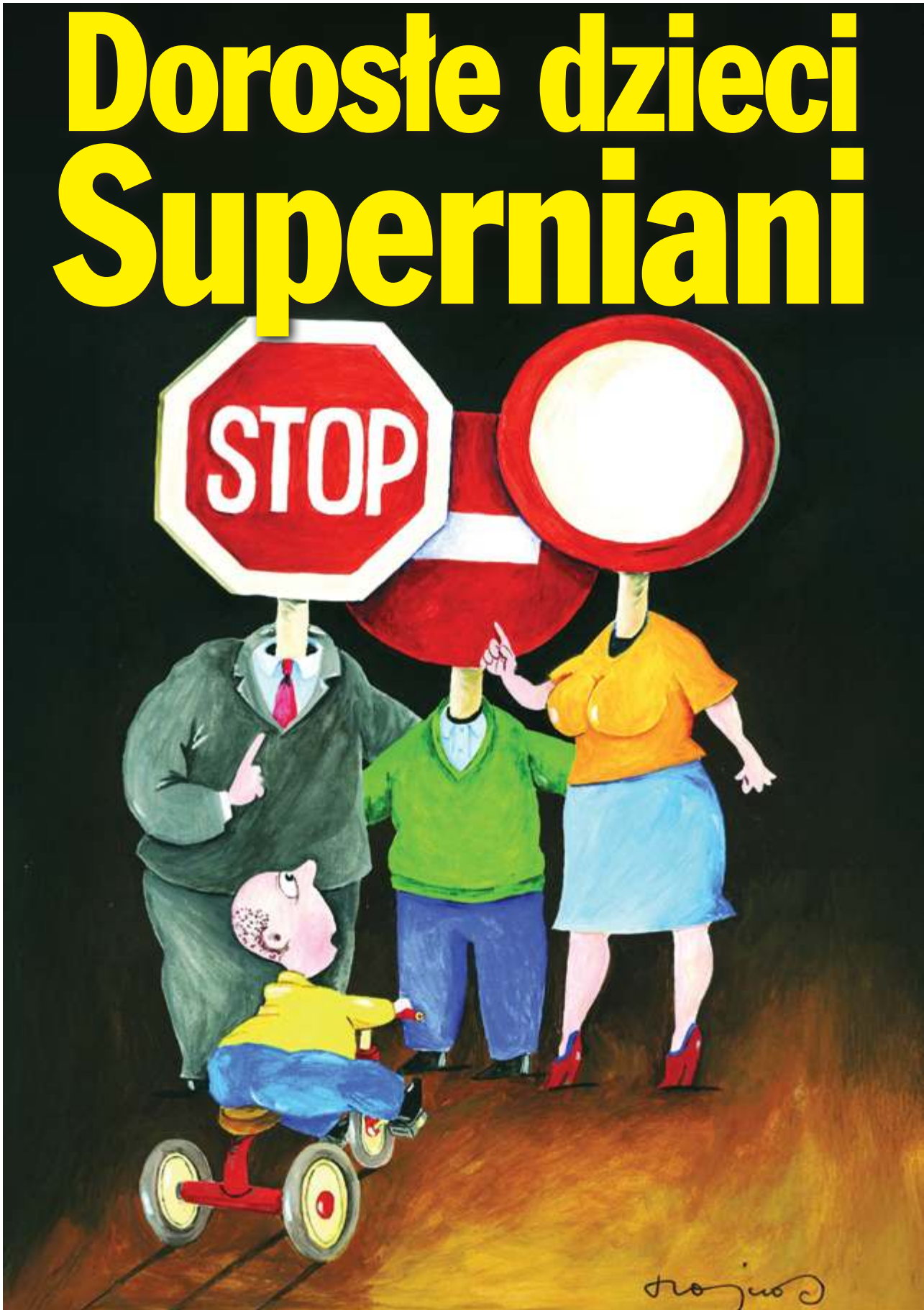
Scenariusz każdego odcinka programu był przewidywalny jak polski episkopat. Najpierw widzimy jakąś rodzinę, w której dzieciaki – od lat kilku do kilkunastu – są niegrzeczne. A przynajmniej widz odnosi takie wrażenie, oglądając – okraszone odpowiednią muzyką i głosem lektora, pocuczającego, co o tym wszystkim myśleć – obrazki łobuzowania. Ogląda to Zawadzka i luksusowym, potężnym land roverem mknie na pomoc.

Tu następuje czystej wody manipulacja, gdyż w mieszkaniu danej rodziny instaluje się ekipa z kamerami, aby obserwować zachowania dzieciaków i ich rodziców. Następnie Zawadzka pokazuje „nianiowe sztuczki” i bacznie patrzy, czy rodzice stosują się do jej trików. Potem znowu przyjeżdża swym SUV-em, aby naprostować rodziców, marszcząc teatralnie brwi i robiąc miny, gdy na wypasionym laptopie od Apple’a widzi, co tam się wyrabia. Tata i mama w końcu się słuchają pani z telewizji, dzieci stają się aniołkami, wszyscy padają sobie w ramiona, rodzice mówią, jaka superniania jest super, a ona odwdzięcza się pochwałami dzieci i rodziców. Happy end pełną gębą.

Co ogląda widz? Oddajmy głos Annie Golus, autorce książki „Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja wychowuje dzieci”: „Wyemitowano między innymi trwającą niemal cztery minuty (w rzeczywistości na pewno znacznie dłużej) scenę, podczas której dziewczynka siedzi nago w wannie, płacze i krzyczy (głównie: „Zimno mi!”), a nad nią stoi, ignorując ją, kilka dorosłych osób, w tym jej matka, operator kamery i prowadząca program Dorota Zawadzka, która określa całą tę sytuację mianem „klasycznej hysterii” i pozwala na zakończenie tej tortury dopiero wówczas, gdy zmarnięta i upokorzona dziewczynka zaczyna milknąć.

W gruncie rzeczy „Superniania” to program o władzy. Od początku jest jasne, że idzie o to, aby tę „nielegalną” tyrańską władzę odebrać dzieciom i przekazać je we właściwe, rodzicielskie ręce. Jakkolwiek Zawadzka z uporem godnym lepszej sprawy podkreślała, że prowadzony przez nią program ma walory edukacyjne – jest to głównie rozrywka. Bo czym innym jest puszczanie przez supernianie oka do kamery (dosłownie i w przenośni) z przekazem: to wszystko nie jest naprawdę, nie jest na poważnie, to żart.

Jeżeli jednak jest to rozrywka, to nie jest ona bynajmniej niewinna. Wręcz przeciwnie. To rozrywka szkodliwa,



rys. MIROSŁAW HAJNOS

jeśli ktokolwiek – a z pewnością nie brakowało takich przypadków – jej rygorystyczne, wojskowe metody próbował wprowadzać we własnym domu. Trudno odmówić racji 9-letniemu bohaterowi jednego odcinków, który stwierdził kategorycznie, że superniania już wypręła mózgi jego rodzicom. I nie tylko im.

Czysta podłość

Zdecydowanie najsłynniejszą techniką superniani był tzw. karny język (poduszka w kształcie tego zwierza) – technika zwana z angielska time-out. W praktyce wygląda ona tak: dziecko robi coś, co się nie podoba rodzicom. Rodzic mu tłumaczy, co robi nie tak (choć tak naprawdę wielu rodziców olewało to). Za karę idzie na karnego języka, miejsce odosobnienia, w którym ma efektywnie spędzić tyle czasu, ile ma lat. Kluczowe jest tu słowo: efektywnie. Więc za każdym razem, gdy płacze, wstaje, krzyczy itd., licznik się kasuje i zaczynamy odliczanie czasu od nowa. Na koniec dziecko ma przeprosić, choć po prawdzie, często chuj wie, za co niby ma przeproszać.

W pierwszym odcinku reality show widzimy trzyletniego (sic!) Ksawerego, który na karnym języku spędza kilkadziesiąt minut, aż wymuszono na nim przeprosiny. Ale wcześniej dzieciak przeżył traumę, wył, krzyczał, czuł się porzucony przez rodziców, wciąż musząc wracać na tę cholerną poduszkę.

Jak cierpko wyjaśnia to Golus: „Ksawery wcale nie rozumiał, co złego zrobił, ani nie podjął świadomej decyzji, by przeprosić za swe przewinienie – bardzo możliwe, że po tak długim czasie męczarni nawet nie pamiętał, jaki »zły czyn« popełnił,

a przypomnieć należy, że powiedział jedno tak zwane brzydkie słowo. Jedynie, co »zrozumiał« (bardziej zresztą na poziomie emocji niż intelektu), to że jego cierpienie ani sprzeciw nikogo nie interesują i że musi powiedzieć »przepraszam«, by odzyskać utraconą uwagę i miłość swoich rodziców, bo nie jest akceptowany i kochany bezwarunkowo, lecz tylko wówczas, gdy na to »zasługuje«, spełniając ich oczekiwania. Technika karnego języka polega bowiem na karaniu dziecka odbieraniem rodzicielskiej uwagi i miłości”.

W jednym z odcinków time-out zastosowano z psychopatyczną wręcz stanowczością. Czteroletni Adrian z „miejsca wyciszenia” próbował się wydostać ponad 100 razy, za każdym razem ojciec zanosił go na to miejsce. Nawet Zawadzka odpuściła, gładząc jedynie, że Adriana trzeba nauczyć mówić magiczne słowo: „przepraszam”. Choć, jak się zdaje, to ekipa TVN-u i rodzice powinni przeprosić czterolatka za sadystyczne zachowania.

Takie karne języki swego czasu były niezwykle modne, bo jawiły się jako sposób wymuszenia posłuszeństwa bez spuszczania bachorowi wpierdolu. Ciekawym byłoby jednak zbadać, czy technika time-out nie niszczy psychiki bachorów równie mocno jak łanie – a może bardziej...

Stępić Różę

O tym, jak niektórzy bohaterowie i bohaterki zapłacili za udział w „Superniani”, najlepiej dowiedzieć się u źródła. W zeszłym roku niezwykle zasięgi w polskim internecie miał odcinek youtube’owego kanału „Nie wiem, ale się dowiem!”, którego bohaterką była pełnoletnia już Róża.

W programie ujawniono jej imię i nazwisko (miała wtedy dwa lata) i miejsce zamieszkania.

Lektor tak ją zapowiedział: „Jak wiadomo, nie ma Róży bez kolców. Dwuletnia dziewczynka, choć podobna do pięknego kwiatu, bardziej przypomina jeża. Czy superniania stępi ostre szpilki?”. Udział w programie skończył się dla Róży leczeniem psychiatrycznym, myślami samobójczymi.

Okazało się, że po obejrzeniu odcinka, w którym wystąpiła, rodzice innych dzieciaków zabraniali im rozmów i zabawy z Różą, uznając wręcz za trędowatą. Rodzice, którzy rozwiedli się niedługo po emisji, za udział w programie zgarnęli w 2007 r. 5 tys. zł. Na plus im trzeba zapisać, że gdy zobaczyli, w co się wpakowali, próbowali się wycofać, lecz podpisali cyrograf, zgodnie z którym za zerwania umowy groziła bardzo wysoka kara.

Róża wyjaśniła: „Program przedstawił mnie od najgorszej strony. Na pewno było dużo momentów, gdzie było można przedstawić mnie w totalnie inny sposób. Potrafiłam zachować

się dobrze, co widać na pierwszych urywkach programu. Montaż na pewno był zrobiony, tak aby rozkręcić całą sytuację, a potem ją powoli uciszać”.

Z kolei Dominika – ukazana w programie jak ze swoją partnerką opiekuje się swoimi dwiema córeczkami – tak skomentowała sposób, w jaki pokazano jej rodzinę: „Zapadły mi w pamięć bardzo mocno słowa pewnego człowieka z tej branży, który po nagraniu powiedział, żebyśmy się nie przejmowały, bo mając setki godzin nagrań, można w 40 minut zrobić z człowieka zarówno anioła, jak i diabła, chociaż nie sądziłam, że z kochającej się rodziny, z dwóch kobiet którym na dzieciach zależy jak na nikim innym na świecie, (...) można zrobić zimne i nieczułe potwory, egoistki, osoby, którym dzieci w życiu przeszkadzają”.

Tresura zamiast wychowania

Parę osób zauważyło, że te wszystkie telewizyjne nianie zachowują się bardzo podobnie do treserów psów. Bez względu na to, czy idzie o Burka, czy Jaska, stosuje się te same metody kontroli i podporządkowania. Nie ma wątpliwości co do tego, że idzie tu o warunkowanie godne rosyjskiego fizjologa Iwana Pawłowa. Superniania wychodzi z takiego samego założenia, co słynny uczony: że koniec końców człowiek jest maszyną, którą wystarczy rozebrać na części, zbadać powiązania między poszczególnymi częściami i relacje z otoczeniem.

Doskonale zrozumieli to twórcy amerykańskiej kreskówki dla dorosłych, obrazoburczego „South Parku”. W 7. odcinku 10. sezonu Liane Cartman, samotna matka, zмага się z wulgarnością, niesfornością, agresywnością i otyłością swojego syna, Erica. Kiedy chłopiec dosłownie doprowadza do obłędu próbujące go sobie podporządkować telewizyjne nianie, wkracza Caesar Millan, mistrz ujarzmiania psów, który w swoim programie w telewizji dowodzi, że można sobie poradzić z każdym czworonogiem. Millan wdraża bardzo skuteczne procedury, aby ustanowić właściwą hierarchię. Liane staje się asertywna, decyzyjna i ignoruje niewłaściwe zachowanie syna.

W jednej ze swoich książek Zawadzka parę razy porównuje wychowanie psów i dzieci, nie widząc niestosowności własnych porad. Świadczy o tym choćby poniższy cytat: „Kiedy wracasz ze spaceru z psem, zanim otworzysz drzwi, musisz poczekać, aż pies na ciebie spojrzy. Chodzi o to, żeby zauważył, że to nie on otwiera drzwi spojrzeniem, że robi to jego pan. Kiedy odpinasz mu smycz, również musi na ciebie spojrzeć, aby nie pomyślał, że smycz odpina się sama, kiedy tylko szarpnie. Ma wiedzieć, że robi to właściciel. Tak samo zachowujemy się, podając miszkę z jedzeniem. Tu nie chodzi o to, żeby psa upokorzyć. W ten sposób ustawiamy hierarchię. Dziecko musi znać hierarchię, musi wiedzieć, kto ustala zasady, kto ustala normy, że pewne rzeczy można negocjować, a pewnych absolutnie się nie da”...

„Superniania” wywarła bezpośrednio negatywny wpływ na ileś tam rodzin, upokorzyła na oczach milionów ludzi małe dzieci, które latami nie mogły się uporać z problemami, jakie wynikły z programu. Pośrednio zatruta głupią propagandą wiele domów rodzinnych, mieszając w głowach zwłaszcza matek, na których barkach ciąży głównie wychowanie bachorów.

Tu nasuwa mi się nieodparcie myśl, że konserwatywny historyk idei, Bronisław Łagowski, miał rację, twierdząc, że jeśli nasz gatunek w sferze moralnej czyni jakieś postępy, to za kilkadziesiąt lat wykorzystywanie telewizji w celach komercyjnych uznane będzie za zbrodnię przeciwko ludzkości, zbrodnię bez przedawnienia. Im szybciej tak się stanie, tym lepiej...

Dorosłych, którzy – często skuszani kasą i sławą – nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, na co się piszą, jakoś nieszczególnie mi żal. Po pomoc w wychowywaniu dzieci idzie się do wykwalifikowanych specjalistów, a nie do komercyjnej telewizji. Ale krzywdzenie dzieciaków to już grubszej wody skurwysyństwo.

Nie bardzo się boję telewizji, gdy serwuje błahą rozrywkę; naprawdę się jej boję, gdy udaje, że uczy!

ZUZ

Do Chin zawsze brałem przynajmniej dwie pary spodni. Pierwszą na wjazd. Drugą, szerszą w pasie, na wyjazd. Druga para to niezbędny w delegacjach służbowych. Wtedy trzeba przygotować się na przeżycie paru uroczystych bankietów. Orgii smaków kończących się nadwyżką kilku kilogramów tkanki tłuszczowej.

Na okrągło

Chiński bankiet to styl życia i warunek konieczny do uprawiania polityki i biznesu. Bez wzajemnego poznania się, wspólnego jedzenia, nie da się robić tam ani jednego, ani drugiego.

Prawdziwy chiński bankiet nie może obyć się bez okrągłego stołu z umieszczonym na środku wielkim okrągłym obrotowym talerzem. Przydominającym koło ruletki. Otacza go zastawa ustawiona na nieruchomym pierścieniu stołu. Talerzyki, miseczki, porcelanowe łyżeczki, filiżanki do herbaty, szklanki i kieliszki. Konieczne papierowe serwetki do wycierania rąk i ust. No i pałeczki.

Konfucjusz uważał, że nóż na stole to dowód braku ogłady biesiadników. Wszak dobry kucharz wszystko tak pokroi, aby nóż był niepotrzebny. Zaś jedzenie widelcem chińskich potraw skutecznie zabija ich smak.

Zanim bankiet się zacznie, to Szeffa delegacji, sadza się obok Najważniejszego z gospodarzy. Oni będą królami bankietu. Pozostałych sadza się, na przemian, wedle ich hierarchii ważności, po obu stronach Szeffa i Najważniejszego z gospodarzy.

Bankietuje się w wykwinnych restauracjach, w pokojach z jednym stołem, zwanych gabinetami. Wstęp do nich, oprócz zaproszonych, ma jedynie obsługa kelnerska i szef restauracji. Ten prezentuje Szeffowi najbardziej wyszukane, specjalnie przygotowane dla nich dania.

Standardowy bankiet składa się z gorącej herbaty, ciepłych napojów alkoholowych, zimnych piw i popitek. Oraz przekąsek zimnych, dań ciepłych i deseru.

Porządny bankiet to minimum dziesięć osób. Wtedy można zjeść przyzwicie. Menu bankietu łatwo przewidzieć. Będzie tyle zimnych zakąsek, ilu jest biesiadników – plus jedna dodatkowa. Do tego tyle dań ciepłych – plus jedno dodatkowe. I na koniec deser. Tylko jedno danie, zwykle owoce.

Zaczynamy od przekąsek zimnych. Mogą to być marynowane, cieniutko pokrojone świńskie uszy, plasty boczku, golonki, kaczka po nankińsku pieczona w soli, kurze łapki w sosie cytrynowym, ciemne grzyby Mun w occie, przeróżnie marynowane warzywa, tofu we wszystkich smakach, ryby i owoce morza, regionalne orzeszki i zawsze jakiś miejscowy przysmak.

Kiedy już skosztujemy wszystkich zakąsek, kelnerki wnoszą dania ciepłe, czasem gorące. Będą to dania z wieprzowiny, wołowiny, różnego rodzaju drobiu, owoców morza i mnogich warzyw. Wśród nich kilka flagowych. Miejscowa wykwinna ryba podana w całości. Esencjonalna zupa pełna rozmaitości. Coś ekstremalnego dla cudzoziemców, na przykład mięciutkie bycze i mule penisy w cytrynowym sosie. Albo grillowane wróbelki, doskonale do piwa.

Zupa podawana jest inaczej niż u nas, zwykle pod koniec bankietu, czasem tuż przed deserem.

Elegancko

Zawsze na porządnym bankiecie serwowi przynajmniej kilka potraw w powszechnej opinii poprawiających męską potencję. Może to być zupa z gniazd jaskółczych, ogórki morskie, dania z żółwia, zwłaszcza z jego głowy. Nie spotkałem dania pobudzającego potencję żeńską.

Każde z przyniesionych dań napocząca Najważniejszy. Nakłada Szeffowi odrobinę każdej potrawy. Potem nakłada drugiemu w hierarchii gościowi i wreszcie sobie. Dopiero po tym puszczany jest w ruch obrotowy talerz, krążący według hierarchii ważności biesiadników, pozwalając pozostałym na jedzenie donoszonych potraw.

Grzeczność wymaga spróbowania każdej potrawy. Dlatego trzeba pamiętać o pojemności żołądka. Jeśli potra-

Jak przeżyć chiński bankiet

Zapewne obżarliście się podczas Wielkanocy i popierdzieliście sobie. Ale jeśli chcecie zakosztować prawdziwego obżarstwa – ruszajcie do Chin!

wa zasmakuje nam, możemy poprosić o dokładkę, to bardzo gospodarzy ucieszy. Niegrzecznie jest zostawiać dużo na talerzu. To odczytywane jest jako znak, że jedzenie było niesmaczne. Nie wypada wylać talerza do czyści. To znak, że jedzenia podawano za mało. A skąpstwo bankietowe grozi utratą twarzy przez gospodarzy.

Dlatego na porządnym bankiecie biały ryż, synonim taniego zapychacza żołądka, podawany jest na samym końcu, zwykle tuż przed deserem. Aby goście nie myśleli, że gospodarze innych dań im oszczędzają.

Jemy oczywiście pałeczkami. Tylko do zupy używamy porcelanowych chińskich łyżeczek.

W czasie jedzenia możemy mlaskać. Dyskretnie oblizywać palce. Swoje, współbiesiadników nie. Możemy bekać jawnie. Siorbać, zwłaszcza kiedy zupa jest z makaronem. Nawet cichutko pierdnąć sobie pod koniec bankietu możemy.

Nie wolno smarkać przy stole. Zwłaszcza głośno, a potem oglądać swe smarki i chować je z chusteczką do kieszeni. Uważamy też, jak jemy pałeczkami. Nie należy wbijać ich w potrawy, zwłaszcza w miseczki z ryżem. Wtedy kojarzą się z pogrzebowymi trocizkami. Na południu Chin nie można ryby przewracać pałeczkami na drugą stronę. To symbol kłopotów. Przypadkowe zrzućcie pałeczek na ziemię uważane jest za dobrą wróżbę. Wtedy pomyślane przez biesiadników życzenia sprawdzają się.

Procentowo

Bankiet zaczyna się od wspólnego toastu. Chińczycy lubią wypić, ale nie lubią się publicznie upijać. Bo wtedy traci się twarz. Uwielbiają za to obserwować pijanych białasów, bo w powszechnej opinii białasy mają silne głowy. Upicie białasa to w Chinach wielka frajda.

Toasty pije się chińską wódką. Mocniejszą niż nasza czterdziestoprocentowa, zawsze ciepłą i specyficznie pachnącą. Jedynie na południu Chin trudno się upić, bo to rejon zdominowany przez wino i niskoprocentowe piwa.

Wódkę na bankietach pije się w kieliszkach o pojemności 20 gramów. „Harcerykami” przez polskich parlamentarzystów zwanymi. Ale tam liczy się radość picia. Taką radość goście szybko osiągają, bo gospodarze dbają, aby kieliszki nigdy nie były puste. Jeśli nie chcesz, by ci dolewano, musisz zostawić swój kieliszek pełen. Jeśli w ogóle nie chcesz pić, to nie dotykaj przydzielonego ci kieliszka.

Nie dotyczy to Szeffa. On pić stale musi. Bo gospodarze chcąc okazać mu najwyższy szacunek, proponują wypicie

z nimi toastu. Wówczas podchodzi do niego któryś z gospodarzy i prosi o honor wypicia. Pije się *gan bei*, czyli do dna. Cóż z tego, że „harcerykami”, skoro obdarzony szacunkiem Szeff musi wypić z kolejką chętnych.

W Xi'an odebrałem wyrazy takiej czci od przynajmniej 19 biesiadników. Po tem dowiedziałem się, że gospodarze zakładali się, czy samodzielnie wstanę od stołu.

Zwykle seria takich toastów kończy się dla obdarzanego szacunkiem potężnym kacem dnia następnego. Jeśli kac łączy się z całonocnymi negocjacjami biznesowymi, to łatwo przewidzieć efekt takiego szacunku.

Na bogato

W czasie bankietu trzeba rozmawiać. Nawet z jedzeniem w ustach, co u nas nie wypada. Im więcej wzniesionych toastów, tym więcej można podowcipkować. Ale nawet na zakrapianym bankiecie nie wypada opowiadać dowcipów o Szeffach ani żartów politycznych.

Podczas posiłku gospodarze będą przepraszać nas za kiepską jakość dań. Nawet jeśli się zgadzasz, nigdy nie potakuj, tylko gwałtownie zaprzeczaj. To tradycyjny bankietowy rytuał. Im bardziej będziemy zaprzeczać, tym większą przyjemność sprawimy uprzejmym gospodarzom.

Po zjedzeniu deseru przez Najważniejszego wszyscy miejscowi jednocześnie wstają. Potem rozchodzą się szybko po krótkim pożegnaniu z nami.

Nie wypada wtedy proponować im „rozchodniaczków” ani opowiadać przypominianych sobie dowcipów.

W czasie bankietu wydanego przez marszałka chińskiego parlamentu siedzący obok mnie ambasador RP znany sinolog profesor Ksawery Burski zwrócił mi uwagę na niepozorny biały grzyb z owocem wiśni. Zapytał, czy wiem, co jem. Po czym wyjaśnił mi, że jest to bardzo rzadki, i dlatego drogi, gatunek grzyba. A ile moja porcja może kosztować, zapytałem. Przynajmniej kilkaset dolarów, wycenił profesor. Przez chwilę chciałem wyjąć cennego grzyba, odsączyć go i schować do portfela.

– Co mam z nim zrobić? – zapytałem pokornie.

– Proszę go zjeść powoli i pokazać mimiką twarzy, że bardzo panu to smakowało. Tak doceni pan ten ważny polityczno-kulinarny gest.

I tak też uczyniłem, mlaskając wymownie.

Od jesieni 2012 r. takiego grzyba trudno zjeść na dyplomatycznych chińskich przyjęciach. Premier Wen Jiabao zakazał podawania potraw pustoszących środowisko naturalne i dodatkowo nakazał ograniczyć wydatki na służbowe bankiety w administracji partyjnej, państwowej i w biznesie. Chyba że będzie to bankiet wydany i opłacony przez prywatne osoby.

Z kronikarskiego obowiązku muszę dodać, że w Chinach obowiązuje prosta zasada. Zapraszający zawsze płaci cały rachunek.



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy wylądowaliśmy na wyspie Hajnan, zwanej chińskimi Hawajami, słynącej z bogactwa owoców morza i ryb, poleciłem chińskiemu opiekunom, aby wszystkie posiłki składały się jedynie z tego lokalnego bogactwa.

Przez pierwszy dzień delegacja grzecznie jadła to, co bardzo lubię. Dnia następnego, podczas obiadu, wybuchł bunt. Narodowe katolickie odmówiły jedzenia.

– Czy dzisiaj też będziemy musieli te robaki jeść? – zapytały gromko.

– A co proponują panie w zamian? – odpowiedziałem pytaniem.

– Ech, schabowego nie oczekujemy, ale jakieś normalne mięso zjadłybyśmy – usłyszałem.

– Mięso? Czy ja dobrze słyszę. W Wielki Piątek? – zapytałem z szatańskim uśmiechem.

Narodowe katolickie zamarły, ale szybko mowę odzyskały.

– Tyle tu roboty, że dni liczyć przestałyśmy. Oczywiście, że dziś pościmy. Czemu przewodniczący też pości, skoro katolikiem nie jest?

– Bo chcę uszanować wasze potrzeby duchowe i zwyczaje. Dlatego postanowiłem, że będziemy pościć w wami, choć nie wszyscy musimy. Za to rano w Wielką Niedzielę podzielimy się jajeczkami i pożegnamy post – wyjaśniłem.

Jeszcze całą Wielką Sobotę trwał festiwal ryb i owoców

morza. Nigdy tylu i tak różnych nie zjadłem jak podczas postu na Hajnan. Od tamtego czasu będącego dla mnie Wyspą Wielkanocną.

I na ostro

Jeśli nie wiesz jak się w Chinach zachować, naśladowaj miejscowych. Tam nie robi się dowcipów polegających na „wkrecaniu” cudzoziemca w złośliwie wykreowane zdarzenie. Zwłaszcza w środowisku starszej generacji.

Ale uważajcie na młodych wyluzowanych, nowoczesnych, wielkomiejskich.

W Chengdu – mieście sławnym z pomników przewodniczącego Mao, pikantnych dziewcząt i ostrej kuchni – podczas bankietu młodzi chińscy przyjaciele demonstrowali przyprawiali piekielnymi papryczkami i innymi palącymi przyprawami nakładane sobie regionalne dania. Zachęcając mnie do naśladowania. Potem odwrócili moją uwagę pokazem opery sycuańskiej. Kiedy zapatrzyłem się w błyskawicznie zmieniające się kolorowe maski na twarzach aktorów, oni równie szybko podmienili swoje miseczki. Na podobne, ale bez bomby przyprawowej.

Jeszcze w trakcie spektaklu zaproponowali wspólną degustację. Żebyście widzieli, jak męczyli się, aby nie wybuchnąć śmiechem, patrząc, jak gasiłem zionący z trzewi paprykowy wulkan. Na przemian piwem, łzami, herbatą i specjalną chińską wódką. Starając utrzymać swą maskę twardego. Mamroczącego, że „trochę ostre to jedzenie, ale Polak wszystko znieśli”.

Kiedy już ugasilem płonące kubki smakowe, kiedy mogłem zdjąć maskę chojraka, usłyszałem należne mi niewymuszone tradycyjne chińskie oklaski.

Wtedy na ich oklaski odpowiedziałem moimi oklaskami, bo tak chińska grzeczność nakazuje. Popatrzyli na mnie, doceniając znajomość chińskiej etykiety. Zareagowali też zgodnie z nią.

Zaprosili mnie na kolejną kolację. Nie odmówiłem. Zapamiętajcie żelazną zasadę chińskiego dobrego wychowania.

Odmawianie zaproszenia na bankiet jest tam czynnością wyjątkowo chamską.

PIOTR GADZINOWSKI

Rasizm cholewy wobec podeszwy

Gdybyście na majówkę wybierali się do Włoch...

U mojego niedoszłego teścia w salonie wisiała flaga Królestwa Obojga Sycylii. Taką samą miał na obudowie telefonu i jeszcze w paru innych zakamarkach mieszkania. Wcześniej widywałam ją w sklepach z pamiątkami albo powiewającą na Quartieri Spagnoli, po drodze do muralu Maradony. Jednak dopiero wówczas, kiedy zobaczyłam ją w domu mojego ówczesnego chłopaka, zapytałam o powód. *Papa è un neoborbonico* – usłyszałam wtedy. Tata jest neoburbonem.

Ta odpowiedź otworzyła przede mną drzwi do historii, która bynajmniej nie należy do tych najweselszych. Ani najbardziej chlubnych. I prawdopodobnie dlatego tak skrzętnie milczą o niej włoskie podręczniki historii – a także przewodniki dla żądnych słońca i makaronu turystów.

Obie Sycylie

Wówczas miałam już tytuł licencjata filologii włoskiej i jakieś – tak mi się przynajmniej wtedy wydawało – pojęcie o historii Włoch. Miałam też jakieś pojęcie o konflikcie na osi północ-południe. O tym, że południowych Włochów nazywa się obraźliwie *terroni*. Ale nie wiedziałam, że jeszcze nie tak dawno na północy przy ogłoszeniach o wynajem mieszkania widniał napis *non si affitta ai terroni/meridionali* – „nie wynajmuje się południowcom” lub bardziej konkretnie *ai napoletani* – Neapolitańczykom. Podobne karteczki widniały zresztą na drzwiach kawiarni lub restauracji.

W czasie faszyzmu też spotykało się podobne napisy na drzwiach czy anonsie – w miejsce południowców należało wówczas wstawić Żydów.

Nie wiedziałam, jakich przejawów otwartego rasizmu doświadczają ludzie, których tak sobie ukochałam i którzy zawsze podczas mojego pobytu w Neapolu traktowali mnie jak swoją. Nie wiedziałam, że zjednoczenie dalekie było od kolorowej, pompacyjnej patriotycznej narracji, którą wbito mi do głowy na studiach i którą młodym Włochom wbija się do głów w szkołach – i to niezależnie od tego, czy szkoła owa znajduje się na południu czy północy. Nie wiedziałam, że Piemontczyki podczas „wyzwoleń” palili całe wioski, gwałcili kobiety, rozstrzeliwali dzieci i ograbiali południowe domy z wszelkich bogactw, które dało się wywieźć. Nie wiedziałam, że tych, którzy stali wiernie przy królu Franciszku II i walczyli za swoją ojczyznę, nazwano potem zbrodniarzami i zrównano z krążącymi wówczas rzezimieszkami i mafiosami. Nie wiedziałam, że samo zjednoczenie było w istocie kolonizacją – i w końcu że to zjednoczenie przyczyniło się do rozkwitu mafii, za którą południe jest dzisiaj obwiniane i opluwane.

Co ciekawe, to „zacofane” i biedne południe jeszcze relatywnie niedawno nie było takie zacofane. Przed zjednoczeniem Włoch Królestwo Obojga Sycylii uchodziło za trzecie – po Francji i Anglii – najbardziej uprzemysłowione państwo na mapie Europy. W tym samym czasie główny inicjator i wizjoner zjednoczeniowego projektu – Królestwo Sardynii, czyli Piemont – tonął w długach. Pożyczki zaciągające u Francuzów i Brytyjczyków, rosnący deficyt budżetowy – to wszystko sprawiło, że zadłużenie per capita Sabaudów było największe spośród ówczesnych państw włoskich i czymś tę dziurę trzeba było załatać. Ówczesny premier Królestw Sardynii, Camillo Cavour, był zręcznym politykiem i po uzyskaniu wsparcia Napoleona III przystąpił do realizacji hegemonicznych ambicji króla Wiktora Emanuela II, stając się niejako głównym architektem projektu zjednoczeniowego.

Oczywiście daleka jestem od sugerowania, że nikt na południu nie chciał zjednoczenia – ruch unifikacyjny na terenie Królestwa Obojga Sycylii przybrał na sile zwłaszcza po skutecznej kampanii Garibaldiego. Warto jedynie wspomnieć, że Giu-

seppe Garibaldi na początku swojej zjednoczeniowej ścieżki był republikaninem, toteż obywatelom niezadowolonym z monarchii Burbonów obiecywał przekazanie władzy w ręce ludu. Co – jak już dzisiaj wiemy – się nie wydarzyło.

W 1860 r. Garibaldi potulnie oddał podbite tereny południowej części buta prosto w ręce króla Wiktora Emanuela II, pierwszego króla zjednoczonych Włoch. Piękny i nowoczesny projekt Garibaldiego zrealizował się wyłącznie w kształcie nowego państwa włoskiego – a wszystko inne narzucone zostało przez Piemontczyków. Król Wiktor Emanuel II nawet nie zwracał sobie głowy zmianą numeracji przy swoim imieniu, co dla wielu było nadzwyczaj wyraźną aluzją, iż nie mają do czynienia z nowym państwem, lecz po prostu wzbogaconym o nowe tereny Królestwem Sardynii w wersji 2.0.

Bandyci króla Franciszka

W swojej książce „Terroni” pochodzący z Apulii dziennikarz Pino Aprile uważnie przygląda się określeniu *brigante*. Za *briganti*, czyli bandytów, uchodzili zarówno żołnierze armii króla Franciszka II, ówczesnego władcy Królestwa Obojga Sycylii, jak i lokalne ruchy ludowe, które stawiały opór najeźdźcom – bo tak należałoby ich nazwać – z północy. Przez długie lata dzieci i wnuki południowych wojowników o wolność nie śmiały się przyznać, że mają *brigante* w rodzinie.

Jednym z najbardziej zasłużonych – a jednocześnie najbardziej zdyskredytowanych przez historię – przywódców ruchu oporu był Pasquale Domenico Romano. Pochodził z apulijskiej wioski Gioia di Colle i jako siedemnastolatek wstąpił do armii Królestwa Obojga Sycylii, gdzie dosłużył się stopnia sierżanta. W 1861 r., po przekazaniu Południa w ręce Piemontu, zorganizował grupę partyzancką złożoną przede wszystkim z byłych żołnierzy burbońskich i podjął się obrony stopniowo zajmowanych przez wojska piemonckie terenów. W 1863 r. Romano poległ, zaledwie kilka kilometrów od swojej rodzinnej miejscowości, i na długie lata został obwołany zbirom i wywrotowcem.

Jego rehabilitacji podjął się po latach Alessandro Romano, uważający się za potomka sierżanta; o bohaterskich czynach brata jego pradziadka w konspiracyjnej atmosferze szepnął mu wuj. Warto jednak podkreślić, że nie wszyscy skazani za *brigantaggio* faktycznie mieli cokolwiek wspólnego z ruchem zjednoczeniowym. W 1863 r. uchwalono tymczasowe prawo Pica, które miało na celu tłumienie „bandytyzmu” i wszelkich form zbrojnego oporu na terenach południowych Włoch. Prawo to stanowiło otwarte przyzwolenie na samosądy i aresztowania kogokolwiek na podstawie chociażby najmniejszych podejrzeń o działalność zbrojną bądź wywrotową – a często uzasadniało egzekucje bez wyroku sądu. Uchwalone jako nadzwyczajny i tymczasowy środek obrony, obowiązywało aż do roku 1865.

Tak jak włoska narracja historyczna zdyskredytowała wszystkich, którzy mieli chętność stawiać opór hegemonicznym zapędom Piemontu – tak skrzętnie przemilczała oręż, jakim Sabaudowie posługiwali się podczas aneksji południa. A były to masowe egzekucje, gwałty, podpaleńia i grabieże... W skrócie – zbrodnie wojenne. Najbardziej obrazowymi przykładami piemonckiego stylu walki pozostają dwie miejscowości w prowincji Benewentu (region Kampania): Pontelandolfo oraz Casalduni. Po wkroczeniu armii piemonckiej do Pontelandolfo, miasteczka liczącego wówczas około 5 tys. mieszkańców, ostały się trzy domy. W pobliskim Casalduni nie ostał się ani jeden. Do dzisiaj trwają debaty dotyczące kalkulacji liczby ofiar pogromów we wspomnianych miejscowościach i ich rozstrzał jest

ogromny – zależnie od tego, kto owej kalkulacji dokonuje. Archiwa spłonęły.

Mafia w butach

Rzetelnych szacunków próbował dokonywać radny Gaeta, Antonio Ciano – jedna z postaci najbardziej zasłużonych dla rehabilitacji południowej wersji historii. Ciano w 2000 r. wydał książkę „I Savoia e il massacro del Sud” („Sabaudzcy i masakra południa”) oraz był jedną z pierwszych osób, które publicznie oskarżyły państwo włoskie o zbrodnie wojenne na południu. Wedle kalkulacji Ciano – zdaniem wielu przesadzonej – liczba ofiar zjednoczenia wyniosła około miliona osób.

Warto przy tym wspomnieć, że Antonio uwzględniał w swoich wyliczeniach nie tylko poległych w walkach z wojskami piemonckimi i Garibaldiego oraz ofiary represji *antibrigantaggio*. Jego kalkulacje objęły również zmarłych z powodu głodu, ubóstwa i chorób, spowodowanych zniszczeniem południowej gospodarki, a także tych, którzy zostali deportowani lub osadzeni w więzieniach, skąd nigdy nie powrócili.

Do dzisiaj zresztą słychać spekulacje dotyczące jednego konkretnego więzienia – fortu w Fenestrelle, przez niektórych nazywanego wprost obozem koncentracyjnym. Przetrzymywano tam zarówno żołnierzy burbońskich, którzy odmówili złożenia przysięgi nowemu królowi, jak i cywili z różnych powodów oskarżonych o *brigantaggio*. Według niektórych źródeł warunki w forcie miały być bardzo podobne do tych w nazistowskich obozach koncentracyjnych – a egzekucje były na porządku dziennym. Doniesienia te dementuje strona internetowa muzeum znajdującego się obecnie na terenie byłego więzienia. Dementuje je również znany włoski historyk Alessandro Barbero. Dla kontekstu warto jednak podkreślić, iż Barbero pochodzi z Turynu, a sprawy Fenestrelle dalej nie można uważać za należyście zbadaną.

„Historię napisali zwycięzcy. A zwycięzcy zniszczyli naszą pamięć” – tak podsumowuje proces zjednoczenia w swojej książce Antonio Ciano. I w istocie trudno nie przyznać mu racji.

To, czego dokonano na południu Włoch – to nic innego jak kulturowa lobotomia, której skutki są o wiele bardziej dalekosiężne niż setki/tysiące/miliony trupów, którymi usłano południowe tereny 160 lat temu.

Prężnie działająca gospodarka Burbonów została rozmontowana, sprowadzając na obywateli głód i biedę, przed którą karmieni antypołudniową narracją najeźdźcy chcieli ich uratować. Alessandro Bianco, piemoncki arystokrata i emisariusz Cavoura, zdziwiony pisał w swoim raporcie z Neapolu, że „wszyscy chodzą w butach i jedzą biały chleb”. To niepozorne zdanie trafnie oddaje pojęcie, jakie o Królestwie Obojga Sycylii miały

sabaudzkie elity. Paradoksalnie zaprowadziły one na południu to, co spodziewały się tam zastać.

Po oddaniu przez Garibaldiego południa w ręce króla Wiktora Emanuela II i powstaniu wspólnej kasy, 60 proc. trafiających do niej zasobów pochodziło z Królestwa Obojga Sycylii. Kontrybucja Piemontu w owym budżecie wynosiła 4 proc., choć sam Piemont wygenerował ponad połowę narodowego zadłużenia. Sabaudzkie długi spłacone zostały burbońskimi pieniędzmi.

Spacyfikowane gospodarczo południe, zaniebane zarówno pod względem administracji, jak i przemysłu, stało się doskonałą pożywką dla kwitnącej mafii – ponieważ to właśnie mafiosi stali się obrońcami, których skatowanym unifikacją południowcom brakowało. Sam „bohater” zjednoczenia, Giuseppe Garibaldi, po dokonanej fuzji krytycznie odnosił się do jej przebiegu i z żalem miał powiedzieć: „oddaliśmy południe w ręce nędzy”.

Włoscy trędowaci

Nie można się więc dziwić nieco urojonym fantazjom wszystkich, którzy dalej identyfikują się jako neoburboni lub działają w mikroorganizacjach separatystycznych. Ich sympatie są wynikiem tęsknoty za czymś, czego nigdy nie doświadczyli, a wskutek rodzinnych historii i przekazywanych wspomnień bardzo pragną: poczucia, że są u siebie. Poczucia, że cały kulturowo-społeczny dorobek okresu Królestwa Neapolu i Królestwa Obojga Sycylii jest traktowany z należyтым szacunkiem. Ragnienia stabilnego, prężnie rozwijającego się południa oraz państwa, w którym nie są traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Mają swój język, który w dalszym ciągu dla wielu maluchów jest pierwszym językiem, przed włoskim. Mają swoją muzykę, literaturę i filmy, własne tradycje i przyzwyczajenia, dalej dość uparcie opierają się kulturowej homogenizacji.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dla reszty kraju południowcy są – do dzisiaj – gorszym sortem. Na antypołudniowym przekazie Salvini oparł całą filozofię stworzonej przez siebie Ligi Północnej. Na lokalach nie wiszą co prawda kartki zakazujące południowcom wstępu – ale to nie znaczy, że wszędzie wolno im wejść.

Na blogu lucysullacultura.com można znaleźć obszerny artykuł opisujący jawną dyskryminację południowych najemców przez północnych landlordów. Często po wychyceniu w mowie południowego akcentu lub odkrycia, iż potencjalny najemca pochodzi z Apulii bądź Kampanii, właściciele odmawiają mu wynajęcia pokoju lub mieszkania.

Podróżując po Lombardii lub Veneto, południowi Włosi muszą liczyć się z otwarciem rasistowskimi komentarzami czy podejrzeniami o potencjalną kradzież. To nie są historie z lat 50., ale z ostatniego dziesięciolecia.

Czy ktoś więc jest jeszcze zdziwiony, że baraki z uchodźcami toną na morzach otaczających Półwysp Apeniński, a Meloni prowadzi otwartą krucjatę przeciwko niebiałym uchodźcom? Włochy od dawna już mają swoich trędowatych. Sami spętałi niewolnika, którego przykuli do siebie łańcuchem, i bezustannie narzekają na to, jak bardzo ich spowalnia.

ANTONINA STEFFEN

Europa między Waszyngtonem a Kijowem

Grajac twardziela, wypadamy z gry

Decyzje podejmowane przez Donalda Trumpa odbierane są jako nieprzewidywalne – i przez to dla wielu niezrozumiałe. Tymczasem mają one swoją logikę. Trump bowiem stara się pokazać światu, że on tu rządzi i rozdaje karty; że nie tylko *America* jest *first*, ale on też. Tym można tłumaczyć wywołane przez niego wojny celne niemal z całym światem: ja was teraz ocłę, ale kiedy mi się spodoba, to cła zawieszę.

Nieprzewidywalność amerykańskiego prezydenta wzbudza niepokój w Europie, zastraszonej ewentualną napaścią ze strony Rosji, przed którą to napaścią potężna jak by nie było Europa nie mogłaby się obronić bez pomocy ze strony USA. Ewentualną – dodajmy – choć mało prawdopodobną, chociażby ze względu na ryzyko wiążące się dla Rosji z konfrontacją z NATO.

Można by się zastanawiać, czy straszący rosyjską agresją europejscy politycy rzeczywiście tak myślą – czy specjalnie nakręcają spiralę strachu, pomni, że nad zastraszoną społecznością łatwiej jest panować. Kiedy bowiem zaczyna dominować strach, na dalszy plan odchodzi zdolność do samodzielnego myślenia.

Zarządzanie strachem nie jest – także w Polsce – zjawiskiem nowym. Tyle że przedtem straszono nas uchodźcami, a teraz Rosją. Jeszcze niedawno, aby zapobiec nadsyłaniu przez wrażliwą Białoruś uchodźców, murowano naszą wschodnią granicę. Teraz na wypadek hipotetycznej rosyjskiej napaści niechybnie będzie się układać miny przy granicy z obwodem kaliningradzkim. Podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych krajów nadbałtyckich już dyskutowano kwestię zaminowania granicy z Rosją.

W stronę gospodarki wojennej?

Ponadto wojenna psychoza stanowi uzasadnienie dla militarystyki kraju. Ludzi wciąga się do wojska. Na razie niby dobrowolnie, ale coraz częściej przebąkuje się o wprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej.

Wojenne zagrożenie to dodatkowy argument na rzecz kupowania za ciężkie miliardy broni; głównie amerykańskiej. Skoro wojna za miedzą, to nie dziwcie się państwo, że mamy za mało kasy na uzdrowienie służby zdrowia czy rozwój budownictwa mieszkaniowego – bezpieczeństwo jest najważniejsze...

Militaryzacja prowadzi w kierunku gospodarki wojennej. Penny Naas z amerykańskiego Funduszu Marshalla wśród oznak charakteryzujących gospodarkę wojenną wymienia mobilizację zasobów oraz możliwości produkcyjnych na wsparcie przemysłu w okresie wojny. Oznacza to przesunięcie produkcji przemysłowej z dóbr konsumpcyjnych na rzecz uzbrojenia, amunicji i wyposażenia militarnego.

Jednocześnie prowadzi to nie tylko do zwiększania nakładów na rozwój tradycyjnych militarnych technologii i modernizacji uzbrojenia, lecz także pociąga za sobą inwestowanie w dziedziny nie strictly militarne, lecz niezbędne do ekspansji przemysłu wojennego – jak choćby cyfryzacja, analiza danych czy systemy satelitarne. Armin Steinbach z belgijskiego think tanku Bruegel wskazuje, że najbardziej korzystają na tym firmy specjalizujące się nie tylko w produkcji wojskowej, ale też w technologiach cyfrowych, nowych systemach łączności i radarowych oraz przemyśle farmaceutycznym – przeciw rannych trzeba będzie leczyć.

To, ile dane państwo przeznacza na cele wojskowe i im towarzyszące jest miernikiem tego, w ja-

kim stopniu kultywuje ono gospodarkę wojenną. Obecnie Ukraina – twierdzi Steinbach – przeznaczą na cele militarne 58 proc. budżetu. Jednak Ukraina jest w stanie wojny. W odróżnieniu od innych państw europejskich, które z nikim nie wojują, a jednak zbroją się na potęgę. Biorąc pod uwagę przytoczone wyżej argumentacje, jest to wytłumaczalne. Podobnie jak wytłumaczalne jest – niewypowiadane wprost, ale wyczuwalne – dążenie do przedłużania wojny na Ukrainie.

Doktryna Tuska: pokój przez siłę

Co to się porobiło. Agresywna Ameryka jest bardzo pokojowo nastawiona niż pokojowa do tej pory Europa. Za czasów prezydentury Bidena sytuacja była jasna. Cały – za wyjątkiem Węgier – zunifikowany Zachód domagał się militarnego zwycięstwa nad Rosją. Teraz, w nowych realiach, przestano mówić o zbrojnej rozprawie z Putinem.

Choć nie do końca. Jeszcze podczas tegorocznej konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium duńska premier Mette Frederiksen perorowała, iż Europa powinna dać Ukrainie zwycięstwo w wojnie, podpierając te enuncjacje standardowym komentarzem: wojna na Ukrainie to „urzędywistnienie imperialnych marzeń Rosji i próba zdominowania europejskiego myślenia” – co nie świadczy zbyt dobrze o stanie tego myślenia, przynajmniej w odczuciu pani Frederiksen.

Z kolei Donald Tusk twierdzi, że „przymusowa kapitulacja Ukrainy oznaczałaby kapitulację całej społeczności Zachodu”. Jest to konstatacja poniekąd słuszna, skoro cała wymieniona tu społeczność zaangażowała się w wojnę. Wypływa z tego jednak jeden wniosek: po co było się pchać w ten konflikt, by następnie kapitulować. Jednak taka autorefleksja wdaje się poza zasięg wyobraźni polskiego premiera.

Jeżeli już zamiast wojny mają być negocjacje – to uwaga europejskich polityków zwrócona jest na to, w jakim stopniu układ pokojowy będzie korzystny dla Ukrainy. Dla tego celu Ukraina musi mieć mocną pozycję przetargową. Ma to być – jak to wyartykułował Donald Tusk – „pokój przez siłę”.

Kraje NATO doszły do wniosku, że dla wzmocnienia pozycji przetargowej Kijowa należy nadal dozbrajać Ukrainę, lecz już nie po to, by wojowała z Roskimi, ale by miała za sobą negocjacyjne argumenty w postaci silnej armii. Tak się to oficjalnie interpretuje – jednak z rozmów zakulisowych wylania się inny, bardziej wojowniczy cel. Ujawnił to w wywiadzie dla CNN sekretarz stanu USA Marco Rubio, powołując się na rozmowę z niewymienionym z nazwiska ministrem spraw zagranicznych jednego z państw europejskich: „Kiedy spytałem go, na

czym polega europejski plan wobec Ukrainy, powiedział, że chodzi o to, aby Rosja została osłabiona do tego stopnia, żeby sama prosiła się o pokój”.

To myśl obowiązująca także w Polsce. Jak ujął to Witold Sokała z „Dziennika Gazety Prawnej”: „trzeba dać Rosji takiego łupnia, żeby negocjowała nie kapitulację Ukrainy, tylko warunki swojej kapitulacji”.

Europa kontra Rosja

Konsekwencją zmiany władzy w Białym Domu była zmiana kursu wobec Rosji: z konfrontacyjnego na pojednawczy. Dla obecnego amerykańskiego prezydenta Putin nie jest już wyklętym zbrodniarzem, ale partnerem do rozmów. Natomiast Europa – czyli UE plus UK – kontynuują poprzednią linię. Można by to nazwać konsekwencją lub dogmatycznym uporem, jak kto woli. Różnice w amerykańskim i europejskim podejściu do konfliktu na Ukrainie są widoczne dla wszystkich z wyjątkiem Tuska, który twierdzi, iż „należy uczynić wszystko, aby zapewnić, by Europa i Stany Zjednoczone mówiły jednym głosem”. Jednak pobożne życzenia polskiego premiera nie mają żadnej mocy sprawczej – co, biorąc pod uwagę jego zapowiedzi w innych obszarach, jako specjalnie nie dziwi.

W ramach swojej niezmienniej strategii Europa nadal wspomaga materialnie i militarnie Ukrainę i jednocześnie nakłada wciąż nowe sankcje na Rosję. W kwietniu Unia Europejska obiecała Ukrainie dodatkowe 23,8 mld euro na uzbrojenia, a Wielka Brytania zadeklarowała kwotę o równoważności 17 mld euro. Niektóre kraje europejskie wykazują się w tej materii własną inicjatywą. Niemcy przeznaczyły na dobrojenie Ukrainy 3 mld euro, Szwecja 1,6 mld. Brytyjski premier Keir Starmer zaferował Ukrainie pożyczkę w wysokości 2,84 mld dol. Pożyczka ta, podobnie jak i kilka innych, ma być finansowana z zamrożonych w zachodnich bankach rosyjskich aktywów. Z prawego punktu widzenia jest to pomysł dość wątpliwy – środki te nie zostały skonfiskowane, a tylko zamrożone, co oznacza, że przy zmianie sytuacji mogą być odmrożone. Co wtedy? Oddawać Rosji forsy, ściągając ją z powrotem z Ukrainy?

Z kolei na początku roku UE objawiła o przygotowaniu kolejnego, szesnastego już, pakietu sankcji wymierzonych w Rosję. Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wyraźnie mówi o tym, że UE zamierza nadal stosować naciski wobec Kremla.

O Ukrainie bez Unii?

Unia Europejska początkowo była wielce niezadowolona z dwustronnych rozmów pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą, z pominięciem Brukseli. „Dlaczego dajemy Rosji wszystko, czego chcą, zanim rozpoczęły się negocjacje?” – narzekała zawiadująca służbą zagraniczną Unii Kaja Kallas. Warto by panią Kallas uświadomić, że USA nic Rosji nie „dały”: w trakcie dwustronnych rozmów Stany Zjednoczone nie zawarły z Rosją żadnych wiążących porozumień w kwestii zakończenia wojny na Ukrainie, a same rozmowy miały na celu odnowę wzajemnych stosunków.

Europejscy politycy nie przyjmowali do wiadomości tego, że UE nie jest stroną w tym konflikcie – a jedynie dostarcycielem broni dla jednej z walczących stron. Dlatego też byłoby dziwne, gdyby w amerykańskich rozmowach dwustronnych uczestniczył ktoś trzeci czy czwarty. Podążając tokiem unijnego myślenia, można by do stołu negocjacyjnego zaprosić choćby niektóre sąsiadujące z Rosją kraje, takie jak proukraińska Norwegia, prorosyjska Białoruś czy neutralna w tym sporze Mongolia. Tymczasem Donald Trump nie wyklucza rozmów z UE – lecz dopiero na etapie układania architektury bezpieczeństwa w Europie.

Ostatnio czołowi europejscy politycy robią wrażenie, jak gdyby pogodzili się z realiami, lecz nadal liczą na dopuszczenie do stołu. Po spotkaniu z Trumpem, który zapowiedział podpisanie 24 kwietnia umowy z Ukrainą, szefowa włoskiego rządu Giorgia Meloni rozpyływała się z zachwytem: „Razem możemy zbudować sprawiedliwy i trwały pokój. Wspieramy twoje wysiłki, Donaldzie!”.

Po amerykańsko-włoskim spotkaniu na najwyższym szczeblu odbyło się kolejne – w Paryżu. Z jednej strony wzięli w nim udział czołowi amerykańscy politycy Marco Rubio i Steve Witkoff; z drugiej zaś francuski prezydent Emmanuel Macron, przedstawiciele premierów Niemiec i Wielkiej Brytanii, a także Ukrainy. Po tym spotkaniu nie został ogłoszony oficjalny komunikat, a biuro francuskiego prezydenta ograniczyło się do stwierdzenia, iż celem spotkania była ocena postępu w rozmowach pokojowych i było ono „pozytywne i konstruktywne”.

Niektórzy komentatorzy chcą widzieć w tym gotowość USA do włączenia Europy do negocjacji. Nie można tego wykluczyć: po spodziewanym zawarciu porozumienia z Ukrainą Stany skoncentrują się na negocjacjach z Rosją i być może będą potrzebowały dodatkowego europejskiego wsparcia. Jednak chyba raczej nie ze strony niejednorodnej Unii Europejskiej, predez ze strony NATO. Sygnalizował to Marco Rubio, deklarując, że USA nadal wysoko sobie cenią sojusz wojskowy i europejskich partnerów. Czy również w ewentualnych naciśkach na Rosję?

Możliwy jest też przeciwny wariant, polegający na tym, że Stany w zamian za zawieszenie ceł na europejskie towary spróbują nakłonić Europę do bardziej ugodowego stanowiska wobec Rosji przy jednoczesnej korekcie unijnej polityki wobec Ukrainy. I być może dlatego w paryskich rozmowach uczestniczyli tak znaczący ukraińscy politycy jak ministrowie spraw zagranicznych Andrij Sybiha i obrony Rustam Umerow oraz doradca prezydenta Andrij Jermak.

BOLESŁAW K. JASZCZUK



Trumpolandia

Pamiętacie zadymę z planami wojennymi omawianymi na prywatnej grupie na Signalu, do której doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, Michael Waltz, dołączył naczelnego antytrumpowego magazynu „Atlantic”? Okazuje się, że to nie koniec. Otóż te same plany – ataku na pozycję Huti w Jemenie – sekretarz obrony Pete Hegseth wrzucił na swoją grupę rodzinną, w której było kilkanaście osób, w tym jego brat, prywatny adwokat i jego trzecia żona Jennifer. Były to m.in. harmonogramy lotów bombowców F/A-18 Hornet. Jennifer pracowała kiedyś w Fox News, ale teraz zajmuje się podróżowaniem z mężem po

świecie i uczestniczeniem u jego boku w ściśle tajnych rozmowach z zagranicznymi przywódcami. Żona jest trzecia, więc Pete wyraźnie chce jej zaimponować: „Skarbie, właśnie rozjechałem bandę złych facetów w Jemenie, mocne, nie?”. Donald Trump najwyraźniej tak uważa: „Pete robi znakomitą robotę, zapytajcie Huti” – odparł zawiadacko, zapytany o kolejny skandal z użyciem komunikatora.

A skoro już jesteśmy przy bezpieczeństwie – sekretarz ds. bezpieczeństwa wewnętrznego Kristi Noem posłała z rodziną na niedzielną kolację do wytwornej

waszyngtońskiej knajpy Capital Burger i ktoś jej zajął torebkę. W torebce były: paszport sekretarza ds. bezpieczeństwa wewnętrznego, jej identyfikator i karta wejścia do departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego, jej prawo jazdy, leki, klucze do mieszkania, książeczka z czystymi czekami i 3000 dolarów w gotówce. P. Noem kieruje departamentem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo narodowe; jej obowiązki obejmują kontrolę granic i imigrację, ochronę przed terroryzmem i cyberbezpieczeństwo.

Trump wyruszył na wojnę z Harwardem. Największa i najbardziej prestiżowa amerykańska uczelnia usłyszała od prezydenta USA, że koniec z korytem (rzecznik Białego Domu użył terminu *gravy train*, co można przetłumaczyć jako „pociąg z omastą”) i żeby otrzymy-

wać federalne granty, musi zatrudnić wskazanego przez Białą Dom komisara, który de facto będzie decydował kto, który i czego na uczelni ma uczyć. Komisarz ma mieć wpływ na politykę zatrudniania wykładowców, przyjmowania studentów, a także program studiów. Szczególnie interesujący punkt mówi, że Harvard ma zaprzestać przyjmowania studentów, którzy są „wrogo nastawieni do amerykańskich wartości i instytucji”. Koniec z lewakami i antychrystami na Harvardzie! Ale tak uczciwie mówiąc: co oni w ogóle robili? Szczególnie surowo Białą Dom każe traktować tych, którzy protestują przeciwko ludobójstwu w Strefie Gazy, co jest – nie zgadzanie się – przejawem antysemityzmu.

Elon Musk, ze swoją czternastką dzieci – którą nazywa „legionem” – stał się

WIARA CZYNI CZUBA

1. Śmierć Franciszka wywołała tsunami hipokryzji – nawet ci, którzy uważali go za antychrysta, ronią oficjalne łzy. Z tego tłumu wyróżnia się autor graffiti na budynku przy szkockiej autostradzie M8, który parę godzin po głoszeniu zgonu papieża wysprejował wielki napis: „Nie ma rzymskiego papieża”. I – w ramach didaskaliów – „Papa Francesco nie żyje”. Graffiti ma symbol drużyny Rangers F.C., która ma kosę z Celtikiem, bo Celtic to katole, a Rangersi – protestanci. Jeden z fanów Celticu skomentował: „Jedyne, co Rangersi mogą świętować w tym sezonie, to śmierć 88-letni Argentyńczyka mieszkającego w Rzymie”. Piłka nożna łączy ludzi.

2. Pewne przejawy szczerości wydały z siebie także środowiska żydowskie. Prawicowy dziennik „Israel Hayom” ogłosił: „Papież ten odegrał znaczącą rolę w podsycaniu fali antysemityzmu na całym świecie po 7 października. Przez całą wojnę konsekwentnie krytykował Izrael jadłowitym językiem, a nawet pytał, czy Izrael spełnia »ludobójstwo« w Strefie Gazy. Historycznie rzecz biorąc, jego poziom antysemityzmu rywalizuje tylko z papieżem Piusem XII, który milczał podczas potworności Holocaustu. Bergoglio nie zachowywał się jak głowa Kościoła, ale jak polityk i działacz społeczny o socjalistycznych, a nawet marksistowskich tendencjach”. I podsumował: „To symboliczne, że obecny papież zmarł w przeddzień izraelskiego Dnia Pamięci o Holocaustie. Największą traumą zachodniego świata pozostaje ukrzyżowanie Żyda z naszego narodu”.

3. Odejście Franciszka do Domu Pana ma też swoje jasne strony: nie będzie musiał być świadkiem wyniesienia na ołtarze pierwszego milenialsa. Na powielkanocny tydzień zapowiedziane były uroczystości kanonizacyjne Carla Acutisa, który zmarł na białaczkę w wieku 15 lat, a wcześniej był „bożym influenserem”. Franciszek zaaprobował dwa acutisowe cudy. Pierwszy został odnotowany w Brazylii, gdzie siedmioletek dostał koszulkę Carla i wyzdrowiał z rzadkiej choroby trzustki. Później kobieta z Kostaryki, po modlitwie do Carla, cudownie wyzdrowiała po wypadku rowerowym we Florencji w 2022 r. Przed Acutisem Franciszek kanonizował 912 osób, ale najmłodsza z nich urodziła się w 1926 r.

4. Policja na Sri Lance wszczęła dochodzenie w sprawie zdjęcia trendującego na socjalach zdjęcia zęba Buddy – relikwii, która została wystawiona na publiczne uwielbienie w Świątyni Zęba w centrum miasta Kandy. Wierni, zanim oddadzą hold zębowi, są starannie przeszukiwani – a mimo tego ktoś walnął focię zęba i powiesił w necie. Teraz Departament Dochodzeń Kryminalnych ustala, czy focia jest autentyczna i kto ją zrobił. Z tym może być problem, bo wedle szacunków policji w pierwszym dniu pokłon zębowi złożyło 125 tys. osób.

tworząc polityki demograficznej nowej administracji. Jego koncept opiera się na założeniu, że należy doprowadzić do sytuacji, kiedy ludzie (chodziło mu zapewne o kobiety) będą się bali bezdzietności bardziej niż ciąży. „Jeśli to się nie stanie, cywilizacja zniknie” – grozi Musk, który niedawno kupił w Austin w Teksasie rezydencję o powierzchni 1,5 tys. mkw., żeby pomieścić tam wszystkie swoje dzieci wraz z rozlicznymi matkami. Ta wizja budzi pewien niepokój nawet u ideowych sojuszników Trumpa. Roger Severino, wiceprezes konserwatywnego think tanku Heritage Foundation, powiedział ostatnio, że Musk nie powinien być stawiany za wzór do naśladowania, gdyż „dzieci nie powinny być traktowane jak towary”.

AWŁ



Zaproszenie na koktajl u Mołotowa

**Historia
jednej
fotografii**

Chociaż premier Donald Tusk zalecił wstrzeźliwość w ocenie nieprzyjaznych decyzji prezydenta Donalda Trumpa, odważam się na obywatelski protest w tej sprawie, ponieważ miliony obywateli USA udzieliły mi w tej kwestii moralnego poparcia w równoczesnych 1400 demonstracjach ulicznych zorganizowanych pod hasłem „Ręce precz!”.

Kiedy prezydent Trump obłożył całym świat z wyjątkiem Rosji i Białorusi – datę ich wprowadzenia ogłosił „Dniem Wyzwolenia Ameryki”.

Przywódca Wolnego Świata wypowiedział wojnę światu całemu – na razie tylko wojnę handlową, która jednak rozstrzygnięcie ostateczne może znaleźć w wojnie prawdziwej. Uznałem, że nadszedł właśnie koniec świata, prawdziwy Armagedon, toteż przystąpiłem do niszczenia papierzyśk, żeby pozostawić po sobie względny porządek. Kiedy przetrząpywałem prywatne archiwum, wpadła mi w ręce fotografia 7x10, wydrukowana na błyszczącym papierze. Widnieje na niej pięciu mężczyzn, których Trump obdarzył ostatnio wielkim zaufaniem, i jedna kobieta, co do której lojalności prezydent USA żywił niejaką wątpliwość.

Album rodzinny Litwinienki

Niezwykłość tego zdjęcia polega m.in. na tym, że na żadnej fotografii z serwisów agencji prasowych nie ma takiego nagromadzenia przestępców objętych aktualnie międzynarodowym nakazem aresztowania wydanym przez Trybunał Karny w Hadze.

W posiadanie fotografii z albumu rodzinnego oligarchy Władimira Stefanowicza Litwinienki, rektora Uniwersytetu Górniczego w Petersburgu, wszedłem w związku z kontraktem ghostwriterskim na napisanie biografii politycznej *rektorskiej doczki* Olgi Władimirownej, która przed pościgiem putinowskich siepaczy uciekła do Polski, gdzie poprosiła prezydenta Komorowskiego o azyl polityczny.

Na inkryminowanej fotografii Merkel z Putinem, jakby nigdy nic, knują beczelnie jakiś tajny aneks do paktu Ribbentrop-Mołotow. Obstawiam, że podpisali właśnie niemiecko-rosyjską umowę o przesyłce po dnie Bałtyku gazu ziemnego z północnej Rosji do wschodnich Niemiec. Dwojgu rozmówców z głupawym uśmiechem na ustach przy-

patruje się przewodniczący rosyjskiej Dumy i lider partii Sprawiedliwa Rosja. Jego uśmiech jest z konieczności głupawy, ponieważ Siergiej Mironow nie zna niemieckiego. Kilkanaście lat później *diadzi* Siergiejowi nie będzie już do śmiechu, bowiem znalazł się na krótkiej liście rosyjskich urzędników, objętych przez Trybunał Karny w Hadze europejskim nakazem aresztowania m.in. za zbrodniczą adopcję niespełna rocznej Margaryty Prokopenko porwanej z ukraińskiego Chersonia przez żołdaków z Grupy Wagnera i zmiannę jej personaliów na Marina Siergiejewna Mironowa.

Zaznaczyć należy, że Mironow adoptował zdrowe ukraińskie niemowlę z dobroci serca i raczej nie będzie go stać na zapłatę 5 mln dol. za „złotą kartę” Donalda Trumpa gwarantującą nabywcy obywatelstwo Stanów Zjednoczonych i osobiste bezpieczeństwo.

Za stołem przydialnym uwieczniony jest rektor Petersburskiego Uniwersytetu Górniczego Władimir Stefanowicz Litwinienko, promotor i rzeczywisty autor putinowskiego doktoratu o zarządzaniu bogactwami surowcowymi Rosji. Odziany w parady mundur górniczy ze złotymi galonami siedzi z buzią w ciup, z rączkami ułożonymi w małdrzyk i nie ma przed nim ani długopisu, ani też karteluszka papieru, na którym mógłby sporządzać notatki. Fotoreporterom zabroniono wstępu na salę, ale zapomniano odebrać uczestnikom obrad telefonów.

Jego Magnificencję Rektora byłoby stać na kupno nawet 100 „złotych kart” Donalda Trumpa, bo po aresztowaniu oligarchy Michaiła Chodorkowskiego i nacjonalizacji jego holdingu Jukos, rektorowi Litwinience dostało się warte miliardy 5 proc. koncernu Fos-Agro – ale on akurat nie ma powodu uciekać z Rosji. Wprawdzie dopuścił się porwania własnej wnuczki i jej bezprawnej adopcji – ale uczynił to w desperacji, kiedy jedyna dziedziczka jego fortuny, Olga Władimirowna, matka stanowiącej przedmiot sporu Estery Marii, z tym samym holenderskim oszustem matrymonialnym powiła drugie nieślubne dziecko imieniem Michał.

Obok Władimira Litwinienki, w mundurze górniczym bez złotych galonów, siedzi młody człowiek o twarzy silnie słowiańskiej i leży przed nim długopis, co sugeruje, że jest on asystentem rektora uniwersytetu. Nie ma przed nim

na stole żadnego skrawka papieru, na którym skrzętny asystent mógłby cokolwiek zanotować. Papierzyśko bez długopisu leży natomiast przed osobnikiem w okularach, o twarzy mocno opalonej, pociągłej i typowo germańskiej. Kim jest ten gość w okularach, jeśli nie radzieckim szpiegiem z czasów, kiedy Putin był rezydentem KGB w energo-drewnie i miał Mattiasa Warniga na swojej krótkiej liście płac?

Dopóki na kremłowskim tronie zasiada car Władimir Władimirowicz, ani rektorowi Litwinience, ani przewodniczącemu parlamentu Federacji Rosyjskiej Mironowowi włos z głowy w Rosji nie spadnie.

Spadek po Związaniu

Mówi się dzisiaj, że sfalsyfikowany doktorat Władimira Władimirowicza Putina zawierał – już wtedy – koncepcję podboju świata, najpierw przez sprzedaż poszukiwanych na świecie surowców, a potem pośpieszne zbrojenia za uzyskane tym sposobem pieniądze. Jedyna córka górniczego rektora, Olga Władimirowna Litwinienko – posłanka do dumy Guberni Petersburskiej, przewodnicząca młodzieżówki niby-opozycyjnej partii Sprawiedliwa Rosja, matka dwojga nieślubnych dzieci holenderskiego oszusta matrymonialnego poszukiwanego przez Interpol, która uciekła do Polski przed ojcowskim gniewem – dziesięć lat przed „operacją specjalną w Ukrainie” zapewniała, że ten putinowski doktorat w całości napisał jej tatuś i że nie było w nim ani słowa o zbrojeniach, ani też o planie odbudowy Imperium Rosyjskiego.

Przebieg pełnoskalowej wojny w Donbasie zdaje się świadczyć, że pieniądze z eksportu surowców poszły w Rosji na powszechny wzrost konsumpcji i zostały po prostu zjedzone.

W takim razie twierdzenie propagandy zimnowojennej, że Putin od samego początku miał jakiś plan podboju świata, byłoby tak samo prawdziwe jak sfingowany przez CIA raport o zagrożeniu bronią masową zagłady w rękach Saddama Husajna, co dało asumpt do pokojowego ataku kilku państw NATO na Irak... Husajn był jeszcze paskudniejszym tyranem, niżli jest nim Putin, ale prawda jest taka, że żadnej broni masowego rażenia nie posiadał i nie konstruował.

Biznesowy projekt budowy rury Nord Stream Radosław Sikorski, nasz minister wojny w pierwszym rządzie PiS, nazwał nowym paktem Ribbentrop-Mołotow.

Radek prorokował, że dochody ze sprzedaży gazu Putin przeznaczy przede wszystkim na zbrojenia. Ta ponura wieszczba chyba się nie sprawdziła.

W wojnie z Ukrainą Putin mocny jest głównie tym, co pozostawił mu Związek Radziecki.

Ale kto w pięknej i odważnej metaforze ministra Sikorskiego jest Ribbentropem? Czyżby była nim gospodarna i tak bardzo lojalna wobec polskich interesów handlowych była niemiecka kanclerz Angela Merkel?

Jak donosił „Financial Times”, gdy w Arabii Saudyjskiej toczyły się oficjalne rosyjsko-amerykańskie negocjacje w sprawie zawieszenia broni w wojnie na Ukrainie, w sekretnych negocjacjach amerykańskich i rosyjskich biznesmenów, podjętych z inicjatywy szpiega Mattiasa Warniga, rozważany był plan przywrócenia przesyłu rosyjskiego gazu po dnie Bałtyku. Czy w przypadku, jeśli projekt rewitalizacji rur Nord Stream dojdzie do skutku, minister Sikorski znowu zakrzyknie na platformie X „Dzięki USA!” – jak zakrzyknął pięć minut po wysadzeniu rosyjsko-niemieckich rurociągów gazowych w brudne wody Bałtyku?

Donald Trump swoimi szaleńczymi pomysłami wpędził w rozterkę naszego naprawdę utalentowanego dyplomaty, w cywilu małżonka amerykańskiej dziennikarki Anne Applebaum i ojca żołnierza pełniącego aktualnie regularną służbę w armii Stanów Zjednoczonych. Co się stanie, jeśli w militarnej fazie wojny handlowej Stanów Zjednoczonych z Europą stanie uzbrojony po zęby syn pierwotny Sikorskiego?

Sprzątam już tylko po sobie i czekam, aż Trump ogłosi, że cały pięćdziesięciotysięczny naród grenlandzki, silnie przemarznięty i biedny, przytuli do serca i ogrzeje, a także hojnie ubogaci, następnie zaś, dla obrony pokoju na świecie, przesiedli do pustynnej Strefy Gazy, gdzie na gruzach wszelkiej cywilizacji nad brzegiem morza zbudowane będą *les-Hameaux* rodem z Riwiery Francuskiej, z luksusowymi hotelami i restauracjami dla ludności nadprzebieżnie bogatej.

JAKUB KOPEĆ

Ewolucja stawia na krzesło



Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

750 mln lat temu Ziemia była rajem. Flory i fauny w dzisiejszym rozumieniu właściwie nie było. Gąbki i koralowce (zwierzęta, nasi praprzodkowie, obojnaki) nie różniły się zbyt od glonów i porostów (roślin, również rozmnażających się obupłciowo). Wszystko to egzystowało w harmonii, w błękitnych wodach, nie wchodząc sobie w drogę, nie rywalizując o terytoria, bez pretensji, pobierając ze środowiska tylko tyle, ile niezbędne. Ani mniej, ani więcej. Komuś jednak musiało to przeszkadzać. Pytanie komu? Czasem myślę, że i ja wolałbym być ukwiałem.

Jak ewolucja wpuściła nas w maliny

Ewolucja znudzona bezkształtnymi gąbkami postanowiła wprowadzić symetrię. I prosię: większość zwierząt, łącznie z nami, dumnymi posiadaczami dwóch nóg, dwóch rąk i tak dalej, paradytuje symetrycznie. Po co? Ano po to, żeby się sprawniej poruszać. Nawet żółw, ten powolny symbol długowieczności, przy jamochłonie wygląda jak bolid Formuły 1. Bo jamochłon przysypany do dna rusza się mniej więcej tyle, co kamień. A żółw, zważywszy na długość swojego żywota, nachodzi się w sumie bardziej, niż zając nabiega.

Od osiadłego lenistwa do bieganiny – ewolucja zafundowała nam grzech pierworodny w wersji biologicznej. Rajską harmonię diabli wzięli, pojawiły się problemy, a wszystko przez ten cholerny ruch. Bo owszem, mobilność to i zaleta, i przekleństwo. Spójrzmy na mrówki – dokąd one tak pędzą? Albo stonoga – po co jej te setki nóg, skoro i tak donikąd nie dojdzie? Błogostan zastąpiła nerwica, a my, zamiast wylegiwać się na dnie oceanu, gonimy za uciekającym szczęściem.

Mobilność kontra stacjonarność: pojedynek o jutro

Człowiek to mistrz patologicznej mobilności. Od tysiącleci szwendamy się po świecie: kruczaty, migracje, pielgrzymki, przeprowadzki – wszyscy czegoś szukają, dokąś biegną, jakby zapomnieli, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Wciąż ludzimy się, że gdzieś indziej będzie lepiej, a potem okazuje się, że z deszczu pod rynnę.

Nóg nam było mało, to wskoczyliśmy na konie i wielbłądy. Później wymyśliliśmy koła, a nawet sztuczne skrzydła. Dziś pędzimy dookoła świata z szybkością pocisku, choć pierwszy, kto tego dokonał, Juan Elcano, robił to cztery lata (jego kumpel Magellan, któremu się błędnie przypisuje pierwsze opłynięcie Ziemi, po prostu wyzionął ducha po drodze).

Homo sapiens mobilis – oto człowiek XXI w., wieczny biegacz, który sam nie wie, dokąd zmierza i gdzie jest meta. Podróże dodają życia smaku. Soli, pieprzu i... biegunki. Widok z okna domu na przystanek tramwajowy to nie to samo co pędzące za oknem ekspresu pejzaże. Ale czy turystyka to sens istnienia? Czy znajdziemy szczęście w Krakowie, skoro nie ma go w domu? Śmiejem wątpić.

Życie niewątpliwie staje się wygodniejsze dzięki postępowi kreowanemu przez nielicznych dla dobra ogółu. Wierzmy w postęp i ewolucję, a ostatnie półwiecze to dobrze ilustruje. Budki telefoniczne wymarły zastąpione przez wszechobecne smartfony, symbol naszej mobilności. Lot samolotem, kiedyś w Polsce luksus na miarę używanego auta, dziś kosztuje tyle, co nic. Dzieciaki śmigają na hulajnogach, rowery pedałuja same, a auta uczą się jeździć bez kierowców. Po co studentowi geografia, skoro GPS doprowadzi go wszędzie, od Poznania po Skorosze?

Wobec tego pędu do rozpędu i długiego dystansu trzeba zauważyć inny poważny i też postępowy kierunek. Pęd o zupełnie innym wektorze, będący ubocznym efektem pandemii, po którym bardzo wiele trzeba sobie obiecywać. Renesans stacjonarności!

Narty, korki i wirusy

Pandemia brutalnie uświadomiła nam, że mobilność bywa zabójcza. Wirus niczym niechciany pasażer na gapę podróżował z nami, rozprze-

Homo domesticus modernus

strzeniając się w tempie godnym współczesnych środków transportu. Nagle ujrzeliśmy ciemną stronę naszej obsesji na punkcie przemieszczania się. Globtroterstwo okazało się mieć swoje wady, i to jakie!

W wypadkach komunikacyjnych ginie więcej ludzi niż w morderstwach. Przemieszczanie się to ryzyko. Nie można złamać nogi, leżąc na plaży, natomiast adekwatna narciarska rekreacja to już wyzwanie dla ortopedy i chirurga. Przemieszczanie się kosztuje. Szacuje się, że w Polsce ok. 18 proc. aktywnych zawodowo zarabia na produkcji, naprawie i pielęgnacji środków transportu. Następne 10–12 proc. pracuje przy tzw. infrastrukturze, jak drogi, chodniki, schody ruchome, tory kolejowe, lotniska. To razem 30 proc., a przecież nie jesteśmy komunikacyjną potęgą. No i nie doliczyłem zawodowych kierowców, taksówkarzy i maszynistów. Ba, okazuje się, że przy produkcji niezbędnej dla naszego życia żywności pracuje mniej populacji niż przy zapewnieniu nam zbędnej i niekoniecznej ruchliwości. Rolnicy to tylko 9,8 proc. zatrudnionych. Zaledwie 1,75 mln ludzi.

Mobilność to główny winowajca wyczerpywania się zasobów planety. 80 proc. paliw kopalnych zasilą nasze maszyny, a przemysł motoryzacyjny i kolejowy pochłania ogromne ilości stali, tworzyw sztucznych i materiałów organicznych. Efekt? Efekt cieplarniany i katastrofa ekologiczna.

Ten przeklęty covid, choć narobił bałaganu, to przy okazji wywołał małą cywilizacyjną rewolucję. Okazało się nagle, że miliony ludzi mogą pracować z domu bez zbędnego latania, tłoczenia się i narzekania na korki. Koniec z porannym stresem, gonitwą za autobusem i wachaniem potu współpasażerów. Początek nowej ery w kulturze pracy, gdzie liczy się efekt, a nie obecność w biurze.

Chałupnictwo 2.0, czyli biuro w piżamie

Pandemia wywróciła nasz świat do góry nogami, ale nie tylko w sferze zdrowia. Rynek pracy też dostał porządnego kopa. Po 2019 r. ponad 10 proc. Polaków odkryło uroki pracy zdalnej, a ponad połowa zatrudnionych przyznaje, że przynajmniej część swoich obowiązków wykonuje w domowych pieleszach.

I bardzo dobrze! Praca z domu to same korzyści: oszczędność czasu, pieniędzy i nerwów. Nie trzeba oświetlać, grzać, wentylować, klimatyzować, sprzątać i pilnować tych wszystkich ofisów. Pracownicy zamiast tłoczyć się w ciasnych pomieszczeniach i udawać, że się lubią, mogą w końcu rozgościć się we własnych mieszkaniach. Koniec z ergonomicznymi krzesłami, nudnymi stołówkami i walką o dostęp do kabiny dla palaczy. A ile zaoszczędzimy na kawie i cukrze!

Praca z domu to wolność i elastyczność. Człowiek sam dysponuje czasem, jest zawsze pod ręką. Więzy rodzinne się umacniają, obiady jedzone są regularnie, a dzieci pod kontrolą. Ko-

niec z alienacją klasy robotniczej – Lenin przewraca się w grobie.

Nadchodzi era stacjonarności! Po co 100 samochodów ma jechać do sklepu, skoro jeden kurier może dowieźć zakupy dla wszystkich? Buty i ubrania też kupimy online, bo po co wychodzić z domu, skoro można chodzić boso i w szlafmycy?

Szkoły i uniwersytety? Przestarzały przeżytek! Kursy online to przyszłość edukacji. A puste budynki przerobimy na pieczarkarnie, hotele jedwabników albo kociszonki.

Banki też idą do lamusa. Po co nam te świątynie pieniądza, skoro można zarządzać finansami z własnej toalety, najlepiej siedząc na złotym sedesie, w piżamie i bez krawata? Tak jak robi to litewski Revolut, największy bank w Europie, który obsługuje 70 mln klientów bez jednego okienka kasowego.

Stacjonarność rządzi: od przychodni po prostytutkę

Przychodnie zdrowia i konsultacje lekarskie? W obecnych warunkach to jest farsa, kiedy na leczenie kataru przez NFZ musiałbyś czekać trzy miesiące. Konsultacja online między naturalnymi środowiskami lekarza i pacjenta, którzy obaj pozostają w domach, to rozwiązanie równie złe, a o ileż tańsze i bardziej niczego sobie.

No i w końcu po co te spotkania rodzinne, okupywanie pubów z kolegami, kiedy mamy Facebooka, Snapchata i wideokonferencje!? Już nawet prostytutki pracują online, dając podobną satysfakcję jak na żywo, no a te, co mniej się starają, także urzędują w domach przy komórcie.

Turystyka – czy to jest w ogóle do czegoś komu potrzebne!? Dam przykład z ostatnich tygodni. Pojechał na Maderę. Udziobał go w brzuch pajak. Rana jak pomarańcza zaczęła gnici. Groziło zapalenie otrzewnej. Rozpędzili to antybiotykami, ale kraina wiecznych łowów była już tuż, tuż! Inny turysta w Meksyku, bo tam ciepło.

Wodę pił tylko butelkową, a herbatę przegotowaną. Napił się coli, ale nie wziął pod uwagę, że lód do kostkarki robiony był z kranowy. Omal nie wysrał całego przewodu pokarmowego. W dodatku w szpitalu go okradli.

A każdy z tych wyznawców kultu pieczątki w paszporcie miał przecież w domu 70-calowy *full high definition quadro sound* oraz dostęp do czterech kanałów National Geographic. W wygodnym fotelu, z piwem w ręce, doznałby więcej niż w betonowej dżungli all inclusive z napisem Hilton na dachu.

Virtual Reality VR – rzeczywistość wirtualna – to kolejny ważny aspekt do uwzględnienia. Nakładasz gogle i chodzisz, siedząc, po Luwrze lub innym Ermitażu, nie ryzykując utraty portfela. Oszczędzając na bilecie i przewodniku.

Stacjonarność i zasiedziałość to przyszłość cywilizacji. Może się nawet okazać, że za 200 lat stwierdzą, iż ta mobilność to była ślepa odnoga życia na Ziemi.

Nie można też ignorować faktów ekonomicznych: z dwóch ludzi, z których jeden chodzi, a drugi siedzi, ten drugi zarabia na pewno lepiej.

Ruch bez ruchu, fitness w wirtualnym świecie

Stacjonarność – raj dla leniwych? Owszem, grożą żylaki, bóle pleców, słabe mięśnie, otyłość i cholesterol. Jednak system, w którym żyjemy, ma gotowe rozwiązanie dla naszej obsesji na punkcie ruchu: stacjonarne rowery, bieżnie, wioślarze, wirtualne narty, a nawet symulatory pływania w wannie. Po co się męczyć w realnym świecie, skoro można pobiegać po wirtualnym lesie, nie ruszając się z domu?

Mało tego? Są i tacy, co twierdzą, że siedzenie bez ruchu to klucz do oświecenia. Hinduscy derwisze, ci mistrzowie kwiatu lotosu, podobno osiągają w ten sposób jedność z uniwersum, transcendencję i inne cuda. Zanika im „ja”, pojawia się głębokie zrozumienie rzeczywistości i absolutny spokój wykraczający poza emocje, myśli i fizyczne ograniczenia. Śmierdzi mi tu bujda, ale chętnie się nabiorę.

Stacjonarność to przyszłość, usiądź zatem wygodnie! Nadchodzi era oświecenia i cybermezoiku.

ROBERT JARUGA

REKLAMA

ZAPŁAĆ RAZ I CZYTAJ PRZEGLĄD PRZEZ ROK!

Kup roczną e-prenumeratę na sklep.tygodnikprzeglad.pl



- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Nowa Huta – wyjście z raju” GRATIS
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji KUP NA PREZENT



Nie wszyscy mogą pamiętać czarno-biały film „Rzeczpospolita babska” z końcówki lat 60. miniego wieku. Bardzo popularna komedia, której akcja rozgrywa się tuż po wojnie, przypomniała mi się, gdy zacząłem zastanawiać się nad dzisiejszą kondycją naszego sportu. Nie ma się co oszukiwać. W sporcie mamy rzeczpospolitą babską. I to jeszcze jaką!

Medale i puchary

Zacznijmy od czegoś oczywistego. Gdyby nie Polki, z igrzysk olimpijskich w Paryżu nasza reprezentacja wróciłaby z dwoma medalami – srebrnym siatkarzy i brązowym wioślarskiej czwórki podwójnej. Reszta dorobku – i tak nie nadzwyczajnego – to zasługa kobiet. Aż strach pomyśleć, z jakimi nastrojami wspominalibyśmy paryskie igrzyska, gdyby one nie zdobyły złotego, trzech srebrnych i czterech brązowych medali. Czy naprawdę skojarzenie z tytułem biało-czarnego filmu oglądanego w czasach mojej młodości jest całkiem bezpodstawne?

Niemal w każdej dyscyplinie sportu panie biją panów. Na Puchar Świata w Brazylii pojechało siedem naszych pięściarek i przywozły siedem medali. Dorobek ich kolegów okazał się mniej okazały – cztery medale. W Brazylii konkurencja była ostra, przyjechały reprezentacje krajów najmocniejszych w boksie olimpijskim. Nie było oczywiście Rosjanek i Rosjan, ale przybyli za to zawodnicy z azjatyckich krajów powstałych po rozpadzie ZSRR. Okazuje się, że nasz boks olimpijski to nie tylko srebrna medalistka z Paryża Julia Szeremeta.

Wiktoria Rogalińska pokonała w finale wagi do 54 kg byłą mistrzynię świata Amerykankę Yoseline Perez. To było zdecydowane zwycięstwo 5:0.

Może nie jestem wielkim fanem kobiecego boksu, ale – po zmianach organizacyjnych we władzach – dyscyplina ta uratowała swój olimpijski byt. Nie ma się więc co krzywić, gdy dziewczyny okładają się pięściami. Tym bardziej że boks w olimpijskiej formule i tak jest dużo łagodniejszy i mniej krwawy niż zawodowy – o pojedynkach w drucianej klatce MMA nie mówiąc.

Bokserki Puchar Świata rozegrany zostanie cztery razy w sezonie. Po Brazylii czas na Polskę. Na warszawskim Torwarze obsada ma być jeszcze mocniejsza. Spodziewani są reprezentanci i reprezentantki ponad 40 krajów. Drogie panie, trzeba będzie potwierdzić swoją dominującą pozycję w świecie.

Na czele peletonu

Wyścig Danilith Nokere Koerse to jeden z ważniejszych klasyków na początku sezonu kolarskiego, w którym startuje elita zawodniczek i zawodników. Kto nie oglądał choćby końcówki tego wyścigu w wykonaniu pań, niech żałuje. Po morderczym, długim finiszu kilkudziesięcioosobowej grupy zwyciężyła Marta Lach. Trochę kolarskich końcówek w życiu się naoglądałem, ta była niesamowita. Polka najpierw korzystała z pomocy koleżanek z drużyny, później już sama odpierała ataki. Smutno mi się zrobiło, że sukces kolarzki nie został dostatecznie zauważony w polskich mediach. Na pasku telewizyjnych programów informacyjnych wolałbym zobaczyć jej nazwisko niż nazwiska kandydatów na prezydenta spierających się w jałowych dyskusjach.

Marta Lach nie jest w kolarstwie kobiecym postacią anonimową. Ma 28 lat, ściga się od dawna i ma w dorobku sporo zwycięstw, ale nie w wyścigach elity. W tym sezonie trafiła do jednej z czołowych grup zawodowych SD Worx-Protime i dopiero pokazała, na co ją stać.

O tym, że polskie kobiece kolarstwo jest mocniejsze od męskiego, wie każdy średniozaawansowany kibic – ale głównie o jego sile stanowiła Katarzyna Niewiadoma, zwyciężczyni ubiegłorocznego Tour de France. Okazuje się, że Kasia (nie spoufalam się, sama tak o sobie mówi) nie jest sama.

Daria Pikulik zdobyła w Paryżu srebrny medal olimpijski w kolarskim wieloboju na torze. Dzień po odebraniu medalu przesiadła się na rower szosowy i zajęła szóste miejsce w pierwszym etapie Tour de France. Na tor nie zamierza wracać. Ma dobry kontrakt z czołową zawodową grupą Human Powered Health. Jej siostra Wiktoria jeździ dla tej samej grupy.

Agnieszka Skalniak-Sójka pomaga Kasi Niewiadomej w jednej z najlepszych zawodowych stajni Canyon SRAM; za piękne oczy (ma takie) tam nie angażują.

W zawodowym peletonie pokazuje się – choć jeszcze nie wygrywa ważnych imprez – Aurela Nerlo. Podczas najsłynniejszego wyścigu klasycznego rozgrywanego na brukach północnej Francji, Paryż-Roubaix, próbowała ucieczki. Nie udało się, ale zobaczyli ją kibice, bo wyścig ten śledzony jest na całym świecie.

Krótko mówiąc, polskie kolarstwo to nie tylko Kasia Niewiadoma. Raczej nie da się tego powiedzieć o jego męskiej odmianie. Nasze gwiazdy, Mi-



Dzięki sportowi staję się feministą

chał Kwiatkowski i Rafał Majka, są bliżej końca kariery niż jej początku. Stanisław Aniolkowski pokazuje się w końcówkach płaskich etapów, gdy finiszuje cały peleton. Męskiej młodzieży nie widać.

No i piłka, oczywiście

O Ewie Pajor boję się pisać. Tyle razy czyniłem ją bohaterką moich opowieści, że jeszcze ktoś pomyśli, iż dziadek platonicznie zakochał się w młodej dziewczynie. Właściwie dlaczego ma tak nie pomyśleć? Piłka nożna kobiet w naszym kraju do niedawna nie istniała. Teraz mamy swoją bohaterkę, środkową napastniczkę FC Barcelony, zdecydowaną liderkę strzelczyń całej żeńskiej La Liga. Dla Barcelony bramki strzelają Robert Lewandowski i Ewa Pajor. Lewandowski od lat jest sławnym środkowym napastnikiem, ale że dołączy do niego Polka?

Nie tylko ją zacząłem fascynować się kobiecym futbolem. To oczywiste, że rozmawiam z wieloma ludźmi interesującymi się sportem. Już kilka razy usłyszałem, że wolą oglądać polskie piłkarki niż piłkarzy. Wszyscy wygłaszają podobną opinię: dziewczynom chce się grać w piłkę, facetom nie zawsze.

Reprezentację polskich piłkarzy prowadzi Michał Probiecz, który wskoczył na krzeselko szybko obracającej się karuzeli ze szkoleniowcami. Niczym mi nie zaimponował prócz zawsze eleganckich garniturów. Nie widzę jakiegś nici przewodniej w jego pracy. Czasem odnoszę wrażenie, że nie żyje z drużyną, że jego myśli zajmują zupełnie inne, ważniejsze sprawy.

Selekcjonerka kobiecej reprezentacji Nina Patalon rosła razem ze swoimi piłkarkami, prowadząc wcześniej młodzieżowe zespoły. W czasie meczu stoi przy bocznej linii boiska w sportowym stroju, nawet nie potrafiłbym sobie wyobrazić jej w wieczorowej sukience. Dziewczyny ją lubią, wierzą jej, ona żyje z zespołem, ale potrafi utrzymać konieczny dystans. Ma odwagę zdjąć którąś ze swoich gwiazd, gdy gra słabiej, albo w ogóle posadzić na ławce rezerwowych – co nie znaczy, że nie liczy się ze zdaniem zawodniczek. Z porażek potrafi wyciągać wnioski, które później widać na boisku.

W przód i wwyż

Idziemy dalej: wspinaczka sportowa. Tu w ogóle nie ma o czym mówić. Jedyny złoty medal z Paryża przywozła dla nas Aleksandra Mirosław; bliźniaczki Aleksandra i Natalia Kafuckie wcale nie są gorsze.

ną sekundy. Grażyna Rabsztyn może cieszyć się, że ustanowiony przez nią rekord jest tak długowieczny – ale w jednym z wywiadów przyznała, że jest to dla niej trochę krepujące.

Sprinterka Ewa Swoboda ma wielu fanów na całym świecie. Nie tylko ze względu na uzyskiwane wyniki sportowe; przykuwa wzrok także spontanicznym – nazwijmy tak – sposobem bycia, oryginalną urodą i tatuażami. Prawda: męska część lekkoatletycznej reprezentacji poszczycić się może wynikami młodego płotkarza Jakuba Szymańskiego – ale nie przesadzajmy, żeńska grupa jest silniejsza.

Wielu mądrzejszych ode mnie ludzi zastanawia się, jak to się dzieje, że w polskim sporcie kobiety biją na głowę mężczyzn. Ja mam swoje teorie – i to niejedną.

Pierwsza jest taka, że kobiety lepiej radzą sobie z ogarnianiem bałaganu, a taki panuje w naszym wyczynie.

Już małe dziewczynki, w odróżnieniu od rówieśników, nie rozrzucają ubrań po swoim pokoju, a zabawki układają na miejsce.

Co on mi tu będzie...

W polskim sporcie – i to na najróżniejszych jego szczeblach – panuje niezły bałaj.

Weźmy choćby szermierkę, w której zresztą mężczyźni też odnoszą mniej sukcesów od kobiet. O mały włos Aleksandra Jarecka nie odpadłaby z wyjazdu na igrzyska do Paryża, choć na wyjazd sobie zasłużyła. Obronił ją trener Dariusz Zieliński. Z Paryża Jarecka przywozła brązowy medal w drużynowym turnieju szpadzistik. Bardzo się przyczyniła do zdobycia tego medalu. Pamiętacie jej decydującą walkę?

Jarecka jest nie tylko sportsmenką, ale także prawniczką. Teraz będzie miała okazję wykazać te pozasportowe umiejętności, bo Zieliński pozwał do sądu związek szermierczy. Działaczom nie spodobało się, że trener śmiał ich krytykować i zwolnił go z pracy pod błahym pretekstem (spóźnienie w opłaceniu składki członkowskiej).

Takie cuda dzieją się w wielu innych związkach i organizacjach sportowych. Chłopcy prędko się zniechęcają, dziewczyny zagryzają zęby, trenują dalej, w dodatku potrafią, jak Aleksandra Jarecka, łączyć sport z nauką.

Cierpliwość nie jest najmocniejszą stroną męskiej połowy naszego społeczeństwa. W sporcie dobre wyniki nie przychodzą natychmiast. Trzeba ciężko pracować na każdą setną sekundy, centymetr czy kilogram. I znów – chłopcy szybko rezygnują, jeśli nie widzą natychmiastowych postępów; ich koleżanki mozołnie starają się poprawiać rezultaty.

Wreszcie coś, co ucieszy zwolenników Konfederacji, którzy przekonują, że kobiety muszą być uległe mężczyznom (słyszałem to na własne uszy). Przez lata, podczas których byłem przy sporcie, zauważyłem, że dziewczęta i panie sumienniej wykonują polecenia trenerskie niż ich koledzy. Chłopak słysząc trenera pomyśli: „Co on mi tutaj będzie pieprzyć!” i zrobi po swojemu. Dziewczyna najpierw spróbuje zastosować się do poleceń i dopiero gdy uzna, że to nic nie daje, zacznie dyskusję.

Cóż, pomaleńku z męskiej szowinistycznej świni zamieniam się w feministę.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa

E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpasa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 22.04.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Szczęść boże! – rzekł gospodzin Braun i okiem zasięgnął całą ciżbę człowięczą na rynku zgromadzoną.

W nastanej potem ciszy jęk ino się rozległ jako syk węza i szatański poszept. To przytroczona do drewna bestyja wyła przed kaźnią spodziewaną. Jej podle ciało, poszarpane rozpalonymi cęgi i naznaczone gorącym olejem, rychłej a miłosiernej śmierci się domagało.

– Krzycielu, bożycze, cię prosimy, wniądź w tę bestyję, kyrieieison – Pan Fritz, gospodar na Rybnichu, oczy podniósł ku niebu zbożnemu. – A biesa z niej wytrzeb mocą twą przedwieczną.

– Amen – głośno a głęboko zmówił gospodzin Braun.

– Amen! – niby echo wspominął tłum.

– Bestyja ona – pan Fritz splunął

raczył – zawiodła niewiast pięć na

grzech aborcji...
– Trwoga zdjęta człowiecza chmara aż

dech postraciła.
– Aborcja – jął dziejać jeden z onym,

gawieź zaruchała się niby pszeny fan.
– Zwiesić ją, zwiesić...
– Zwiesić? – zmówił gospodzin

Braun i złość wstąpiła na oblicze jego.
– Ino zwiesić?
Gmin oniemiał.

– Ściąć? – skądeś padło zapytanie,
a wrzenie powstało w hromadzie. – Ściąć!

– Ściąć! Ściąć! Ściąć! – zagrzmiąło

pospólnie.
– Ściąć, a wprzód poczłonkować!

– zwołał pan Fritz. – Ściąć, a wprzód

rozczwartować! Kyrieieison.
– Szczęść Boże – Gospodzin Braun

oczy zawarł. – Bogurodzico dziewico,
bogiem sławiena Maryjo, zyszcz nam,

spuść nam, pobłogosław nam, a bestyję
oną poczłonkujem, rozczwartujem, ze-

tniem i sobakom rzucim.
– Poczłonkujem! Rozczwartujem!

Zetniem! Rzucim! – wołał gmin.
Krwi zew pospół zapanował.

Natenczas panowie Braun i Fritz
podjęli ciało bestii podle, a chłop po-

mocny więzy przeciął. Łeb diabelski
na pień złożyli. Wprzód jednak ręce

a nogi odrąbali.
Jucha spłynęła, a bestyja zadrgała

przedśmiertnie i lament ostatni wzniosła.
Wždy dopiero gospodzin Braun

toporzyskiem zamach wziął, a ostrze
spadło niby zbożny trud.
Ciżba na kolana opadła.

– Tuć się nam zawarło diable potępie-
nie – zmówił gospodzin Braun. – Teraz

ino radość, miłość, anielska moc i zdro-
wie wieczne.
– Amen! – wspominął pan Fritz.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA przyznaje się z niejakim wstydem do lekkiego smutku pofranciszkowego. **JOANNA SENYSZYN** nawet współczuje Franciszkowi, że nie udało mu się zrobić rewolucji.

Wołk-Łaniewska: – Mówiąc szczerze: jak na garbatego, to on był dość prosty. Jak na Wielkiego Białego Ojca z Watykanu, nie był ani taki wielki, ani taki biały. Miał w sobie nawet coś z człowieka...

Senyszyn: – I dlatego był tak znienawidzony, zwłaszcza przez polski kler, rozbestwiony przez JP2. Nie wiem, czy pamiętasz, że w 2018 r. niejaki ks. prof. Edward Staniek z Krakowa wygłosił homilię, w której życzył Franciszkowi śmierci: „Modlę się o mądrość dla papieża, o jego serce otwarte na działanie Ducha Świętego, a jeśli tego nie uczyni – modlę się o szybkie jego odejście do Domu Ojca”

– Z tym szybkim to Bozia nie wysłuchała modlitwy: siedem lat opóźnienia i szkody są nieodwracalne. 80 proc. kardynałów, którzy wezmą udział w konklawe, namaszcili Franciszka. 18 jest z Ameryki Południowej, drugie tyle z Afryki, no po prostu dzikie ludzkie w Kaplicy Sykstyńskiej...

– Nawiasem mówiąc, ks. Staniek nie był chyba osamotniony w tym haniebnym życzeniu, skoro nie poniósł żadnych konsekwencji, a słynny metropolita Jędraszewski, tak chętny do potępienia wszystkich i wszystkiego, jedynie oświadczył, że „z ogromnym bólem i żalem” przyjął te słowa, a sprawę poruszył podczas osobistej rozmowy z ich autorem. Jak myślisz, co mu powiedział?

– „Synu, rób tak dalej, a twoim będzie królestwo niebieskie”...

– Też tak to sobie wyobrażam...

– Wracając do Franciszka: ja mam niejaki dysonans poznawczy – piszę o tym w numerze – ponieważ emocjonalnie, czyli na bazie systemu 1, jakoś nie potrafiłam darzyć go tą żarliwą niechęcią, którą wzbudzał we mnie Wojtyła. Za to system 2...

– Rozumiem, że odwołujesz się do Daniela Kahnemana – psychologa, który dostał Nobla z ekonomii?

– Dokładnie. I dostał tego Nobla za badania nad metodami podejmowania decyzji. Wyróżnia on system 1 – myślenie szybkie, emocjonalne i instynktowe; oraz 2 – logiczne i wolne.

– I jak to się ma do zgonu papieża?

– Bardziej zgonu niż papieża. W zeszłym tygodniu był w „New York Timesie” esej autorstwa dwójga filozofów, Katarzyny de Lazari-Radek i Petera Singera, zatytułowany: „Lekcja ze śmierci Daniela Kahnemana”. Katarzyna de Lazari-Radek to polska badaczka z Uniwersytetu Łódzkiego, zajmująca się filozofią szczęścia i przyjemności.

– Już ją lubię.



ILUSTRACJA: PAWEŁ FERENC

czynkiem do dyskusji o eutanazji, która w Polsce się w zasadzie nie toczy.

– A powinna.

– Oczywiście, że tak. Z tym że w tej sprawie panika moralna jest bodaj potężniejsza niż w sprawie aborcji. Może dlatego, że katolicyści wiedzą, że aborcję przegrają, raczej wcześniej niż później, a eutanazja zdaje im się jednak pieśnią przyszłości...

– Nawiasem mówiąc, katolicyści fundamentaliści, którzy uważają, że Bóg dał życie i tylko Bóg może je odebrać, kiedy go najdzie ochota, nie są w swoich poglądach konsekwentni. Wielu jest zwolennikami kary śmierci i wojen. Nie przeszkadza im to także w staraniach o przedłużanie życia: leczenie, operacje, przeszczepy nie są uznawane za naganne sprzeciwianie się woli bożej.

– Są natomiast histerycznie pryncypialni, kiedy idzie o prawo do godnej śmierci.

– I nic ich nie przekona. I powiem ci szczerze: nie warto. Niech sobie żyją tak długo, jak im pisane. Nie wolno jednak pozwolić, by narzucali swoje poglądy zwolennikom etyki jakości życia. Coraz więcej z nas uważa, że wartość życia zależy od tego, czy możemy zaspokajać potrzeby, realizować plany – w sumie, żyć tak, jak chcemy. I że jeśli nie możemy, to mamy prawo wybrać śmierć. Mało tego – oczekiwać pomocy w realizacji tego wyboru. Nie mamy prawa nikogo zmuszać do życia. Świeckie państwo nie może tego robić w imię religijnej etyki świętości życia.

– Myślisz, że kiedyś osiągniemy ten poziom dojrzałości – jako państwo?

– Myślę, że tak. To jak z karą śmierci; dziś w cywilizowanych krajach nie skazuje się na śmierć nawet najgorszych zbrodniarzy.

– Z wyłączeniem USA.

– Powiedziałam: cywilizowanych... Dlaczego uzurpujemy sobie prawo do skazywania niewinnych ludzi na życie, którego nie chcą? Dlaczego niesprawność fizyczna, uniemożliwiająca popełnienie samobójstwa, usprawiedliwia wydanie wyroku życia? Niech każdy rozważy to okrucieństwo we własnym sumieniu.

– Co sprowadza nas z powrotem do Kahnemana. Otóż jego system 2, czyli logiczna analiza, mówi mi, że odejście tego papieża – nawet jeśli jego postępowanie nie była tak głębią i bezkompromisowa, jak twierdzą jego wrogowie, a także entuzjaści – nie jest złą wiadomością. Bo im gorsza jest głowa papieża, tym lepiej dla ludzkości. Ale system 1 skłania mnie do smutku, bo jakoś facetu lubię. Zmieniając temat, chciałabym tobie – a przed wszystkim Czytelnikom – wyjaśnić, że to nie jest tak, że ja sobie z pozycji rednacza co tydzień wybieram innego autora, który ma ci kołysać twoje słynne jaja...

– Co ma mi robić, przepraszam?

– Chwalić cię na łamach. Na tym polega jaj kołysanie.

– A przepraszam, nie znałam tego finezyjnego idiomu.

– Już poznałaś. Moim zdaniem, bardzo à propos... W każdym razie to nie jest tak, że ja rozdaję zadania: w tym tygodniu jaja Senyszyn kołysze Dubicka, a w przyszłym Jaruga. Oni sami to piszą, z własnej inicjatywy. To tak dla jasności.

– Dziękuję za wyjaśnienie. Choć oczywiście nie miałam wątpliwości. I na koniec po prostu muszę zacytować pieśń napisaną ku czci kandydata Nawrockiego i jego tezy o puciach...

– Jako jedyna w tym wyścigu odszczepienica od dogmatu dwóch puci.

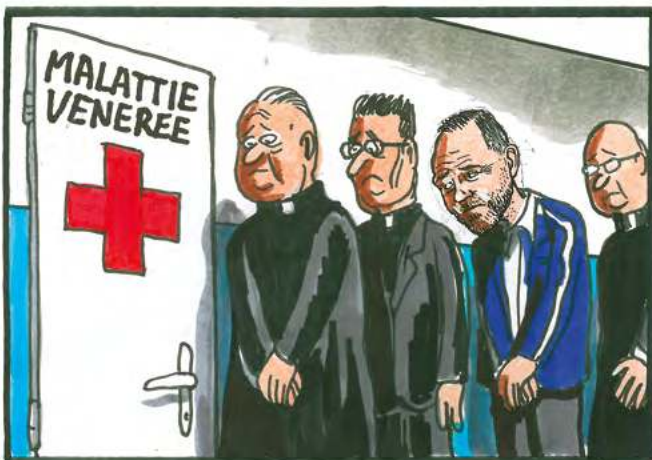
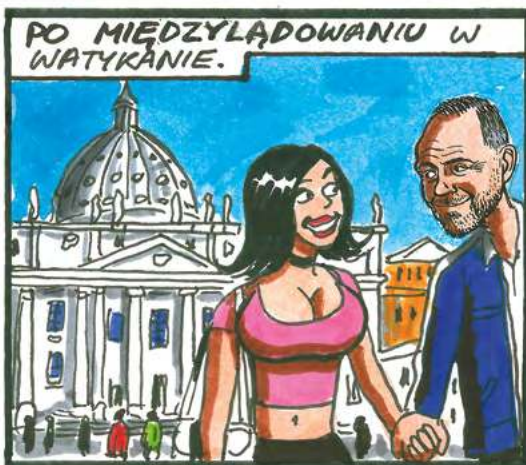
– Dokładnie. Pieśń brzmi: „Droży Państwo, czy Wy już wiecie, są tylko dwie pucie na tym świecie. Pucia damska to kobieta, która szuka swego faceta. Pucia, pucia wielka sprawa, damska, męska, to podstawa”...

– Czysta poezja. Ale ty też zainspirowałaś pieśń na twój temat: „Głosuj na Seneszyn, to jest plan, razem zmienimy cały kraj”...

– No właśnie. Gdyby jeszcze „e” na „y” zmienili, to już na pewno wygramy.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI